ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

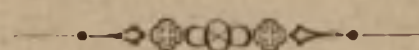
WARSZAWA.

1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

str.



Zeszyt zawiera arkuszy 12.

Druk ukończono d. 30 Sierpnia 1894 r.

NA MORSKIÉJ WYDMIE.

Powieść z życia Mazurów nadbaltyckich.

I.

Tam, gdzie Wisełka wlewa swe bujne, białe wody jedném małém ramionkiem, Karpówką, do dyszącego wielkiemi falami Baltyku, w ziemi nadmorskich Mazurów, na brzegu, wywianym przez morskie wichry do białego piasku, przytulona do wzgórza z bokiem sosnowym, stała zgarbiona, mała chata rybacka, z zaklęśniętym w środku dachem, co się zielenił cały od mchów starości. Od miejsca, na którém stała, nazywano ją „chatą na pustkach", a najpowszechniéj „chatą na morskiéj wydmie".

Nietylko dobrze jéj było na wydmie pod oną górką sosnową w czasie burzy, jak pod zasłoną, nietylko zdrowo było w jéj żywicznem powietrzu i cienistym chłodku, gdy lato paliło skwarem słonecznym, ale i pięknie, bo górka leśna stroiła ją, jak pióropusz zielony stroi spleśniały szyszak u stóp mogiły... a kiedy o ciemnym zmroku, dwa jéj, od domowego ogniska gorejące okienka rzucały skrzystą smugę na niespokojne bałwany morza, wtedy — odtrąconemu od brzegów z wątłą łódką, rybakowi, błyskała dobrą otuchą, jak w zielonéj czapce twarz staréj matuli z wytężonemi oczyma.

Ubogą była bardzo ta stara chatka rybacka na morskiéj, piaszczystéj wydmie... jedna łódeczka mała, jak orzechu łupinka, kołysała się u jéj brzegów na falach, jedno wiosło leżało na zaklęsłym dachu, jedna siatka suszyła się na płotku z chrustu przed progiem, jedna czarna koza z białém koźlątkiem chodziła na sznurze po murawie i wspinała się co chwila na chrust, wyciągając szyję, aby módz skubnąć zielony listek z wiśniowego drzewka, co z grządką pazurków, stokroci i pietruszki, tworzyło cały sadek tego ludzkiego schroniska.

Za chatą — podwóreczko maleńkie zamykała strzecha dla kozy z poddaszem na siano, kupa liści szarych na podściółkę i stóg chrustu do paliwa na zimę.

Gdziekolwiek było spojrzéć, na każdy rzut oka, przedstawiało się tu wielkie ubóstwo... znać było, że mieszkańcy téj biednéj sadyby poprzestawali na bardzo małym dziale ludzkiego dostatku, na jego okruchach tylko... Widok jéj skromny, potulny, jakby sierocy, pociągał ku sobie niewysłowionym jakimś urokiem, bo serce człowieka tak jest poczciwie zlepione, że biéda im większa, tém je mocniéj zjednywa, tém je bardziéj zajmuje, gdy bogactwo i przepych, olśniewając blaskiem, w tym samym stopniu razi je i nieśmiałém czyni. W tym to poczciwym ustroju serca naszego spoczywa rozwiązanie zagadki: dlaczego je widok niskiéj z drzewa chaty mocniéj pociąga, od wysokich domów z cegły i pałaców z marmuru? i dlaczego to bywają „progi za wysokie na nogi”?

Tę chatkę ubogą, zgarbioną staruszkę, samotnicę na morskim wydmuchu pod górką sosnową, zamieszkiwała téż biédna, zgarbiona staruszka, Magda Żagiel, siérota-wdowa, ze sporym, dwudziestokilkoletnim wyrostkiem, wysokim, smagłym drabem, a jedynym synem Walkiem, nazywanym nie Żagiel, lecz z przezwiska Topielec, że się został po utopionym ojcu, Kaźmierzu, którego przed laty, gdy się puścił na ratunek rozbitków okrętu, razem z łódką pochowały na dnie morza rozhukanéj burzy bałwany...

Stara rybaczka owdowiała bardzo młodo, nie miała innych dzieci, prócz Walka pierworodka, nie wstępowała w nowe związki małżeńskie, mimo to jednak zestarzała się przed czasem i pochyliła ku ziemi od ciągłéj ciężkiéj pracy w biédzie i tęsknocie...

Po śmierci męża przez lat kilkanaście żyła z wyrobku u ludzi, a gdy go czasem nie stało, brodziła całemi dniami po płytkiém morzu przy brzegach, szukając zagrzęzłych w morskim piasku, lub wyrzuconych na ląd bursztynów. Wyrobek był ciężki a mało płatny, bursztyny trafiały się drobne i rzadko, stąd biédną, młodą wdowę stać było ledwie na liche szmaty i nędzną strawę. Od takiego przyodziewku

i odżywiania przychodziły czasem na nią choroby, a gdy te minęły, nie mogła rychło przyjść do zdrowia — i tak zasychała powoli... zwłaszcza, że więcéj dbając o swego jedynaka, niż o siebie, pozwalała mu wyciągnąć do kropli cały udój kozy ranny i wieczorowy.

Nie miała téż ona żadnéj innéj radości w samotném a tak ciężkiém bardzo życiu swojém, prócz téj jednéj, gdy tłusty chłopak, wydoiwszy cały skopek koziego mléka, leżał zadowolony na wznak w kołysce i wyrzucając nóżkami a trzepocząc rączkami, głużył coraz głośniéj do swéj mizernéj matuleńki... wówczas ona uszczęśliwiona nieboga, śmiała się do swéj złotéj rybki tak głośno z całego serca, że się zdawało, iż duszyczka jéj z tego serca wyskoczy przez cienką skórę, zapadłą na kościach twarzy, mocno wydatnych. Uciekające życie z ciała oddawała z rozkoszą dla swojego tłustego aniołka.

Od siódmego roku życia zaczęły się dopiéro ciężkie z Walkiem strapienia... Jak ryba do wody, chłopak rwał się do morza, a tu trzeba go było prowadzić do szkoły, bo sam iść nie chciał. Szkoła była daleko, w sąsiedniéj wiosce, w Zatokach, aby więc tam stanąć na ósmą rano, trzeba było wstawać z łóżka o pierwszym świcie, prawie zaraz po północy, trzeba było kozie założyć siana, potém ją wydoić, rozpalić ogień, zagrzać mléko, pójść po chléb do miasta, chłopaka zbudzić, zmówić z nim paciérz, ubrać go, umyć, uczesać, napaść, przejść z nim abecadło, powtórzyć zadane modlitwy, włożyć mu kapelusz na głowę i tak dopiéro prowadzić, mocno trzymając za rękę, bo im bliżéj było szkoły, tém bardziéj się wydzierał.

Po roku nauki — szamotania ustały, Walek szedł do szkoły bez prowadzenia za rękę, ale przy matce, bo puszczony sam, nie wiedział, co się z nim działo... zapominał o szkole, biegł na brzeg morza — szukać gniazd rybitw w sitowiach, brodzić po mieliznach, upatrując kawałków bursztynu i śpiących flądrek pod wodą na piasku.

Z czasem, po latach kilku—znikł wstręt do nauki zupełnie, przeszły wszelkie upory do szkoły, Walek chodził do niéj sam z największą ochotą i skończył ją świetnie. Po egzaminie przyniósł do chaty na wydmie złotą książkę, w któréj było napisane własną ręką kochanego pana dyrektora, jako oddając tę nagrodę najlepszemu swojemu uczniowi, najlepszém téż go żegna życzeniem: „Oby wyrósł na chwałę Bogu, na pociechę matce....

Zalała się blada matuleńka wielkiemi łzami radości na tak wielki tryumf swojego synusia. Nie wiedziała, gdzie go posadzić, czém ugościć... Zdało się jéj, że wita w jego osobie posła potężnego króla, co wszystko może, co jéj przyszedł odtąd samo szczęście zwiastować.. W uniesieniu, w błogim zachwycie rozradowanego serca zapomniała

o wszystkiém, co przecierpiéć musiała, aby doprowadzić syna do tak pięknego dnia w życiu, zapomniała o wszystkich boleściach i przykrościach, zapomniała o potokach łez gorzkich, wylėwanych nieraz z powodu doznanego zawodu, wzgardzonych najlepszych chęci i niewdzięczności saméj... O! bo jedna tylko miłość macierzyńska goreje własnym ogniem, nie podsycana niczém, nawet wzajemnością! Ona jedna tylko potrafi złożyć ofiarę z własnego szczęścia dla istoty swojego serca, ona jedna niczego dla siebie nie pożąda, i dlatego ona jedna niczém się nie zraża, nigdy się nie zmienia i nigdy nie gaśnie... ona jedna jest nieśmiertelna!

Mogłaby teraz biédna rybaczka po ukończeniu szkoły przez synusia przyjść do siebie i odzyskać stargane siły... Poczciwy chłopak w każdéj ją robocie wyprzedzał i wyręczał, przytém szczęście miał wielkie i do połowu ryb i do poszukiwań nadbrzeżnych. Nieraz tak się zdarzało, że wracał z podwójnym łupem... wtedy na łódeczce, pomiędzy opancerzonemi w srebrne i złote łuski rybami widać był półprzezroczyste, ciemno-żółte bryłki bursztynu.

Gdy pod wieczór zachodzące słońce roztopiło swe blaski w żywych falach wody, młody rybak wysuwał się z gąszczów sitowia i łabuzia na swéj łódeczce pełnéj ryb, miotających w podrzutach błyskawiczki z łusek i płynął po gorejącém morzu... Blada matuleńka czekała go wtedy na brzegu i witała najczulszém pogłaskaniem twarzy, jak posła z lepszych światów...

— Oj! ty, ty! latawcze mój pomorski! ty, mój ptaku karmicielu! A cóżbym ja teraz na świecie bez ciebie robiła? Jeno-by się żywą w grób położyć i piaskiem kazać zasypać, a łopatą przyklepać.

Za chwilę ten latawiec pomorski — w butach, w odświętnéj granatowéj sukmance i w czarnym, okrągłym kapeluszu, przedzierzgnięty w poziemskiego biegacza, z koszem ryb na lewéj ręce, pędził co tchu do miasteczka, do Nagórzyc, skąd niebawem powracał i przy małéj łojówce rozkładał przed matuchną na stole długim sznurem srebrne, błyszczące pieniądze.

Wczesnym znów rankiem, kiedy pierwsza zorza rozpraszała mgły nocne, w modréj żubicy, czyli w kaftanie rybackim, z rozwiązaną u szyi z czerwonych wstążek koszulą, z założonemi za łokcie rękawami i za kolana nogawicami, z wiosłem w ręku, wstępował Walek do łódki, obciążonéj różnego kształtu sieciami, a odbiwszy od brzegu, witał morze pieśnią jutrzenkową, któréj dźwięk potężny przepływał z fali na falę, aż póki nie zanikł w nieskończonéj wód przestrzeni...

Powitanie morza.

1.

Bądź pozdrowione!
Hej! nieskończone...
Falami dyszące morze!
Precz z serca smutki...
Jak ciężar z łódki!
Pokłon Ci z fal—Stwórco Boże!

2.

Próżno z otchłani
Burzy, bałwani
Ta nawałnica wód wielka!
Na Twojéj dłoni
Ledwo się płoni,
Jak drżąca rosy kropelka!

3.

Hej! jak-eś wielki!
Do serca celki
Wstąpiłeś przecież w gościnę...
Bądź-że mi tarczą,
Gdy burze warczą...
O, spraw! niech marnie nie zginę!

4.

Bądź pozdrowione!
Hej! nieskończone...
Zwierciadło i gwiazd, i słońca!
Hej! mała łódko!
Suń się cichutko
Po płynném niebie—bez końca!

W niedzielę i w święta zabiérał do łodzi swoją chudzinę, swoją matuleńkę, jak cień bledziutką i długą, i wiózł ją przez zatokę do Nagórzyc, co się tak nazywały, iż stały na górze za lasem, więc od morza nie było ich widać, tylko krzyż żelazny kościołka. Wznosił się on wysoko nad drzew wierzchołki i w rozciągnionych pod niebem ramionach, otwiérał zbłąkanym w dole rozbitkom — ostatnią ich ucieczkę, port wiecznego zbawienia...

Czy wschodzące słońce przyglądało się swojéj pogodnéj głowie w cichego morza zwierciadle, czy okrywszy się w chmurę czarną, poruszało niepokojem i szmerem tęsknoty spieszące jedna za drugą z morskiéj otchłani fale — zawsze na sumę świąteczną, smagła łódeczka z wdową-rybaczką i jéj synusiem odbijała od brzegów wydmy do Nagórzyc, przy odgłosie prześlicznéj pieśni naszéj porannéj: „Kiedy ranne wstają zorze”. Dwuśpiew z łódki rozpływał się daleko po falach i bił wysoko pod niebiosy, bo pierś Walka potężna przeszywała, jakby dźwięczną strzałą—nawet spiętrzonych bałwanów szumy, a chudzina matuleńka miała taki donośny w piersiczkach głosik, że słychać go było na całéj przestrzeni widnokręgu... jakby wiatr mocny dął nieustannie w jeden z promieni słońca, zamieniony na strunę...

II.

Chociaż w miarę dorastania Walka wzrastał dostatek w chatce na morskiéj wydmie, chociaż widok dobrego, dzielnego a całą duszą przywiązanego chłopca podnosił radością serce matuleńki i wydoby-

wał z niego na twarz jéj pogodę zadowolenia, chociaż teraz mogłaby sobie ulżyć w pracy i w chorobie poleżéć, chociaż mogła lepiéj zjeść w dzień powszedni, a na święto miéć kawałek mięsa, jednak nie szło jéj to wszystko na pożytek... była ciągle chudziutka i bledziutka, skóra i kości w gieżle i lichéj szmacie...

Miała przytém w oczach jakieś ciche zapatrzenie, jakby tu była na wyrobku, jakby się jéj czegoś bardzo śpieszyło, jakby ją ktoś gdzieś czekał, jakby jéj pilno było do zorzy wieczornéj, aby się ogarnąć jako porządniéj po dziennéj robocie i iść czémprędzéj na tamten świat... Sama nie wiedziała o tém, a tak było rzeczywiście, bo serce jéj tęskniło ciągle do nieboszczyka, co był jéj najpierwszém a tak króciutkiém umiłowaniem, że się zdało nawiedzeniem nie z tego świata... i ani się obejrzała, a już się rozwiało, jak mgła majowa w podmuchu wiatru północy.

Gdyby się była ze swoim Kazikiem choć aby trochę nażyła, gdyby się jéj był przynajmniéj nachorował, gdyby się go była musiała w pościeli naobiegać, własnemi rękami nadźwigać, napodnosić, ziółkami nalékować, gdyby się mu była gorącego mléka z masłem nagotowała, a nad rozciéraniem krzyża tłuszczem i okowitą gdyby się była nieraz dobrze wypociła, gdyby nie zszedł z tego świata bez Pana Jezusa i bez świętych olejów na drogę wiecznego żywota, gdyby po ostatniém przeżegnaniu kapłańskiém podał jéj rękę i rzekł cichym głosem: „Bóg zapłać Magdo! za opatrunek, za kraśne jadło i za zdrowe ziółka... Dosyć się już przy mnie namarnowałaś... Czas mi téż odejść... Zostań tu z Bogiem sama...", gdyby tak do niéj powiedział, a potém zamknął oczy i oddał Bogu ducha, toby już wiedziała, że umarł, że go we łzach własnych wykąpała, że go czyściutkiego w odświętnych szatach położyła w trumnie, wiedziałaby, gdzie go ma w grobie, gdzie się ma iść z żalu wypłakać, gdzie pomodlić, gdzie w zaduszki świéczkę zapalić, gdzie się ma po śmierci kazać pochować, a wiedząc to wszystko, mogłaby się z czasem w żalu utulić i spokojnie czekać ostatniéj swojéj godziny...

Teraz, w siéroctwie swojém nagłém i niespodziéwaném, wiedziała na pewno tylko to jedno, że Kazika najmilejszego przy niéj nie ma, ale może nie umarł, może gdzieś żyje?... Porwały go z łodzią rozhukane bałwany, ale może nie pochłonęły w potwornych paszczach, może gdzie wyrzuciły daleko na pustą lodowatą wyspę... może pogrążyły żywcem na dno do płynnych kryształów państwa, gdzie go pochwyciły o brylantowych oczach zielonowłose bogunki Baltyku dla swojéj królowéj Juraty... Wieczorami, gdy, klęcząc na brzegu morza, modliła

się za nieboszczyka, słyszała prawie wyraźnie, że fale ku niéj nadpływały z głuchym jękiem, jakby podając głos jakiś z głębi... wówczas zdało się jéj, że widzi na jawie smutnego swojego męża, jak siedzi w bursztynowym pałacu pod strażą bogunek, patrzy na brzeg z za kraty koralowéj przez kryształowe okno i wzdycha...

Wpatrywała się też i ona w swojego na dnie morza nieboszczyka, w onego więźnia pysznego dworu wszechwładnéj pani wodnego królestwa, nieraz całemi godzinami... paciorki zastygały jéj na ustach... Z takiego zapatrzenia najczęściéj przebudzał ją bryzg fali nocnego przypływu... podnosiła się wtedy z klęczek cała mokra i wracała do chaty.

W święto umarłych, w Zaduszki paliła się świéczka nad brzegiem morza i wązkim paskiem bladego światła, jakie rzucała na fale, wskazywała nieboszczykowi drogę, gdzie go wyglądają z tęsknotą i powitaniem w gościnę... Nad płonącym ogarkiem klęczała rybaczka z Walkiem i w szumie każdego wyrzucającego się na brzeg bałwanu słyszeli oboje, jakby krzyk wydzierającego się z otchłani topielca... Pewno to ich ukochany nieboszczyk wydzierał się do siérot swoich na ziemi z więzienia Juraty, z rąk bogunek, których srogość wzrasta w miarę piękności... Najcudniejsza z nich największą jest tyranką.

Po każdém nabożeństwie, a zwłaszcza po każdéj spowiedzi odganiała precz rybaczka od siebie te przywidzenia i mary, co z klechd wieczornic tłumnie napływały na widnokrąg jéj wyobrażeń o życiu wieczném... Skoro się jednak tylko znalazła sama nad morzem, pierwsza nadpływająca fala przynosiła znów te widma złowieszcze na swoim grzbiecie...

Niepewność zgonu i miejsca wiecznego spoczynku nieboszczyka pomieszała w jéj głowie wszystko, co wiedziała o życiu wieczném z katechizmu z tém, co słyszała o zaświatowych istotach z klechd na długich wieczornicach, a nie przynosząc żadnéj folgi sercu, męczyła je tęsknotą grobu... Chciałaby, aby się przed nią rozstąpił, aby mogła przekroczyć go, jak tajemniczą bramę i zobaczyć... gdzie jest naprawdę jéj Kazik?! A jeżeli go trzymają bogunki w swych rękach, toby je tak przeżegnała, że musiałyby opaść ich ramiona i wyszedłby z nich cały i wolny. Grób uśmiechał się do niéj nadzieją wolności najdroższego nieboszczyka, nadzieją wydobycia go z więzów. Wstąpiwszy w grób, mogła się stać jego wybawicielką z niewoli domu... Tęskniła też do grobu, jak do najrozkoszniejszego z sennych marzeń widzenia...

Było to uczucie trawiące, które wzrastało z wiekiem, był to ów

robaczek maleńki w korzonku dziewanny... Toczy on ją powoli, i powoli przestają płonąć żółte lampki jéj kwiatów, powoli opuszczają się z niemi ramiona łodyg, powoli liście nabiérają martwéj bladości i zwieszają się ku ziemi — aż nakoniec ten świecznik pól prześliczny pada na piasek zlamany...

Tak więdła i schła powoli biédna rybacka wdowa na morskiéj wydmie po swoim mężu w otchłani...

III.

Był dzień Oczyszczenia Najświętszéj Maryi Panny, dzień Matki Boskiéj Gromnicznéj, uroczystość wielka w kościele najczystszego światła najgorętszéj wiary, któréj widomym znakiem jest płonąca gromnica... Gdy biją w nas ciosy ostatnie, co jak gromy śmierć niosą, jedyną wtedy nadzieją zbawienia jest żywa wiara, i dlatego to na czas burzy i na godzinę śmierci poświęcona woskowa świéca nazywa się gromnicą. Zapalamy ją z upragnieniem gorącém we wszelkie dni ostateczne, aby światło wiary oświéciło nam drogę wieczności. Świerkowa górka Nagorzyc zapłonęła rzęsistém światłem, jakby spadłych gwiazd tysiącem... Z kościołka, po skończonéj sumie, wysypał się w różnobarwnych strojach pobożny ludek, unosząc z pośpiechem do chat swoich płonące gromnice w zielonych pękach borówek, niby nadzieję wiecznéj wiosny...

W lichéj spódniczce, w paski z czarnéj wełny i lnu szarego, w czarnéj z wzorzystym szlakiem chuście na ramionkach i w czarnéj także chusteczce na głowie, zawiązanéj pod bródką, stała uboga, młoda piętnastoletnia dziewczyna koło dróżki bocznéj pod świerkiem, co ją do pnia przytulał, osypanemi śniegiem gałązkami, niby palcami ręki lodowatego człowieka.

Miała ona pociągłą, białą twarzyczkę z rumieńcem wiosennéj stokrotki, płowe, pozłocistego blasku włosy, a patrzyła modremi ślépkami w czerwoną świéczkę wigilijnéj hojenki, co ją sobie wzięła za gromniczkę, otuliwszy pęczkiem borówek, wygrzebanych z pod śniegu w drodze do kościołka.

— Hej! komu to tak świécisz? czy sobie, czy świérkowi?

— A kiedy ci tak pilno do nieba, to zabierz nas z sobą! — wołali wiejscy żartownisie, ujrzawszy samotną dziewczynę, ale żaden się nie śpieszył z zaczépką, gdyż trzeba było brnąć po głębokiém śniegu, aby się do niéj dostać, stała bowiem o kilka kroków ode drogi w ciemnéj głębi świérków.

— A to ci śmiertelnica! jeno jéj świéczkę zdmuchnąć i do karczmy na pogrzéb! — odezwał się, szparko idąc do swego towarzysza dziarski parobczak, któremu, widać, wpadła w oko z urody, ale i ten się nie zatrzymał, bo mróz był tęgi, a śpieszył się do chaty na obiad. Nadeszła nasza wdowa rybaczka, Magdalena Żagiel, ze swoim synusiem, Walkiem Topielcem. Żal się im zrobiło téj biednéj, samiutkiéj dziewczyny, co na mrozie stała pod świérczkiem, zapatrzona, jakby w kwiatek, w swój pęczek borówek z czerwoną, płonącą gromniczką, podobna do pokutniczki młodéj na wygnaniu, albo raczéj do wygnanéj siérotki, poszli więc oboje do niéj przez śniég, w który głęboko zapadały ich nogi, a kiedy przy świérczku stanęli, zagadnęła rybaczka:

— A co tak stoisz na dworze?

— A bo co?—odrzekła dziewczyna.

— Ano, bo zimno i jeść się chce w południe.

— A — to co!...

— A to — to, że trza iść do ojca, do matki — ogrzać się, posilić...

— Kiej tam u ojców jeszcze zimniéj, niż na mrozie, a poléwkę tam dają ze słonéj wody, zaklepanéj piaskiem...

— Coś mi się widzi, że pewno ci się z główki klepki rozleciały, jak z beczki bez obręczy...

— Jako żywo! Nie jestem wartogłów i prawdę mówię szczerą... Ojczuszkowie moi śpią na dnie morza od bardzo dawna. Jeszczem przy piersi była, kiedy potonęli...

— To idź do krewnych, do brata albo do siostry.

— Kiej ja jestem bez brata, bez siostry i bez krewnych nijakich, ani po ojcu, ani po matce.

— To może jesteś i bez służby, siérota samiutka, jak kołek bez płota...

— A już-ci. Gospodarz powiedzieli, że zima ciężka, że nie mogą swoich dzieci wyżywić, żebym sobie w świat poszła...

— No i cóż? Będziesz tu stała pod świerkiem, aż póki nie zmarzniesz...

— A juźci... — odrzekła dziewczyna miękko i w zaczerwienionych kącikach oczu wystąpiły dwie łzy duże, każda wielkości grochu, i stały tam, nie mogąc się oderwać, jakby miały przymarznąć.

— Chodź z nami nieboźę! — przemówiła ledwo po chwili, wzruszona też do łez, rybaczka, wzięła dziewczynę za zsiniałą rękę i prowadziła po śniegu za sobą.

Od brzegów morze już było zamarzłe i trzeba było iść dobre staje po lodzie do miejsca, na które Walek wyciągnął łódkę. Droga była ostra, nierówna, po zamarzłych garbach fal morza, ale im się szło prędko, bo gromnice pięknie na mrozie gorzały.

Przez cały ciąg rozmowy matki z siérotą Walek milczał, jakby się zaciął w krtani kroplą jakąś gorącą, i przez drogę też nic nie mówił, tylko był bardzo ruchawy, bardzo do pomocy ochotny... to wydobywał matkę, gdy wpadła w głąb' śniegu, to przez trudniejsze miejsca przeskakiwał z nią, jak z owieczką na plecach; chciał też podobną przysługę wyświadczyć i dziewczynie siérotce, ale ta się wziąć nie dała, jeno prześmignęła sama lekkim skokiem górskiéj koziczki.

Gdy stanęli we troje przy łodzi, zepchnął ją żwawo na wodę i popłynęli wszyscy z szybkością łososia, co się przezerzuca z fali na falę, bo Walek był silny, a wiosłem robił prędko i lekko, jakby ręką machał...

W czasie drogi dziewczyna opowiedziała, że daleko od Nagórzyc, pod wielką sadybą rybacką, Biruty, rozbił się okręt, że wtedy ją, niemowlę tonące, wyrzucone przez falę, chwycił i wydobył z wody rybak Jazgun, że oddał żonie na brzegu, która ją owinęła w zapaskę i zaniosła do chaty, że u Jazgunów przebyła do czwartego roku życia, bo choć sami bardzo biédni, trzymali ją w nadziei dobréj zapłaty od rodziców, których poszukiwali wszędy przez pisma.

Czwartego dopiéro roku, spore już dziewczę, ochrzcili ją na Małgosię, a zapisali, jako córkę nieznanych rodziców pod nazwiskiem Wyrzutek, iż ją litościwa fala wyrzuciła z otchłani. Potém oddali ją do miasta „Przyląd", do karczmarza Godzięby, gdzie z początku używana była do posługi i do kołysania dzieci, potém do noszenia ich po dworze i do prania pieluch, potém do wymywania i do pielenia w ogródku, potém pasła gęsi, potém chodziła z dziećmi do szkoły, a w domu myła szkło od wszelkich trunków, prała bielizną dla wszystkich, gotowała śniadanie i wieczerzę i używana była do wszystkiego za popychaja.

W karczmie Godziębów służyła najdłużéj, przez całe ośm lat i dopiéro, kiedy jéj kazali drzewo rąbać, nie mogąc już pracy podołać, uciekła w sobotę przed niedzielą od najcięższéj roboty.

Po drodze zabrał ją gospodarz z bardzo daleka, ze wsi Jezierzysk, Antoni Skrobek, co woził pszenicę do portu. Ledwo roczek mogła wytrwać na nowéj służbie, bo gospodarz — samozjadek, gospodyni — liczykrupa pędzili ją od roboty do roboty bez wytchnienia, nawet w święto, a chowali głodno, na skąpéj, jałowéj strawie i przyodziéwku nie dawali prawie żadnego; to też w lichéj, wytartéj spódnicz-

ce i w dziurawym na łokciach staniku, bo sobie go załatać nie miała czasu, uciekła od Skrobków w same żniwa i szła o proszonym chlebie cały tydzień, aż doszła do Więcierzewa.

Tu ją przyjęli na służbę Wojciech i Petronela Rybitwy, gospodarze, biédacy na kilku morgach, więc żyli téż głównie z owoców morza, to jest: z połowu ryb, raków i bursztynów.

Małgosia była zręczna i pracowita, a Rybitwy byli ludzie bardzo poczciwi, dogadzali jéj więc we wszystkiém... nic jéj téż u nich nie brakowało, miała wszystko, co sama zechciała, nawet dobre słowo, droższe od najlepszego jadła, od najpiękniejszéj sukni, droższe nawet od gwiazdki z nieba...

Niedługo jednak było téj dobroci. Rybitwy mieli sześcioro drobnych dzieci. Rok był ciężki. Urodzaje ziemniaków zawiodły w plonie, żyto się na pniu wypaliło... żywność stawała się coraz droższa, aż nakoniec Rybitwy musieli wypowiedziéć Małgosi służbę, bo nie mogli własnych wyżywić dzieci...

Na samą Matkę Boską Gromniczną dali jéj najlepsze świąteczne suknie i chustki, ostatni kęs chleba do kieszeni, pożegnali się z nią nie bez płaczu i szlochów sześciorga drobiazgu. Dzieci, które Małgosię bardzo kochały, nie chciały jéj puścić od siebie, trzymały się to spódnicy, to fartucha tak mocno, że musiała matka każde z nich oddzielnie oderwać i do kąta wepchnąć...

Więcierzów należał do sąsiedniéj parafii, o milkę tylko od Nagórzyc odległéj. Małgosia wiedziała o odpuście, więc poprosiła o świéczkę z choinki, bo myślała sobie, że teraz, gdy już sama nie wié, gdzie się obrócić, to jak gromniczkę zapali, weźmie ją Matka Boska do siebie... tymczasem przysłała dobrych ludzi, co przygarnęli siérotę do ciepłego serca.

Na niebie słońca nie było... patrzyło się na świat przez śnieżyste chmury, jakby blade złote oko przez białą szybę i puszczało z siebie — samą jasność bez promieni... Na morzu była cisza wielka, uroczysta, świąteczna... słychać było lekki oddech fali w dźwięcznym ich, jakby szklanym pluskocie o lód zamarzłych brzegów.

Łódka dopłynęła niebawem do morskiéj wydmy. Walek przywiązał ją do palika grubą liną; kobiéty wysiadły szczęśliwe i wesołe, bo im gromnice nie pogasły i ślicznie gorzały w czasie drogi.

— Kiedy się nam gromnice dopaliły do saméj chaty—rzekła stara rybaczka, próg izby przestępując—to nie pomrzémy w tym roku nagłą, nieswodziéwaną śmiercią, a na tamtym świecie będzie nam zawsze jasno i wesoło...

IV.

Miłosierna Opatrzność, aby wynagrodzić sierocie stratę rodziców, czuwa nad nią nieustannie słoneczném swojém okiém... gdzie się jeno obróci samotna niebogą, tam owo czuwające oko zwraca się także promienistą swoją tarczą, a kiedy niebo czarne zamroczą chmury, to jeszcze przez nie nad sierocą główką krążkiem jasności świéci... Jasno téż i wesoło zrobiło się w chacie na morskiéj wydmie po wejściu do niéj Małgosi... Ciemne kątki izby nabrały jasności jakiéjś... papiérowe gwiazdki i kwiatki po ścianach wystąpiły w żywszych blaskach i barwach, Matka Boska, Pan Jezus i Święci patronowie, zdawali się słodko uśmiéchać z ram malowanych, nawet donice, talérze i miski na półkach zaświéciły niezwykłą czystością, jakby się w nich słonko przeglądało swoją w promieniach głową.

W sercach wdowy rybaczki i Walka zaświtało także wesele... czuli wielkie, błogie zadowolenie... nie troskali się, choć im przybywał nowy kłopot, byli tak szczęśliwi, jakby im już nic nie było potrzeba na świecie... pokój i pogoda podniosły blask oczów i rozlały się po twarzy cichą radością... słowem, po wstąpieniu Małgosi do chaty na wydmie osłoneczniło się w izbie i w duszach... Patrząc na to uszczęśliwienie poczciwych ludzi, można się było przekonać własnemi oczami, że gdzie przez próg siérota—tam słoneczko we wrota.

Z Małgosią wstąpiło do izby, jakby majowe święto... Posępna osowiałość znikła ze ścian i twarzy... głuche kąty odezwały się echem wiosennych śmiéchów i piosenek... powietrze ożywiało piersi, jadło stawało się smaczniejsze i bardziéj szło na pożytek, koza lepiéj się doiła, koźlątko rosło, jak na drożdżach, wprowadzało matkę do izby w raźnych podskokach, a na powitanie stawało na tylnych nóżkach i lizało Małgosię po rumianym policzku... Wdowa, Magdalena Żagiel, jakby po ciężkiéj chorobie z omartwienia powróciła nanowo do życia, nabrała sił, odmłodniała, skóra na kościach jéj twarzy straciła żółtość, wypełniła się nieco ciałem, zmarszczki czoła rozchmurzały się często uśmiéchem... sama przestała siadywać po kątach, zapadać w zadumę i senność, a choć tęsknota ciągnęła ją codzień wieczorem nad morze, to klękała na brzegu nie sama i mówiła paciérz za nieboszczyka w otchłani spokojnie, nie roniąc łez gorzkich do słonych fal morza.

Młodość nie lubi być samotną; ma ona przed sobą całe życie... a do życia potrzebuje koniecznie podziału, potrzebuje choćby jednego serca, choćby jednéj ręki do wspólnéj pracy, do wspólnéj doli czy nie-

doli... Bez tego serdecznego współudziału praca nie idzie i mało plonuje, owoce jéj nie smakują i tracą wartość, szczęście nie zadawalnia i nie cieszy, nieszczęście przygniata barki ciężarem nad siły i przed czasem zabija... Młody samotnik — to ptak w klatce, co napróżno krwawi skrzydełka, bijąc niemi w żelazne prątki, a potém nieukojoną tęsknotę wyśpiewuje w rozgłośnych pieśniach, dopókąd mu serce nie pęknie...

Dla Walka, młodego samotnika na niezmiernéj wód przestrzeni, który w łódeczce, jakby w skorupce orzecha, uganiał się z pełnemi falami, gdy szybko miotała je burza, lub się na nich kołysał, gdy spokojnie i lekko oddychało morze, dla tego morskiego ptaka, który bobrował po sitowiach, po trzcinach i łabuziach od jutrzenki do zmroku — Małgosia była ową perłowopiórą rybitwą, co z samych niebios pławiąc się w powietrzu, sfrunęła na dźwięk najczulszéj serca jego pieśni...

Gdy stanęła przy jego boku, drgnęło w nim jakieś nowe życie, jakby jakaś moc niezłomna w niego wstąpiła, jakby wyrósł nagle na olbrzyma. Kiedy się wtedy prostował zdało mu się, że sięga głową niebios stropu... kiedy wyciągnął rękę, czuł, jakoby się przedłużała do krańców widnokręgu... kiedy co dźwigał wtedy choćby najcięższego, nie zginał karku i szedł żwawo, jak z piórkiem na barkach...

Gdy ją zobaczył, pierś mu krwią wzbiérała, twarz płonęła, serce rosło i biło mocno... Gdy podał jéj rękę, ogień żył spajał im dłonie na ogniwo żywe, jakby palec do palca przyrastał tak, że po chwili oderwać jeden od drugiego trudno już było i nie mógł bez przykrości... Była to miłość... bo ona podnosi serce i uszlachetnia razem, ona i krew mnoży i rozpłomienia, ona budzi w duchu i w mięśniach potęgę, co wszystko może, bo ona jedna jest wszechmocném uczuciem w piersiach człowieka, ona jedna wléwa nowe życie i cuda tworzy...

W Małgosi sercu zapłonęło też to cudotwórcze uczucie, jak woń i barwa w kwiatku, zupełnie nieświadomie... Oczy jéj stały się jaśniejsze i żywsze, wzrok bystrzejszy, przenikliwszy, sięgający aż do niebieskich granic przestrzeni bez wytężenia, białka uwypukliły się i nabrały blasku, źreniczki, jak kropelki rosy w dwóch otwartych niezabudkach wypuszczały z siebie promyczki majowego słońca...

Twarz Małgosi nabrała wyraźnych, miłych, powabnych rysów, skóra na nich wybielała świéżością i ożywiła się różową siecią, ledwo dojrzanych żyłek, jak biały listek kwiatu barwnemi prążkami. Codzień Małgosia stawała się ładniejszą... codzień się jakiś wdzięk uzupełniał, udoskonalał, lub nowy na liczko występował, widocznie kwitła, jak ta różyczka w polu, gdy z zielonych pączka obsłonek pierwsze różowe listki rozwija...

Coś ją téż bardzo do Walka ciągnęło... Gdy się wyprawiał na morze z siéciami na ramieniu, niosła mu wiosło do łodzi i patrzała z brzegu, dopóki nie zniknął w wodnym lasku trzcin i sitowia... Przed wieczorem, z zachodniém słońcem, czekała znów na brzegu, aby zabrać połów do koszyka i pomódz rozpiąć mokre więcierze... Przy każdéj pracy stawała do pomocy przy jego boku... gdzie się obrócił, oczy jéj ciągnęły za nim, jak miłosierne gwiazdki, a byłaby za oczami podążyła i osóbka, gdyby nie pilna własna w chacie robota. Praca nie dopuszcza wielkim uczuciom pochłonąć całkiem ludzi ubogich, nie dopuszcza zawrotów głowy, strzeże od odurzenia, doprowadza do przytomności, a nawet uspakaja, łagodzi i znośną czyni wszelką niemoc tak duszy, jak ciała.

Małgosia czuła, że coś ją do Walka przywiązało, jakby jakieś niewidzialne okowy, lub pęta. Tak było rzeczywiście, albowiem pokochała go całém swém sercem młodém, a sama tylko miłość—ludzi niewoli z dobréj woli...

Nadeszła wiosenka... Zapowiadały jéj powrót ciągnące wysoko sznury żórawi, bocianów, gęsi i kaczek. Pokazał się niebawem i słoneczny jéj zwiastun...

Ptaszek zorzy, niebios dzwonek,
Bijąc w szarych skrzydeł końce,
Wyfrunął z roli skowronek
Zbudzić pieśnią ze snu słońce.

Wyłoniło się zatém ze śnieżnych chmur młode słonko i zaczęło gorącém prażyć zamarzłą ziemię. Tajały śniegi, pękały lody z hukiem. Strugi, strumienie, potoki wylewały się ze śniegów i pędziły do rzek i rzeczek radosne, szemrząc i gwarząc chórem... Wiosenne wody, najburzliwsze ze wszystkich, wezbrały nagle, wysadziły kry z piersi Wisły, rozniosły je po polach, a całe ich nieprzejrzane tłumy popędziły przed sobą do morza...

Z wiosennemi wodami płyną gromady ryb, niesione wartkiemi falami powodzi. Z głębi morskich wypływają jednocześnie różni wielcy w łuskach i ostrych skrzelach rozbójnicy, i czatują na tych ze słodkich wód przybyszów. Ujścia i zatoki ożywiają się wtedy walką, a raczéj pogonią, a lepiéj jeszcze uganianiem się mocniejszych za słabszemi. Jest to czas najobfitszego dla rybaków połowu... i mocniejsi, i słabsi dostają się wtedy do sieci najpotężniejszego świadka. Słonko bystro świéciło i mocno grzało. Zatoka się już z lodów oczyściła. Kry nieskończonym archipelagiem lodowych wysepek uniosły

prądy na pełne morze, gdzieniegdzie się tylko jeszcze jaka zabłąkana pławiła w falach, tając powoli... Walek wybrał się na połów, a że spodziéwał się obfitszego, więc zaprosił z sobą Małgosię do pomocy.

Gdy wyszli z chaty, było już tak gorąco, że w słońcu pławiło się stadko komarów, na piasku rozłożyła się żabka, co najpierwsza wyszła z wody... wygrzéwała ona skostniałe członki i chwytała w pyszczek ciepłe powietrze.

Płynąc na łodzi, usłyszeli pierwsze dźwięki w powietrzu... to promyki słońca wyciągały już piosenki z dzióbków ptasząt, które się kołysały po badylach trzcin i sitowia. Było to stadko morskich szarych z płowemi gardziołkami pokrzewników. Gdy wjechali w gąszcz suchego, trzcinowego lasku, zerwały się rybitwy i krążyły wysoko, wszystkie dwójkami, wszystkie w parach, jak zwykle na wiosnę...

Szczęście posłużyło młodéj rybackiéj parze. Połów obfitością przeszedł wszelkie spodziéwanie... środek łodzi zarzucony był po brzegi różnego kształtu i wielkości morskiemi i rzecznemi rybami, które, rzucając się, migotały srebrnemi i złotemi smużkami swoich łusek...

W uniesieniu radości Walek rękami, jakby w obcążki, objął stanik Małgosi, podniósł ją w górę, przycisnął do warg swoich jéj malinową buzię i wycałował serdecznie, a potém dopiéro zapytał:

— Małgoś! będziesz ty moja?

— Niczyja, jeno twoja! — odpowiedziała sercem całém i całą buzią głośno Małgosia.

W izbie chaty na wydmuchu skłonili się oboje staréj rybaczce do kolan, objęli ją za nogi, a Walek zawołał:

— Matuleńku! przeżegnaj! bo będziemy już swoi.

Matuleńka spełniła najpierw, o co ją prosili: zrobiła trzy krzyże po jednym nad każdą schyloną głową, a jeden wielki wspólny nad obiema, i przerywając często mowę z głębokiego wzruszenia, powiedziała:

— Widziałam ja to dobrze, że się macie ku sobie, i bardzom się z tego cieszyła, jakbym się sama dopiéro do stanu małżeńskiego zabiérała. Wielka to dla mnie łaska Pana Boga, żem się doczekała synowéj. Już teraz oddam Małgosi klucze i wszelki dobytek. Będę u was siedziała na wyciągu... będę wam nad kołyską śpiéwała, będę wam dzieciątko nosiła i piastowała.

Po błogosławieństwie macierzyńskiém, bardzo się wesoło zrobiło w chacie na morskiéj wydmie, a najbardziéj się cieszyła stara matuleńka, bo z téj wielkiéj radości aż się jéj na płacz ciągle zbiérało...

V.

Gorączka wydziérania się w świat za nadzieją lepszego szczęścia jest chorobą powszechną ludzkości... Pielgrzymi doczeŝni — nie znajdujemy nigdzie na ziemi zupełnego zadowolenia... Do zupełnego szczęścia zawsze czegoś brak, nawet najbogatszym, ztąd czujemy to wszyscy, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma i przenosimy się z miejsca na miejsce, dopóki nas nie przeniosą w krainę wieczności, bo tylko tam, za grobem, u stóp Boga już człowiek niczego nie pragnie... Gorączka szukania szczęścia napada niekiedy i zabija ludzi, jak kołowacizna, a dostaje się do serca przez uszy. Słuch, wieść, pogłoska daleko roznosi jéj śmiercionośny zarazek przez powietrze... Z za gór wysokich, z za mórz dalekich spada owa wieść zaraźliwa w liście pisanym, jak lśniący ptak złowieszczy, i wabi i nęci widokiem stron cudownym, jakby ziemskiego raju... Komu się dostanie do uszu, temu zaognia serce żądzą posiadania skarbu nowego świata, ten marnuje za bezcen ojczystą chatę, w któréj się urodził, zagony, które orał, bydlątka, które pasał i wszelki dobytek... ten zgarnia w kieskę trochę grosza, zawiązuje w węzełek: koszulę ze lnu matuli i szmaty z wełny owieczek tatuli, ten opuszcza kościołek, co go w nim chrzcili święconą wodą, zaléwa się na frasunek w karczmie z chrzestnymi i kumotrami, a potém pędzi na oślép przed siebie na złamanie karku — za góry, za morza... Pędzi za nim wkrótce drugi, trzeci, dziesiąty, nareszcie zbiérają się całe kompanie, całe gromady kołowatych — ze starymi ojcami, z siwemi matkami, z młodemi żonkami, z dziećmi wyrostkami, z niemowlętami nawet przy piersi i pędzą na ostateczną zgubę...

Najczęściéj wszakże, kołowacizna żądzy mienia, ta gorączka w świat za szczęściem, jak każda gorączka, bywa chorobą przejściową życia wiosny. Młodzieniec, przez nią opanowany, dostaje jakichś dreszczy wewnętrznych, jakichś ciągot duszy... traci smak do wszystkiego, nic mu się w otoczeniu koła swego nie podoba, na co spojrzy, to nieładne, to nic warte, wszystko mu się przykrzy... Potém rumieni się, jak w odrze, staje się bardzo ożywionym i majaczy...o niebywałych pod słońcem ziemiach, o niesłychanych skarbach, które dziś stoją dla wszystkich otworem. Kołowacizna wtedy jest już najzupełniéj rozwinięta i daléj w moc rośnie, a gdy dojdzie do punktu przesilenia, to jest, gdy rozpłomieni krew wszystką w żyłach, naówczas nieszczęsnego takiego zagorzalca nic i nikt nie powstrzyma... ani cichy płacz matuli, ani ukochane ramiona z pierścionkiem ślubnym na palcu... wydrze on się z nich i popędzi na oślep — na bory, na lasy, za góry, za morza...

Dopókąd Walek żył sam ze swoją matuleńką, było mu dobrze na morskiéj wydmie w zgarbionéj chatce, obywał się tém, co miał i nie pragnął więcéj, nie pytał: co daléj będzie? nie pomyślał nawet, że zgrzybiała chata może się rozwalić ze starości, że jak biédę nawiedzi głód, albo choroba, to się zamienia na jasnokościstą nędzę.

Teraz dla Małgosi zapragnął najpierw nowéj chaty... zdało mu się, że ta stara, garbata, to się kiedy zapadnie i w zwaliskach matuleńkę z Małgosią zagrzebie.

Do nowéj chaty zdałaby się nowa obórka. Jak stanie obórka, to będzie za wielka dla kozy, pomieściłaby się w niéj i krówka, a dla krówki trzebaby przykupić choć ze trzy zagonki od sąsiada za strugą, bo się na saméj wydmie nie wyżywi.

W chacie nowéj niechby stały: nowe łóżka, malowane w kwiaty skrzynki, duży, dębowy stół, nowe garnki, poléwane miski, białe, wzorzyste talérze, blaszane, świécące łyżki... Dla siebie wiele nie pragnął, ale zdałaby się: siéć nowa, większa, z jeden jeszcze więcierz do zastawiania, sak na drągu dużym do wsuwania pod kępki mchów i traw morskich, łódź bukowa, cała pakiem wylana od wnętrza, a na zewnątrz malowana, bo taka dłużéj nie murszeje, i wody ani kropli nie przepuszcza i ładniéj wygląda.

Wyrostek jakiś do pomocy bardzo byłby téż na rękę... Matuleńka w lata wchodzi, Małgosia musi ją teraz już wyręczać, z czasem musi całkiem we wszelakiém domowém obejściu zastąpić, a jak przyjdzie, a jak przyjdzie na nią taki czas, że nie będzie mogła — to co? Tego jeszcze nie było mu dosyć... bo żądze ludzkie są, jak rozhukane konie, jeno im raz popuścić wodze, już ich żadna ręka nie powstrzyma, dopókąd same gdzie o mur jaki łbów sobie nie roztrzasną...

W jedną niedzielę stali przed chatą Walek z Małgosią, czekając na matuleńkę, co się jeszcze po izbie krzątała. Mieli jechać do Nagórzyc na nabożeństwo.

Małgosia codzień stawała się piękniejszą. W białéj spódniczce i staniku, w czerwonéj na głowie chusteczce, zawiązanéj pod bródką, kwitnęła urodą, jak maczek w zbożu, co pierwszą czerwień listków swoich wychyla z pączka...

Walek, ni stąd ni zowąd, chwycił ją, jak miał zwyczaj, oburącz za nogi, podniósł w górę i, trzymając tak w powietrzu, powiedział:

— Małgoś! wiész co?... Gdybym był bogaty, tobym ci na każdy paluszek kupił z oczkiem pierścionek, a na szyję i korale, i perły, i wstążki, i takbym cię wystroił, jak jaką świętą pańską w obrazie na ołtarzu...

Małgosia zapłonęła się na twarzy z wielkiéj radości i roześmiała się, bo ją Walek nie chciał puścić, tylko, jak dużego dzieciaka, niósł na ręku do łodzi.

Przez całą drogę do Nagórzyc Walek był, jakby nie swój, jakby jakiś inny, jak ten, któremu świta w głowie... Milczał, odpowiadał krótko, półsłówkami, czasem nie do rzeczy... patrzył przed siebie gdzieś daleko, a nie widział prawie przed sobą ani matuleńki, ani Małgosi... W takiém zapatrzeniu nieprzytomném otwiéra oczy człowiek, zbudzony nagle, kiedy mu się ślicznie śniło przez noc całą... Nie patrzy on wtedy na świat, tylko ściga wzrokiem czarodziejskie snu pałace, które, jak mgła księżycowa, w brzaskach dnia się rozpływają...

Walek śnił także cudownie, ale na jawie... Zapaliła mu się w głowie żądza zostania bogatym i w téj gorączce już nic nie widział, tylko siebie... jak zgarnia złoto za morzem.

W drodze do chaty, gdy wracali z Nagórzyc, pytany często przez kobiéty, co mu jest, że tak osowiał i, jak mruk, ledwo co mówi... rozgadał się w końcu Walek bardzo, a słowa mu płynęły, jak prędkiéj wody bulkoty...

— Nic mi nie jest, matuleńku! ani mi się na chorobę nie zbiéra nijaką, tylkom bardzo zapatrzony, bo mi się coś ślicznie widzi za morzem...

Wiécie co, ksiądz teraz ślubu nie da, bo Małgosia za młoda, trzeba poczekać może rok, może dwa, a za rok, za dwa najdaléj, mogę powrócić z pełną kabzą piéniążków. Będzie łódź nowa, wielka, malowana, zwać się będzie „Małgorzatka" i każę to imię wypisać na niéj złotemi literami, będzie wielka, nowa chata, będzie kilka zagonów od sąsiada z za strugi i krowa tęga, wielka, czerwono-łatka, bo taka najwięcéj daje mléka, a potém, potém... będzie wesele, ale takie, że mu się ucieszą het!—na całym morskim podmuchu—i ludzie, i bałwany!

Pójdę do miasta. Zgodzę się na okręt za majtka. Zadatek zaraz wam przyszlę. Wystarczy na pół roku. Na drugie półrocze przyślę piéniędzy z Ameryki. Rybek téż i bursztynów nałowicie sobie we dwie. Biédy wam bezemnie nie będzie, a i odtęsknicie się prędko, bo przecież umiem pisać, to wam zaraz dam znać: jak mi tam jest i jak mi się wiedzie.

— E! nie zda mi się, Walek, żebyś ty od nas tam precz, za morze się wybiérał!... — odrzekła matuleńka słówko za słówkiem, powoli, przychodząc do siebie, jak po piorunowym grzmocie, bo tak w nią uderzył niespodziéwanie zamiar synusia wyprawy po złoto.

Małgosia po słowach Walka widziała się już w bliskiéj przyszłości panną młodą, zestrojoną w perły, wstęgi i korale na własném weselu, co go słychać na lądzie i na morzu... przerwała więc strapienie matuleńki wykrzykiem radości...

— E! co tam! Nie trza się bać! Niech Walek jedzie! Nie damy się same biédzie! a za rok, za dwa najdaléj, będzie nam wszystkim lepiéj...

Wyrazy te stanowcze przyszłéj synowéj zamknęły wargi staréj rybaczce. Jakby zatopiona w posępnéj przyszłości przezroczu, szła ona cicha za młodymi, nie przerywając ich głośnéj, wesołéj rozmowy, od któréj, jak od majaczeń gorączki, rozczerwienili się oboje mocno na twarzach...

Nazajutrz przy śniadaniu opowiedziała Małgosia, jako miała sen śliczny, co bardzo dobrze wróży... Brodziły niby obie z matuleńką po morskiéj mieliźnie, upatrując na dnie bursztynów. Naraz błysnęło coś Małgosi z pod kępki mchu morskiego... Podważyła ową kępkę oburącz i wydobyła z wody — przezroczystą, podobną do stężałego miodu, bryłę bursztynu, wielkości i kształtu ludzkiéj głowy...

Co się w nią wpatrzy... widzi, czoło, nos, oczy i wargi Walkowe... Pokazuje bryłę matuleńce... ta nieboga widzi to samo... bursztynową twarz synusia...

Z wielką radością zaniosły ją na wydmę do chaty, a że żal im było sprzedać tak ślicznéj głowy bursztynu, więc schowały ją do skrzynki, aby się nią nacieszyć mogły, codzień na wieczór oglądając...

Śliczny ów sen, który i matuleńka za bardzo dobrą wróżbę uważała, przyśpieszył podróż Walka.

Nie zwlekając dłużéj, trzeciego już dnia — bieliznę i szmaty owinął w białe płótno, węzełek ten przewiesił przez lewe ramię i zawiązał na piersiach, przeżegnał się, wziął kij w rękę i wyszedł na drogę. Kobiéty, podług zwyczaju, odprowadziły go do krzyża na rozstajach. Tu, że mu się miękko zrobiło około serca, prędko się żegnał...

Raz tylko pocałował rękę matuleńki, raz wiśniową buzię Małgosi, raz tylko uścisnął im dłonie i nie patrząc się na swoje najmilejsze, odwrócony w świat twarzą, wymówił cicho:

— Zostańcie ta z Bogiem!

Potém ruszył szybko drogą do Gdańska.

Biédne siéroty patrzyły za swoim młodym opiekunem, dopóki im nie zniknął na krańcu widnokręgu, a ciche łzy kapały im z ócz zapłynionych na suchy piasek.

VI.

Pędzimy w świat — choćby po najboleśniejszém pożegnaniu — zawsze z dobrą otuchą, bo co krok kraj nowy nowe odsłania widoki, pociąga oczy, zachwyca duszę, w sercu budzi nadzieję...

Tak i Walek wytężał oczy na to, co widział, wstrzymywanemi łzami, co do nich napływały, tłumił ból w piersi, a żądzą skarbów zamorskich podżegany, pędził, jakby jaki „paronóg" ognisty, i niebawem stanął w wielkim porcie Gdańska.

Tu, kazał się zawieźć na łodzi w sam środek lasu masztów, zatrzymał się „na chybił trafił" przed pierwszym z brzegu okrętem, zapytał się o drogę i o służbę? to jest: dokąd jedzie i czy nie przyjąłby go do posługi?

Okręt nazywał się „Postęp" i miał to imię swoje wielkiemi głoskami złotemi wybite na przodzie pod kotwicą.

„Postęp" przygotowywał się właśnie wyruszyć wczesnym rankiem do Ameryki, a lubo już miał zapełnioną osadę załogi, chętnie jednak przyjął młodego, krzepkiego rybaka za majtka i dał mu gruby zadatek.

Walek, leżąc na pokładzie, napisał mały listek, włożył w niego pieniądze, wyprawił łodzią pocztową na ląd, skąd już wózkiem wysłano go razem z innemi do Nagórzyc, a stąd listonosz przyniósł go do saméj chaty na wydmie.

Szczęśliwym zatém trafem znalazł się Walek, po pożegnaniu się z Małgosią i matuleńką, już nazajutrz o świcie na pełném morzu...

Niezmierne, nieogarnione, wiecznie żywe nieustanném kołysaniem fal swoich nieskończonych i wiecznie gwarzące nie umilkającym ich szmerem, szumem i pluskotem morze, ciągnęło ku sobie oczy młodego Mazura...

Znał je tylko od brzegów, chciałby mu się przyjrzéć w pełnym majestacie na środku, ale żwawa posługa nie pozwoliła przystanąć ani na chwilę. Dopiéro po południu bywa na okręcie dla majtków „drzymaczka", to jest czas wolny półtoréj godziny na przeciąganie krzyży.

Skorzystał z téj wolności Walek nie dla krzyża, bo nie czuł się jeszcze zmęczonym, ale dla oczu, aby je napaść...

Oparł się o poręcz pokładu i patrzał w morze...

W gorejących blaskach południowego słońca unosiły się fale płynnemi taflami złotych zwierciadeł. W każdém z tych zwierciadeł widział on żywą twarz swoją, jak przeléwała się w stronę, którą porzucił... Pomyślał w duszy... Gdyby tak te fale przeniosły mój portret aż do chaty na morskiéj wydmie... One tam z pewnością stoją na brzegu... toby zobaczyły: gdzie jestem i jak mi tu jest?!

Widocznie serce młodego Mazura wezbrało żalem po drogich stronach i osobach... Zaczął tęsknić na otwartém morzu... gdy bowiem okręt pruje przodem piersi bałwany, wtedy odływające od niego w nieskończoność fale, wyciągają tęsknotę z serca podróżnika, zwróconego twarzą do niknącego w oddali lądu... i unoszą tę tęsknotę aż do szczęśliwych, opuszczonych brzegów...

VII.

W Ameryce téż wszystko się wywijało Walkowi, jak z płatka... samo szczęście lazło mu w ręce... Ledwie nogą wstąpił na ląd i rozglądał się do koła siebie po obcych ludziach, po nieznanych drzewach i ptakach o przecudnie lśniącém, jedwabistém pierzu, poznał go po granatowéj sukmance z czerwoną podbitką pod kołnierzem, po sukmance z czerwonemi wyłogami na piersiach i rękawach, stary Polak, doktór Izydor Koper, który tam od młodych lat zamieszkał...

Doktór Koper przybliżył się do Walka i powitał go po naszemu:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków—odrzekł Walek.

— A ty tu po co?

— Po szczęście...

Machnął na to ręką stary doktór i rzekł z westchnieniem:

— Szczęścia nie trzeba szukać daleko... Ma je każdy pod stopami... tylko się trzeba po nie schylać, a karku i rąk nie żałować... No, ale kiedy tu już jesteś, to chodź.

Zaprowadził zatém Walka do swojego ślicznego domku w kwitnących drzewach nad wielką rzeką w ogrodzie, posadził za stołem, ugościł, napoił i o wszystko wypytał.

Następnie wrócił z nim na pokład „Postępu”, wyjednał u kapitana zwolnienie od obowiązku i od zwrotu zadatku, który mu ofiarowano jako wynagrodzenie za służbę na okręcie w czasie przeprawy przez ocean.

U doktora Kopra przebył Walek kilka tygodni...

Zacny doktór oprowadzał swojego młodego gościa po wielkiéj, pięknéj stolicy, Rijo, po podmiejskiéj okolicy i za wiadomości o kraju wywzajemniał mu się ze swéj strony opowiadaniami o Brazylijczykach, o ich obyczajach, zwyczajach i prawach, nazywał mu po imieniu: nowe, nieznane ptaki, ryby, zwierzęta, drzewa, krzewy i kwiaty, a tymczasem rozpisywał listy do znajomych za wyszukaniem dla niego najlepszego miejsca.

Nadeszło w trzy tygodnie kilka odpowiedzi. Wszystkie były pomyślne... w każdéj ofiarowano miejsce dla młodego z kraju robotnika.

Doktór ze wszystkich miejsc wybrał najkorzystniejsze, „poszukiwacza drogich kamieni" i sam odwiózł Walka do Tejaco, gdzie go umieścił w płukarni dyamentów.

Robota była tu lekka, szczególnie dla Walka, obytego z wodą... trzeba było bowiem przez dzień cały brodzić po rzece, czerpać w gęste, stalowe sito ziemię ze dna i przepłukiwać ją dotąd, dopóki nie pozostawiła osadu dyamentowego ze zwiru i z grupek kryształów. W miarę znalezienia większych i większéj ilości tych ostatnich, to jest większych kryształków dyamentu, zarobek był większy, a przy szczęśliwym trafie można było nawet wielki los wypłukać, gdyby się znalazł na dnie sita dyament wielkości laskowego orzecha, lub większy.

Walek uwijał się po dyamentowéj rzece i pilnie, i szczęśliwie... to też po kwartale wysłał matuleńce i Małgosi sumkę na drugie półrocze życia...

Po kwartale znowu popłynęła na mazurskie pustkowie druga sumka na krowę, z tém zapewnieniem, że następną sumkę wyśle na zagony, ale dopiéro za pół roku.

Małgosia na wszystkie te listy odpisywała prawie jedno, że obie z matuleńką za łaską Bożą są zdrowe, czego i jemu życzą, że pieniądze, jakie przysyła, owijają w płatki i chowają do skrzynki, bo zarobek starczy im na życie, i na przyodziewek.

VIII.

Po pieniądzach na zagony zapowiedział Walek pieniądze na nową chatę, a potém miał jeszcze czas jakiś pozostać, aby zarobić na powrót i na łódkę „Małgorzatkę", którą już upatrzył sobie w Gdańsku.

Pieniądze te na chatę nie nadchodziły wszakże bardzo długo. Po czterech miesiącach próżnego oczekiwania odebrały nareszcie za-

kłopotane kobiéty od Walka liścik nie długi bez pieniędzy, ale ze złą i dobrą nowiną, bo jedną zasmucił, a drugą pocieszył bardzo stęsknione serca...

Sercem ukochane, a najmilsze moje!

Matuleńku i Małgosiu!

Pewnikiem odgadłyście, żem chory, kiedy tak długo nie piszę. A już-ciż — coby mnie wstrzymać mogło od pisania, jeśli nie choroba?!

Zwiodło mi się jakoś temi czasy szczęście... Co zaczerpnę w sitko ziemi ze dna, to po wypłukaniu albo nic nie zostaje, albo zwireczek dyamencików, a grupek większych, choćby takich jak sól, to tedy owedy znajdzie się jedna sztuka, ale bardzo rzadko, a jak dwie — to cud.

Zbiéranie téż na nową chatę szło mi, jak z kamienia. Nicby to jeszcze, bo szczęście łatwo nawrócić się mogło, jeno że co wieczór robiło mi się bardzo ckliwo... ani jeść, ani pić, tylko płakać i kłaść się w trumnę!

Radzili mi na to płuczkarze wódkę. Jako żywo! Nie pomaga, jeszcze gorzéj robi. Zacząłem chudnąć, żółknąć, a w głowie tak mnie piekło, jakby mi tam kto włożył rozżarzony węgiel...

Napisałem do najukochańszego tu mojego ojczuszka. Przyjechał złoty doktorek sam i nie odjechał, dopóki mnie zdrowego z łóżka na nogi nie postawił... A teraz mi powiada:

— To, co ci było, jest martwica tęsknoty. Nie choroba to żadna, tylko poseł śmiertelny, co wszędzie się sadowi i wszystkie choroby za sobą wlecze. Wypędzisz go wstrętnym jakim lekiem z serca, zwinie się i włazi ci do płuc; wygonisz go stamtąd, już ci jest w wątrobie, i tak cię, jak robak, wciąż świdruje całego, póki nie zamęczy. Skoro już wlazł w ciebie on gość nieproszony, to nie masz tu co robić...

Pojedziesz ze mną, a ode mnie z domu wsiądziesz na okręt. Na powrót starczą ci pieniądze; coś złożył; na nową chatę, ja ci dam we woreczek i zawiążę go na szyi.

Wracaj do chaty swojéj na morskiéj wydmie... Matuleńce uścisnąć kolana, a z Małgosią się ożenić...

Tak zrobię, jak mi ojczuszek każe.

Za jaki miesiączek, albo za dwa zobaczycie mnie na brzegach naszéj wydmy na malowanéj Małgorzatce, bo na niéj już sam od Gdańska popłynę, tylko się mnie nie przestraszcie... gdyż po „martwicy" wyglądam jeszcze żółto — jużci nie tak, jak cytryna, ale niby zabielony kapuśniaczek między bursztynami.

Padam Matuleńce do nóżek, kolana obejmuję i ściskam, a Ciebie, Małgosiu moja najmilejsza, pozdrawiam i całuję, jak Bóg przykazał, z całego serca, z całéj duszy mojéj.

A teraz do zobaczyska!

Walenty Żagiel.

IX.

Żadna nawałnica nie miota tak okrętem, jak niepokój wewnętrzny sercem. Miesiączek już długi upłynął, jak Walek list wysłał ostatni, a jego samego nie było widać jeszcze... Od częstego wpatrywania się w krańce widnokręgu źrenice matuleńki i Małgosi aż się wydłużyły, a szły z nich promienie wzroku ostre, jak igły. Pościągały się twarze biédnych kobiét od nieprzespanych nocy i nabrały wyrazu trwożnego oczekiwania... wargi od wzajemnych pocieszeń wyschły i zbladły...

Srożyły się tymczasem burze jedna za drugą przez całe dwa tygodnie, że ani głowy nie można było wychylić z chaty, bo ją zaraz wichura chciała drzwiami przytrzasnąć. Bałwany biły o brzegi z głuchym hukiem, wstrząsały chatką a tęskniące w chacie serca rozdzierały przestrachem, jakby żagle na masztach...

W drugi dzień trzeciego tygodnia przed wieczorem zaczęła się burza uciszać... Bałwany przestały się piętrzyć, przestały szumiéć, huczéć i jęczéć, układały się falami coraz niższemi, rozciągały się na płaszczyznę w podrzutach niechętnych, ciężko dysząc i warcząc...

Po niebie ciągnęły chmury poszarpane coraz powolniéj... Księżyc w pełni na wydłużonym, ciemnym obłoku — zdał się być odkrytą, bez przyłbicy głową świetlanego rycerza, co, wyciągnięty w czarnéj łodzi, żeglował po niebieskich przestworach.

Matuleńka i Małgosia odważyły się wyjść na dwór. Obejrzą się na chatę... miała komin zerwany i pół strzechy zielonéj.

Nie daleko od brzegów unosiło się na wodach nowe wielkie wiosło z okuciem żelazném o dwóch ostrzach.

Przyłożywszy ręce do oczu, rozpoznały daléj... jak uciszające się fale kołysały białą z czerwonemi brzegami łódką, wywrócą dnem do góry...

Spuściły z wydmy starą łódź swoją i popłynęły na morze...

Przybliżając się do przewróconéj łodzi, przeczytały już wyraźnie na jéj przodzie czarną tabliczkę z napisem złotemi głoskami: „Małgorzatka".

Gdzie był Walek? skoro łódź jego, acz przewrócona, dobijała już do rodzinnego brzegu...

Wytężały zakłopotane oczy do okoła... na ląd i na fale matuleńka z Małgosią, szukając go wszędy.

Jedna z fal podrzucała granatową sukmankę, jakby zaczepioną o trzciny... Widać, że ją tam rzucił, wyskakując z łodzi, aby mu lżéj było wziąć się z bałwanami za bary, gdy już, znać, innéj nie znajdował rady...

Ale gdzież on sam jest?

Pewno z wysiłku zemdlały, leży gdzie na brzegu...

Podsuwają się z łódką, jak błędne rybitwy, zatrwożone poszukiwaczki w stronę owéj podrzucanéj przez fale sukmanki do trzcinowego lasku...

Oglądają się dokoła... Nigdzie żywego ducha... pusto wszędzie... słychać tylko pluskot morza coraz słabszy i cichszy...

Coś błysło Małgosi nagle z pod fali, jakby bryła bursztynu...

Utopiła wzrok na dnie morza...

Była tam kępka mchu zielonego, a z niéj, jakby z wezgłowia — martwemi oczyma na niebo przez wodę patrzyła najmilejsza główeczka ukochanego jéj Walka, żółta jeszcze po „martwicy”... Bałwany rozpętały mu koszulę u szyi z czerwonéj wstążki i rozerwały woreczek z sumką na nową chatą... Kilka złotych pieniążków nie zdążyły jeszcze fale spłukać z otwartéj piersi...

Tak się wyśnił piękny sen o bursztynowéj głowie synusia...

W istocie schowano ją do skrzynki, ale z czterech desek, gdzie już jéj nie zaświta pod czaszką ogień żadnéj żądzy, bo zimne fale i wilgoć grobu gaszą wszystkie życia gorączki...

* * *

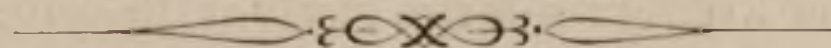
Co się działo z biédnemi kobiétami na morskiéj wydmie po zgonie młodego ich opiekuna?

Żyły w pracy ciężkiéj i w ciężkim smutku samotne siéroty po pogrzebie całego swego szczęścia i jedynéj nadziei...

Syn morza wyzionął ducha w białéj bałwanów pościeli... śmierć to zwyczajna robotnika w swojéj pracowni, a jednak, jak bardzo smutna!?

Dzieje wielkich cierpień rozdziérają serce ciosami piorunów, lecz najsmutniejsze są proste dzieje zwyczajnych boleści... jak z goryczy— najbardziéj przykrym jest gorzki chléb powszedni. Nie ma w życiu powszedniejszego nad śmierć zjawiska, bo kto się rodzi, umiérać musi, a ileż jednak codzień nad grobami łez gorzkich płynie...

Stefan z Opatówka.



STOWARZYSZENIA KREDYTU WŁOŚCIAŃSKIEGO
W ROSYI.



I.

W XXII-gim tomie prac Towarzystwa popiérania ruskiego handlu i przemysłu znajdujemy bardzo ciekawą i sumienną pracę N. O. Osipowa: „O stowarzyszeniach kredytu włościańskiego w Rosyi". Już sam tytuł pracy: „Obraz działalności stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych i projekt organizacyi kredytu wiejskiego"—wskazuje, że praca ta jest nietylko zestawieniem całego materyału statystycznego, jaki źródła urzędowe obejmują, i rezultatem osobistych poszukiwań autora, ale jeszcze: zbiorem wniosków wyprowadzonych z tych cyfr, wykazaniem wad dzisiejszéj organizacyi tych stowarzyszeń i sformułowaniem programu usunięcia tych wad w przyszłości.

Praca p. Osipowa porusza dwie poważne kwestye chwili bieżącéj: kwestyę kredytu dla drobnego rolnictwa i kwestyę stowarzyszń rolnych w ogóle. Ważność obu zadań bliższego wyjaśnienia nie wymaga, tém więcéj, że jesteśmy, jak się zdaje, w przededniu usiłowań rządu, dążących do zaszczepienia w Cesarstwie organizacyi syndykatów rolnych francuskich, które są stowarzyszeniami rolniczemi, obejmującemi w swym programie wszystkie cele ekonomiczno-finansowe rolnictwa, tak dużych jak małych gospodarstw.

Stowarzyszenia kredytu rolnego były w Rosyi zorganizowane na wzór niemieckich kas oszczędnościowo-pożyczkowych *(Spar- und Vor-*

schuss Vereine) Schultze-Delitscha. Syndykaty rolne u nas będą prawdopodobnie zorganizowane na wzór francuski—wnioski zatém ogólne, jakie p. Osipow wyprowadza co do organizacyi kredytu włościańskiego i stowarzyszeń rolnych wogóle, mają znaczenie nietylko objaśnień historycznych, ale jednocześnie wskazówek na przyszłość. Z tego właśnie powodu chcemy zapoznać czytelników naszych z treścią pracy p. Osipowa, przedtém jednak musimy przypomniéć im główne rysy organizacyi niemieckich stowarzyszeń kredytu rolnego, które służyły za wzór dla organizacyi ruskich kas oszczędnościowo-pożyczkowych.

Stowarzyszenie kredytu ludowego według zasad Schultze'go z Delitsch, ma uwolnić ludność niezamożną z rąk lichwiarzy, dostarczyć jéj kredytu na niski procent. Zmniejszenie płaconych procentów daje możność oszczędzania, zbiérania niewielkiego choćby kapitału — a udział osobisty w zarządzie kasy pozwala nietylko praktycznie zaznajamiać się z kwestyami ekonomicznemi, ale przyzwyczaja do kierownictwa w sprawach stowarzyszeń i uczy podporządkowywać interesa osobiste interesom ogółu stowarzyszonych. Solidarna i nieograniczona odpowiedzialność wspólników stanowi rękojmię dla wierzycieli stowarzyszenia. Udział stowarzyszonego oznaczony jest w pewnéj niewielkiéj sumie; przy wstąpieniu do stowarzyszenia, nowy członek wnosi tylko część udziału i przyjmuje obowiązek zwiększania go stale małemi wnioskami peryodycznemi; dywidenda, która na jego udział wypada, zamiast być wypłacaną, dolicza się do udziału dopóty, aż udział w zupełności wniesiony zostanie. Pewna część czystych zysków odkłada się na fundusz rezerwowy, stanowiący własność stowarzyszenia. Wkłady stowarzyszonych i fundusz rezerwowy stanowią kapitał obrotowy stowarzyszenia i gwarancyę dla jego wierzycieli. Stowarzyszenie udziela swoim członkom kredytu krótkoterminowego, trzymiesięcznego, prolonguje pożyczkę raz tylko na nowe trzy miesiące. Zarząd, z grona stowarzyszonych wybrany, ocenia w każdym wypadku oddzielnie ile członkowi, żądającemu kredytu, pożyczyć można i dogląda terminowéj spłaty pożyczek przez stowarzyszonych. Egzekucya nie płacących dłużników odbywa się zwyczajną drogą sądową z całą surowością prawa. W praktyce stowarzyszeń niemieckich, solidarna odpowiedzialność stowarzyszonych za długi stowarzyszenia nie jest frazesem; w wypadkach ogłoszenia upadłości, wierzyciele dochodzili swych należności na prywatnych majątkach stowarzyszonych. Unikać protektorów i opiérać się na samopomocy, uzbiérać kapitał rezerwowy, wynoszący $^1/_3$ sumy ogólnéj wkładów — nie rozszerzać działalności stowarzyszenia po nad trzy razy wzięty kapitał stowarzyszenia—takie były ostatnie rady, jakie Schultze-Delitsch swoim adeptom zostawił.

Oprócz kas pożyczkowych, pomyślanych przez Schultze'go z Delitsch, w Niemczech istnieją jeszcze kasy pożyczkowe typu nieco odmiennego, kasy, tak zwane Raiffeisena. Raiffeisen sądził, że kasy Delitscha są dobre w miastach, dla ludności rzemieślniczéj, kupieckiéj i robotniczéj, ale nieodpowiednie dla ludności wiejskiéj, któréj rodzaj produkcyi wymaga długoterminowago kredytu (1—5—10 lat). Sądził on daléj, że zasada samopomocy nie powinna być stosowana bezwzględnie, *quand-même*, że zasady banków akcyjnych i prywatnych nie mogą być zbyt ściśle stosowane do operacyi banków włościańskich. Stworzył on zatém kasy nieco odmienne. Stowarzyszenia Raiffeisena nie posiadają żadnego innego kapitału własnego, jak tylko fundusz rezerwowy, tworzący się z zysków stowarzyszenia, to jest z różnicy między procentami pobranemi i zapłaconemi. Stowarzyszeni żadnych zysków, żadnéj dywidendy nie dostają; korzyści stowarzyszenia polegają wyłącznie na tanim kredycie. Pożyczki udzielają się krótko i długoterminowe, te ostatnie amortyzacyjne. Kasy Raiffeisena zakładane być mogą tylko przy pomocy osób trzecich, które składają fundusz, potrzebny do rozpoczęcia działalności kasy i nie odbiérają go dopóty, dopóki stowarzyszenie nie zbierze własnego fundurzu rezerwowego lub nie znajdzie kapitalistów, gotowych powierzyć mu swoje fundusze na umiarkowany procent i na długie termina. Stowarzyszony, mający niejakie oszczędności, może je w kasie ulokować, na równi z osobami obcemi — żadnych udziałów, przypominających akcye, żadnych obowiązkowych oszczędności nie ma. Główném polem działalności kas Raiffeisena są sfery małego rolnictwa, a tém samém główną formą pożyczek są pożyczki długoterminowe i ten właśnie specyalny kierunek zapewnił kasom Raiffeisena na wsiach w Niemczech przewagę nad kasami Schultze-Delitscha.

Przypomniéć tu jeszcze musimy, że kasy zaliczkowo-pożyczkowe, tak jak i wszystkie stowarzyszenia, powstałe czy to na zasadach Schultze-Delitscha, czy na zasadach Raiffeisena, tworzą w Niemczech szereg związków prowincyonalnych *Verband*'ów i ogólne związki niemieckie. Stowarzyszenia, do związków należące, do 1889 roku mogły prosić zarząd związku o przysyłanie im peryodycznie rewizora, który rachunkowość ich sprawdzał, a radzie zarządzającéj stowarzyszenia i zarządowi związku prowincyonalnego raport o rezultatach téj rewizyi składał. Korzyści, z tych rewizyi wynikające, były tak wielkie, że do r. 1891 większość stowarzyszeń, do związków należących, rewizyi dobrowolnie ulegało — a nowe prawo niemieckie o stowarzyszeniach, w 1889 r. wydane, rewizyę taką uczyniło obowiązkową, stanowiąc, że stowarzyszenia, do związków nie należące i rewizyi związkowéj nie ulegające, bę-

dą musiały się poddać rewizyi przez rewizorów z ramienia rządu wyznaczonych.

II.

Kasy Schultze-Delitscha i Raiffeisena rozwijały się w Niemczech prawie jednocześnie, pierwsze jednak zwróciły na siebie powszechną uwagę z dwóch powodów: pierwszym powodem było to, że stowarzyszenia typu Schultze-Delitscha nie ograniczały się tylko organizacyą kredytu, ale obejmowały stowarzyszenia: spożywcze, magazynowe i wytwórcze. Drugim zaś powodem był spór teoretyczny w kwestyi stowarzyszeń, jaki Schultze-Delitsch prowadził w parlamencie i na szpaltach dzienników ze znanym agitatorem socyalizmu państwowego, Lassalem. Tém też sobie objaśnić możemy, dlaczego inicyator stowarzyszeń kredytowych włościańskich w Rosyi, ks. A. I. Wasilczykow, powziąwszy myśl zaszczepienia stowarzyszeń kredytu ludowego w Cesarstwie i wyrwania z ich pomocą rolnika z rąk lichwiarzy wiejskich, zwrócił uwagę wyłącznie na stowarzyszenia typu Schultze-Delitscha. Organizacya gminna drobnéj własności ziemskiéj i właściwa ruskiemu włościaninowi skłonność do tworzenia stowarzyszeń zarobkowych *(arteli)* zdawały się stanowić grunt nadzwyczaj odpowiedni dla wszelkich stowarzyszeń. Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu, za inicyatywą księcia, zajęło się tą sprawą i wyznaczyło ze swego łona stały komitet celem: 1) zakładania stowarzyszeń kredytu włościańskiego, 2) rozciągnięcie moralnéj opieki nad już istniejącemi stowarzyszeniami i 3) zbiérania i ogłaszania materyału statystycznego, dotyczącego działalności tych stowarzyszeń. Komitet ten do dziś dnia istnieje, a do r. 1882 przewodnikiem jego i duszą był ks. Wasilczykow.

Pierwszą naturalnie kwestyą, jaką zajął się komitet, było zastosowanie ustawy wzorowéj przez Schultze-Delischa dla *Spar- Vorschuss-Verein*'ów zredagowanéj, do potrzeb wsi ruskich. Owocem pracy komitetu w tym kierunku była tak zwana „1-sza ustawa normalna", zredagowana przez wzmiankowany komitet i zatwierdzona przez ministeryum finansów. W pracy swéj komitet dążył przedewszystkiém do usunięcia pewnych niebezpieczeństw, które miały grozić specyalnie w Rosyi stowarzyszeniom kredytowym. Przedewszystkiém obawiano się, iż na wsi ruskiéj za mało znajdzie się żywiołów inteligentnych, aby dość zawiłą biurowość i rachunkowość stowarzyszeń prowadzić z należytą ścisłością i dokładnością. Daléj obawiano się, aby kasy te nie stały się nowém źródłem wyzyskiwania ludu, przez już istniejących lichwiarzy, aby zarząd kas nie dostał się w ręce kilku wiejskich

kapitalistów, którzyby potrafili wypożyczyć sobie kapitał obrotowy stowarzyszenia na niski procent, aby go już od siebie na wysokie procenta wypożyczać sąsiadom. Wreszcie, obawiano się, iż przy niedość licznych w kraju instytucyach sądowych, przy wielkich odległościach gminy od sądów, w razie powierzania zwykłym sądom dochodzenia i egzekwowania nieuiszczonych w terminie pożyczek, pożyczki te tylko z wielką stratą czasu i pieniędzy egzekwowane będą, co znów zachęci dłużników stowarzyszenia do opieszałości w wypełnianiu zobowiązań, a tém samém może zachwiać zaufaniem publiczném do świéżo powstałych stowarzyszeń.

Komitet, a właściwie mówiąc, głowa jego ks. Wasilczykow, starał się zapobiedz tym trzem niebezpieczeństwom, przez trzy zmiany do normalnéj ustawy wprowadzone. Pierwsza polegała na ścisłém przewidzeniu z góry całéj organizacyi stowarzyszenia i określeniu w ustawie wszystkiego, co można przewidziéć; na najdokładniejszém określeniu szczegółów organizacyi biurowéj i rachunkowości i wprowadzeniu do ustawy normalnéj odpowiednich przepisów, tak, aby przy wprowadzeniu w życie pozostawało założycielowi jak najmniéj wątpliwości do rozwiązania.

Niebezpieczeństwu wyzyskania kas zaliczkowych przez lichwiarzy wiejskich, starał się komitet zapobiedz przepisem o *maximum* wydawanéj pożyczki. Proporcyonalnie do oznaczonego wkładu, jednakowego dla wszystkich stowarzyszonych, każdy stowarzyszony miał w ustawie zapewnione p r a w o d o p o ż y c z k i w sumie $2^1/_2$ raza wziętego wkładu, a to w ten sposób, że do wysokości $1^1/_2$ raza wziętego wkładu pożyczka wydaje się bez żadnych dodatkowych gwarancyi (zastawu lub poręczeń), a prócz tego pożyczka w wysokości $^1/_2$ wkładu wydaną być może dwa razy za poręczeniem jednego członka stowarzyszenia. Poręczenia ze strony osób nie będących członkami, nie mogą być przyjmowane, ale członkom za członków ręczyć wolno do wysokości $^1/_2$ wkładu bez ograniczenia co do ilości poręczeń.

Nakoniec, aby zapewnić ścisłe wykonanie zobowiązań stowarzyszonych względem stowarzyszenia, egzekucyą zobowiązań tych powierzono władzom gminnym, bez poprzedniego dochodzenia sądowego, o tyle, o ile zobowiązania będą odpowiadać formalnym warunkom przez ustawę przewidzianym, a więc będą oparte na dokumentach piśmiennych, własnoręcznie przez dłużnika podpisanych i nie ulegających żadnéj wątpliwości co do sumy należności.

Dla złagodzenia surowości tego przepisu, ustawa normalna określiła jednocześnie i granice egzekucyi. Postanowiła ona, że zajęciu i przymusowéj sprzedaży nie ulegają narzędzia do prowadzenia rze-

miosła i gospodarstwa potrzebne, sprzęty domowe i odzież codzienna, zapasy żywności i opału na jeden miesiąc, a specyalnie w gospodarstwach wiejskich: dom, jedna krowa, jeden koń, i zboże na siew w ilości 25 pudów.

Ustawa nie wspomina o gruncie, o ziemi. Ta w zasadzie zajęciu i sprzedaży ulegać nie mogła, bo jak wiemy, w przeważnéj ilości gmin ruskich, jest ona własnością gminy, a włościanin jest tylko jéj czasowym posiadaczem.

Te trzy kardynalne zasady: ściśle sformułowana ustawa, ściśle oznaczona wysokość zaliczek i specyalne przepisy egzekucyi zaliczek, stanowią trzy zasadnicze właściwości kas oszczędnościowo-zaliczkowych w Cesarstwie.

Na mocy praw ogólnych, w państwie obowiązujących, wszystkie stowarzyszenia oszczędnościowo-pożyczkowe, jako instytucye kredytowe, oddane zostały pod nadzór i kontrolę kancelaryi kredytowéj przy ministeryum finansów. Moralną zaś opiekę rozciągnął nad niemi: wzmiankowany komitet przy wolno-ekonomicznem Towarzystwie, podzielony na dwa oddziały: petersburski i moskiewski — i nakoniec ziemstwa gubernialne i powiatowe.

Te ostatnie nieco krytycznie zapatrywały się na ustawę wzorową: znajdowały w niéj poszczególne paragrafy i nawet zasady, które powinny były uledz zmianie. W r. 1876 w Moskwie odbył się zjazd ogólny przedstawicieli ruskich stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych, na którym ujawniły się różne dezyderaty różnych stowarzyszeń. Żądano dopuszczenia długoterminowych pożyczek, pożyczek na zastaw ruchomości i dopuszczenia więcéj niż jednéj prolongaty. Autorowie jednak ustawy wzorowéj bronili raz ustanowionych zasad z uporem. Dla nich kredyt długoterminowy mógł być tylko kredytem hypotecznym, a o tym kredycie mowy być nie mogło. Bronili téż w zasadzie jedności ustaw na całéj przestrzeni państwa, dowodząc, że różnorodność ich byłaby ze szkodą samych stowarzyszeń, gdyż powiększyłaby mechaniczną pracę w komitecie i kancelaryi kredytowéj, utrudniając kontrolę i grupowanie statystycznych danych, których sprawozdania stowarzyszeń dostarczają. Komitet zasadę tę główną utrzymał, i kiedy z powodu zmian wprowadzonych przez kancelaryę kredytową powstały dwa typy normalne ustawy, postarał się o wyznaczenie delegacyi wspólnéj, która póty przeredagowywała ustawę normalną, aż stworzyła typ zadawalniający i ministeryum finansów i komitet — i ten ostatni znów z zadowoleniem mógł zakomunikować w swém sprawozdaniu rocznem, że odtąd znów jedność ustaw utrzymaną być może, i że ten nowy typ potrzebuje tylko wypełnienia 4 pu-

stych miejsc pozostawionych na nazwę stowarzyszenia, nazwę miejscowości, sumę nominalną udziału i sumę wniosku pierwotnego (obowiązkowego przy zapisaniu się na członka stowarzyszenia), aby mógł być zastosowany z powodzeniem zupełném na całéj przestrzeni państwa.

Wprawdzie, z biegiem czasu absolutne utrzymanie ustawy normalnéj nie okazało się możliwém — sam komitet poprawiał redakcyę ustawy normalnéj i wydał tak zwaną ustawę wzorową N. II, a kancelarya kredytowa zmuszona była poprawiać ją na swoją rękę i wydała normalne ustawy ministeryalne N. I, II i III. Wogóle jednak ustawy te mało się różnią od siebie: kredyt na zastaw ruchomości wprowadzony został tylko w ustawie ministeryalnéj N. III (204 stowarzyszeń) pożyczkę bez poręczenia ograniczono do wysokości udziału (ustawa komitetu N. II i ministeryalne N. II i III), a poręczenie osób trzecich, to jest nie stowarzyszonych, dopuszczone we wszystkich trzech ustawach ministeryalnych. W zasadach jednak głównych wszystkie te ustawy trzymają się typu kas Schultzego z trzema zasadniczemi poprawkami przez komitet z początku zaprowadzanemi, a co najważniejsza, utrzymaną została zasada, że tak powiemy, kardynalna, od początku przyjęta, że założyciele stowarzyszenia nie mają prawa organizować go na innych zasadach, jak tylko na zasadzie ustawy normalnéj.

Przy tych ustawach, mówi p. Osipow, stowarzyszenia oszczędnościowo-pożyczkowe rujnują rolnika. Dlaczego? dowiemy się tego z cyfr zebranych przez niego.

III.

Przechodząc do tych cyfr, musimy zrobić dwa zastrzeżenia. Pierwsze, że dane p. Osipowa nie obejmują w sobie obrazu całéj działalności włościańskich instytucyi kredytowych w państwie, ponieważ dotyczą one specyalnie tylko stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych wedle typu Schultze-Delitscha i to z wyłączeniem stowarzyszeń istniejących w guberniach nadbaltyckich i w Królestwie Polskiém. Nie obejmują więc one ani stowarzyszeń wzajemnego kredytu, bo te tylko miejskiéj ludności udzielają pożyczek, ani kas gminnych, które udzielają pożyczek z sum własnością gmin będących. Tych ostatnich kas jest podobno w państwie około 200, ale żadnych materyałów statystycznych o ich działalności p. Osipow zebrać nie mógł.

Drugie zastrzeżenie dotyczy różnego, co do ilości stowarzyszeń zakresu, podanych przez p. Osipowa cyfr statystycznych. Cyfry te do-

tyczą czasem 400, czasem 600, czasem 700 stowarzyszeń. Mimo silnego nadzoru i stałych usiłowań wprowadzenia jednego szematu sprawozdań, czasem stowarzyszenia sprawozdań nie składają, czasem zaś składają je bez pewnych cyfr szczegółowych. Wskutek tego, podawane przez p. Osipowa cyfry ogólne są sumami danych szczegółowych, wziętych z pewnéj liczby sprawozdań — liczby prawie za każdym razem innéj.

Według tych danych, już w r. 1872 istniało w Rosyi 101 stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych, a w latach następnych ilość ich wzrastała stale: w r. 1875 było ich 508, w r. 1880—902, a w roku 1883 *maximum* 1,000. Od r. 1883 ilość stowarzyszeń zaczyna się zmniejszać: w r. 1886 wynosi 964, a w r. 1890 już tylko 836. W ciągu lat 8-miu od r. 1883 do 1890 przestało istnieć 164 [1]) stowarzyszenia, to jest 16.4% maksymalnéj ilości z roku 1883. Ani ogólnéj ilości członków, ani ilości średniéj członków na jedno stowarzyszenie p. Osipow nie podaje; z tablicy wydanych pożyczek wnosić tylko możemy, że ilości te w przybliżeniu wynosiły:

Rok	Ogólna ilość członków	Średnia ich ilość na jedno stowarzyszenie
1872 w 59 stowarzyszeniach	7,859	133
1875 w 369 „	55,056	149
1881 w 642 „	140,395	218
1886 w 625 „	155,892	249
1890 w 595 „	160,237	270

Z cyfr tych wnosić należy, że ilość członków wzrasta ciągle, ale proporcya przyrostu stale się zmniejsza.

Porównywując w ciągu lat 20 ilość stowarzyszonych, nowo zapisanych i członków opuszczających stowarzyszenie, p. Osipow przychodzi do wniosku, że w bardzo niedalekiéj przyszłości, zapis nowych członków zupełnie ustanie. Średnio na jedno stowarzyszenie:

w pięcioleciu	1871/5	1876/80	1881/5	1886/90
co rok przybywało członków	82	53	40	31
ubywało	14	22	29	27
istotne więc powiększenie wynosiło	68	31	11	4 osoby

Ten sam wniosek wynika z zestawienia cyfry stowarzyszeń, w których w ciągu roku ilość członków nie powiększała się zupełnie;

[1]) Z téj ogólnéj liczby składały sprawozdania: w r. 1872—84, w r. 1875—424, w r. 1880—735, w r. 1883—777, w r. 1886—729, w r. 1890—720 stowarzyszeń,—średnio około 80% ilości istniejących.

stowarzyszeń takich było w pięcioleciu 1871/5—średnio 15, w 1876/80—81, w 1881/5—118, zaś w 1886/90 było 154.

Procent członków opuszczających stowarzyszenie, wykreślonych i wykreślających się stanowi 9% ogólnéj ilości członków. Co do powodów opuszczenia, to 39% wykreślają się sami, wypadki śmierci stanowią 11%, a 50% wykreśla zarząd stowarzyszenia, z których 90% z powodu nie wniesienia składki obowiązkowéj na udział, 39% z powodu nie spłacenia w terminie pożyczek, 2% z powodów bliżéj nie wymienionych. Charakterystyczną jest okoliczność, że w peryodach poprzednich procent wykreślonych przez zarząd z powodu opieszałości we wnoszeniu obowiązkowych wkładów na udział, był znacznie większy niż obecnie; stanowił on w pierwszém pięcioleciu 35%, w drugiém 20%, w trzeciém 11%. Cyfry statystyczne dowodzą, że obecnie członkowie wnoszą na udziały mniéj niż poprzednio; zmniejszenie się więc procentu wykreślonych z powodu opieszałości we wnoszeniu składek, dowodzi, że przepis ustawy, nakazujący wykreślenie takich członków, powoli przestaje być przez stowarzyszenia wykonywany.

Średnia ilość 270 członków na stowarzyszenie prowadzi do wniosku, że ogólna ilość stowarzyszonych w istniejących obecnie 836 stowarzyszeniach, wynosi około 217,720 głów. Licząc ludność rolniczą w Rosyi na 114,000,000, a 5 głów na jedno gospodarstwo, p. Osipow sądzi, że w Rosyi istnieje około 22,800,000 (?) drobnych rolników, i że ledwie $^1/_{100}$ ich ogólnéj ilości korzysta z usług stowarzyszeń oszczędnościowo-pożyczkowych. Stawia on téż pytanie: dlaczego mimo tego stosunku ilość stowarzyszeń co roku się zmniejsza? a ilość stowarzyszonych prawdopodobnie także wkrótce zwiększać się przestanie? Podane przez p. Osipowa obliczenie ilości gospodarstw, może być przesadzone — pytania jednak postawione przez niego gwałtownie domagają się odpowiedzi.

Ogólna suma kapitałów, jakiemi rozporządzały te stowarzyszenia w r. 1890, wynosiła:

kapitał własny, udziały stowarzyszonych	w 717	stowarzyszeniach	6,492,210 rs.
kapitał rezerwowy	w 700	„	1,535,580 „
wkłady	w 601	„	6,098,516 „
pożyczki	w 430	„	5,015,797 „

Że z tych sum szczegółowych, z których każda odnosi się do innéj ilości stowarzyszeń, ogólnéj sumy otrzymać nie można—tego objaśniać nie potrzebujemy. Żeby dojść do ogólnéj prawdopodobnéj sumy kapitałów, jakiemi stowarzyszenia oszczędnościowe pożyczkami obracają, musimy zrobić inny, przybliżony rachunek. W dalszym ciąg

pracy p. Osipowa spotykamy się z cyfrą ogólną pożyczek wydanych stowarzyszonym: na dniu 31 grudnia 1890 r. w 717 stowarzyszeniach (z 836 istniejących) wydane było rs. 17,460,309, to jest rs. 24,351 na jedno stowarzyszenie. Przypuszczając, że średnia ta jest dobra i dla 119 stowarzyszeń, które sprawozdań nie złożyły, otrzymujemy dla tych ostatnich ogólną sumę kapitału, którym one obracają (24,351 × 119) 2,897,769 rubli, a dla wszystkich 836 stowarzyszeń 20,358,078 rubli. Ponieważ przypuszczać należy, że stowarzyszenia sprawozdań nie składające, należą do kategoryi mniejszych, gorzéj administrowanych i cieszących się mniejszym kredytem, twierdzić możemy z niejakiém prawdopodobieństwem, że średnia kapitału własnego i cudzego 24,351 rubli stanowi dla nich *maximum*, do któréj one przeciętnie nie dochodzą — i że dla ogólnéj ilości stowarzyszeń 836 ogólna suma 20½ milionów rubli stanowi maksymalną granicę kapitałów, któremi stowarzyszenia te rozporządzają.

Ogólną tę sumę kapitałów p. Osipow dzieli na 4 główne kategorye: 1) udziały członków, 2) kapitał rezerwowy, 3) wkłady i 4) pożyczki. Stosunek wzajemny do siebie tych 4 kategoryi za każde z ubiegłych pięcioleci wyraża się następującemi cyframi procentowemi:

Z ogólnéj sumy kapitałów stanowiło:	w latach 1871/5	1876/80	1881/5	1885/90
kapitał własny członków: udziały	40%	46%	41%	35%
kapitały rezerwowy	2%	3%	5%	7%
wkłady	8%	17%	21%	26%
pożyczki	43%	28%	27%	26%
razem	93	94	94	94
czyste zyski wykazane bilansem	7	6	6	6
	100	100	100	100

Cyfry te dowodzą, że w ciągu ubiegłych lat 20 kapitał obcy (wkłady i pożyczki) równał się kapitałowi własnemu (udziały i kapitał rezerwowy), że kapitał rezerwowy wzrastał zgodnie z przepisami ustawy stale, ale wzrost udziałów członków, które w pierwszém pięcioleciu podnosiły się dość szybko (z 40 na 46%), w ciągu następnych pięcioleci proporcyonalnie zmniejszał się stale tak, że udziały stanowiły w 1881/5 — 41%, a w 1885/90 — tylko 35% ogółu kapitałów obrotowych:

Udziały stowarzyszonych wynosiły:

	Ogólna suma:	na jedno stowarzyszenie:
w r. 1872 — 73 stow.	138.536 rubli	1,898 rubli
w r. 1875 — 413 „	1,521,040 „	3,683 „
w r. 1880 — 720 „	4,669,993 „	6,486 „
w r. 1885 — 717 „	5,786,312 „	8,070 „
w r. 1890 — 717 „	6.492,210 „	9,054 „

Przyrost z pięciolecia na pięciolecie, biorąc za podstawę cyfry średnie pięciolecia, wynosił: w II-ém pięcioleciu 89%, w III-ém—45%, w IV-ém już tylko 10%. Obniżanie się przyrostu kapitału własnego jest uderzające.

Na kwestyę tę, zdaniem p. Osipowa (jak i wogóle na wszystkie kwestye z rozwojem rolnictwa związane), zbyt mało zwracano uwagi. Ten zastój w powiększaniu się kapitału udziałowego dowodzi, że stowarzyszenia przestały być kasami oszczędnościowo-pożyczkowemi dla ludu, że zbieranie oszczędności na wsiach ustało. Analiza szczegółowa cyfr statystycznych w 663 stowarzyszeniach prowadzi p. Osipowa do wniosku, że w r. 1890 z ogólnéj ilości członków ledwie 26%, to jest 1/4 miała udziały całkowicie opłacone, 76% członków posiadało wkłady uiszczone tylko częściowo, a na powiększenie ich przestało wnosić składki obowiązkowe. Sumy wniesione na udział jednego członka (określony nominalnie zwykle na rs. 50) stanowiły w okresie 1871/5— rs. 6 kop. 8, w 1876/80 — rs. 13 kop. 9, w 1881/5 — rs. 17 kop. 9, w 1886/90 — rs. 19 kop. 7. Liczba stowarzyszonych, którzy swój wkład opłacili, przestała się powiększać, a przyrost roczny na udziały niepełne w ciągu pięciu lat ostatnich stanowił na członka: + 84 kop. + 86 kop. — 56 kop., + 14 kop. + 25 kop., razem za lat 5 — 3 rs. 21 kop., to jest średnio po 32 kop. rocznie na jednego stowarzyszonego. Wzrost kapitału udziałowego staje się z biegiem czasu coraz mniejszy i w niedalekiéj przyszłości za 3 — 4 lat prawdopodobnie ustanie zupełnie, tak jak ustaje wzrost liczby stowarzyszonych.

W rzeczywistości, twierdzi p. Osipow, kapitał udziałowy stowarzyszeń jest tylko fikcyą buchalteryjną: nie istniał on nigdy i nie istnieje obecnie. Na członków stowarzyszenia zapisują się tylko ci, którzy potrzebują pożyczki, a udział czy też część udziału konieczna do zapisania się na członka wnosi się z pożyczonych od stowarzyszenia pieniędzy. Dla formy, kilka lub kilkanaście rubli pożycza się od sąsiada na godzinę i po załatwieniu formalności zwraca mu się z pożyczonych od stowarzyszenia pieniędzy. Najczęściéj potrzebujący pożyczki formują między sobą rodzaj spółki, na kilka godzin składają sumę stanowiącą pełny udział, lub część jego, i dają ją pierwszemu, który, załatwiwszy formalności, bierze pożyczkę i z niéj sumę potrzeb-

ną daje drugiemu, drugi za godzinę dostarcza pieniędzy trzeciemu i tak dalej aż do skutku, dopóki wszyscy spólnicy pożyczek nie dostaną.

Dla p. Osipowa nie ulega wątpliwości, że same zarządy stowarzyszeń ułatwiają i organizują te czasowe spółki, i dlatego jest on zdania, że cały kapitał udziałowy to tylko fikcya, a $6^1/_2$ rubli oszędności nigdy nie istniały i tylko na papiérze figurują. Zdanie to swoje popiéra on cyframi zaczerpanemi z ksiąg dwóch, uchodzących za wzorowe, stowarzyszeń. Wogóle twierdzi on, że członkowie stowarzyszenia nie rozumieją, na co potrzebny jest udział i dlaczego ten, co ma pożyczyć sto rubli, powinien przedewszystkiém sam złożyć 50 rs. — W Pinedze, Jakucku i Berdyańsku jednakie na tym punkcie stowarzyszeni mają przekonanie, a co więcéj i zarządy stowarzyszeń zdanie ich podzielają. Wprawdzie ustawy stanowią, iż każdy członek powinien w terminach oznaczonych wnosić pewną kwotę na dopełnienie swego udziału do sumy wskazanéj w ustawie, pod zagrożeniem wykreślenia go z listy członków stowarzyszenia, ale groźba ta wypełnia się bardzo rzadko; doprowadzenie udziału do sumy ustawą określonéj nie jest obowiązujące, i powiększanie się udziału odbywa się tylko przez dopisanie procentów od udziału.

Kapitał zapasowy 700 stowarzyszeń wynosił w 1890-ym roku 1,535,580 rubli, to jest 2,194 rubli na jedno stowarzyszenie. Według brzmienia ustaw, kapitał ten, aż do sumy równéj $^1/_3$ kapitału udziałowego, powinien być użyty na nabycie gwarantowanych przez państwo papiérów procentowych. Tymczasem kapitał zapasowy stanowi mało co więcéj niż $^1/_6$ nominalnego kapitału wkładowego, i mimo to 22% jego użyte było na pożyczki, 12% znajdowały się w gotowiznie, 3% leżało na procencie w instytucyach kredytowych, a tylko 63% umieszczone były w papiérach publicznych, z których, jak p. Osipow twierdzi, znaczna część była zastawiona, a otrzymana z tego źródła gotowizna była obróconą na pożyczki.

Przechodząc do kapitałów obcych, stowarzyszeniom powierzonych, zauważyć musimy, że przeprowadzony u p. Osipowa podział ich na wkłady i pożyczki jest inny, niż zwykle przyjęty, przy którym wkładem nazywamy: fundusz złożony przez członków stowarzyszenia jako depozyt do oprocentowania, a pożyczką — wszelkie sumy będące własnością osób trzecich, do stowarzyszenia nie należących.

Wedle p. Osipowa, istotna różnica między pożyczkami a wkładami polega na tém, że wkłady same podążają do instytucyi kredytowéj, a pożyczki instytucya sama poszukuje, i na tém, że wkłady są to

pieniądze swobodne, nie wzięte z obrotu, pożyczki zaś są to kapitały mniéj swobodne, często wzięte z obrotów handlowych.

Różnice te istotnie są bardzo ważne pod względem ekonomicznym, sądzimy jednak, że są tak trudne do przeprowadzenia w bilansach, iż cały ten podział jest zupełnie fikcyjny, a jak zobaczymy, nie znajduje się w żadnym związku ani z terminem, na który pieniądze były złożone, czy też pożyczone, ani ze stopą oprocentowania. Przytoczyliśmy powyżéj, że suma wkładów i pożyczek razem wziętych wynosi około połowy kapitałów, któremi stowarzyszenia obracają.

Pożyczki same wynosiły:

	Sumy ogólne	średnio na 1 stowarzyszenie
w r. 1872 w 37 stowarz.	77,379 rubli	2,091 rubli
w r. 1875 w 200 „	794,902 „	3,975 „
w r. 1880 w 394 „	2,406,547 „	6.108 „
w r. 1885 w 442 „	3,835,001 „	8,676 „
w r. 1890 w 430 „	5,015,797 „	11.664 „

Suma ogólna i suma średnia wzrastają ciągle, co dowodzi wzrastającego stale zaufania ogółu do wypłacalności stowarzyszeń.

Z ogólnéj sumy 5,015,797 rs., pożyczek bezterminowych, bez wypowiedzenia poprzedniego wymagalnych, było 6% ogólnéj ilości; bezterminowych z wypowiedzeniem 6%, a terminowych 87%; w tém na czas do sześciu miesięcy 17%, do jednego roku 10%, do lat 5—10%, do lat 10—3% i wyżéj lat 10—2%.

W ogólnéj sumie pożyczek zawierają się dwie specyalne pozycye zasługujące na uwagę: pożyczki pierwotne u ziemstw zaciągnięte i pożyczki zaciągnięte w Banku państwa lub jego oddziałach.

Pożyczki od ziemstw wzrastały początkowo znacznie w miarę zakładania nowych stowarzyszeń. *Maximum* tych pożyczek w sumie 347,432 rubli wypada na r. 1876; odtąd pożyczki te zmniejszają się stale i w r. 1890 wynosiły tylko 164,690 rs. W ilu stowarzyszeniach— nie wiemy.

Ogólna suma pożyczek w Banku państwa także ulega stałemu zmniejszeniom; w r. 1885, w którym pożyczki te w sprawozdaniach komitetu oddzielną rubrykę znalazły, suma kredytu otwartego stowarzyszeniu w Banku państwa z rs. 2,241,800 spadła do 1,768,400, a suma pożyczek rzeczywistych z rs. 1,444,200 do 878,100.

Charakterystyczną cechą pożyczek, zaciągniętych w Banku państwa, jest to, że sumy pożyczone stanowią tylko ½ otwartego kredytu.

Taki stosunek kredytu do pożyczek, jak twierdzi p. Osipow, do-

wodzi, że pożyczki te nigdy się nie spłacają, ale tylko co 1/2 roku przepisują, a to stosownie do rady, jaką dał stowarzyszeniom sam komitet w jednym z cyrkularzy: aby otwartych kredytów nie wyczerpywać nigdy całkowicie, bo w razie nie spłacenia wekslu w terminie, stowarzyszenie straciłoby cały kredyt w Banku. Komitet petersburski radził więc stale brać tylko 1/3 lub 1/2 kredytu, a przed nadejściem terminu brać nową 1/3 lub drugą połowę i nią zaspokoić należny w terminie dług pierwszy.

Suma wkładów w ciągu lat 20-tu stale wzrastała; wynosiła ona w r. 1875 (279 stowarzyszeń) 317,359 rs., w r. 1880 (574 stowarzyszeń) 2,420,291 rs., w r. 1885 (600 stow.) 3,147,496 rs., a w r. 1890 (601 stow.), jak to wyżéj podaliśmy 6,098,516 rubli, to jest 10,163 ruble na stowarzyszenie. Ze względu na termin depozytu, w r. 1890 wkłady na czas do 6 miesięcy stanowiły 3%, od 6 do 9 miesięcy 2%, od 9-ciu miesięcy do 1 roku 31%, wyżéj roku 19%, a razem wkłady terminowe stanowiły 54%, bezterminowe i bez wypowiedzenia wymagalne 35%, bezterminowe z wypowiedzeniem 10% ogólnéj sumy wkładów.

Podział wkładów ze względu na ich właścicieli dał się przeprowadzić tylko w bardzo małéj ilości bilansów, obejmujących trochę więcéj niż 1/3 ogólnéj sumy wkładów—w ostatniém pięcioleciu z sumy 2,233,619 rubli tylko 547,354 ruble, to jest 25% wkładów, złożone było przez samych stowarzyszonych; 1,606,131 rubli, to jest 71% należało do osób obcych, a 80,133 ruble, to jest 4% do różnych instytucyi.

Kapitały oba: wkłady i pożyczki dostają stowarzyszenia na procent bardzo umiarkowany. Procent ten wynosił przeciętiowo w latach 1871/5—5.9%, w 1876/80—6.1%, w 1881/5—6.5%, w 1886/90—6.3%. Różnica w oprocentowaniu wkładów i pożyczek jest bardzo nieznaczna i co dziwna, procent od wkładów, to jest od pieniędzy, które same przychodzą, jak mówi p. Osipow, stanowił w wymienionych 4 okresach czasu 6.2%, 6.5%, 6.5%, 6.2%,—a od pożyczek, to jest od pieniędzy, których stowarzyszenia poszukiwały, wynosił 5.2%, 5.8%, 6.5%, 6.5%. Prawie jednakowe oprocentowanie wkładów, jak i pożyczek, dowodzi, że przeprowadzony przez p. Osipowa podział nie ma racyonalnéj podstawy.

Co do wydatków administracyjnych, to je p. Osipow podaje w następujących cyfrach średnich za pięciolecia:

	na 1 stowarzyszenie	na 1 członka
w r. 1871/5	107 rubli	58 kopiejek
w r. 1876/80	265 „	118 „
w r. 1881/5	458 „	165 „
w r. 1886/90	562 „	195 „

Sumy te są stosunkowo i na stowarzyszenie i na jednego członka bardzo wysokie, ale najgorszém jest ich ciągły wzrost przyśpieszony. W ostatniém pięcioleciu wydatki administracyjne wynosiły:

	na 1 stowarzyszenie	na 1 członka
w r. 1886	524 rubli	186 kopiejek
w r. 1887	540 „	191 „
w r. 1888	555 „	194 „
w r. 1889	559 „	194 „
w r. 1890	633 „	289 „

IV.

Pożyczki wydane członkom stowarzyszeń stanowiły z końcem roku:

1871 w 22	stowarz.	rs.	81,934	na 1 stow.	rs.	3,700
1875 w 407	„	„	2,902,587	„	„	7,132
1880 w 707	„	„	9,718,884	„	„	13,747
1885 w 708	„	„	13,258,868	„	„	18,727
1890 w 717	„	„	17,460,309	„	„	24,351.

Biorąc zaś cyfry średnie w okresach pięcioletnich, suma wydanych pożyczek wyrażała się następnemi cyframi:

w r. 1871/5	wypożyczono	rubli	1,180,505
w r. 1876/80	„	„	6,812,488
w r. 1881/5	„	„	12,200,955
w r. 1886/90	„	„	14,961,588.

I tu więc nastąpiło osłabienie rozwoju stowarzyszeń, które tém mniéj jest zrozumiałe, im dalszemi są one od zaspokojenia istotnéj potrzeby kredytu 100,000,000 ludności rolnéj. Z drugiéj znów strony z punktu widzenia ustaw, suma ta jest większą niż ustawy dozwalają. Według § 49 i 52 ustawy normalnéj, suma pożyczek udzielonych przez stowarzyszenia, nie może być większą od $2^1/_2$ razy wziętego kapitału udziałowego; niektóre ustawy normalne ograniczają ją do 2 razy wziętego tego kapitału, tymczasem wynosiła ona około 2.7 rzeczonego kapitału.

Przekroczenie granic, ustawami zakreślonych, zjawiło się wprawdzie dopiéro w r. 1890, ale szereg cyfr z lat poprzednich dowodzi, że zjawiło się ono nie przypadkowo, ale jako rezultat ciągłego rozszerzania organizacyi pożyczkowéj, bez względu na prawie zupełny zastój we wzroście kapitału własnego stowarzyszeń, a przedewszystkiém bez

względu na zastój w składaniu obowiązkowych składek na kapitał udziałowy, o czém mówiliśmy wyżéj.

Źródło złego leży we wzajemnych poręczeniach solidarnych kilku stowarzyszonych za siebie, bez ograniczenia; w poręczeniach, które dają się pod okiem zarządu stowarzyszenia, a nieraz za jego inicyatywą i wyradzają się w rodzaj interesów spółkowych, zawiązywanych w ten sam sposób, jak i spółki do zapisania się na członków stowarzyszenia.

Bliższe zbadanie cyfr, dotyczących wydawania pożyczek, pozwala p. Osipowowi twierdzić stanowczo, że najregularniéj w roku każdy członek bierze 2 pożyczki, a średnia wysokość ich prawie zmianie nie ulega, zwiększając się powoli i ciągle.

Średnia ta wynosiła	w r. 1886	rs. 59	kop. 81
" "	" 1887	" 62	" 80
" "	" 1888	" 63	" 32
" "	" 1889	" 65	" 07
" "	" 1890	" 67	" 36

Cyfry te dowodzą, że członkowie stowarzyszenia co $^1/_2$ roku przepisują tylko swe zobowiązania z dodaniem procentów, a rzeczywista spłata wydarza się bardzo rzadko.

Ilość pożyczek nie uregulowanych, to jest nie przepisanych w terminie, przy końcu r. 1890 wynosiła 2,881,202 rubli, to jest 16% ogólnéj ilości wydanych pożyczek. Stosunek nieuregulowanych do uregulowanych wynosi 34 : 100 i z biegiem czasu staje się coraz gorszym.

Z ogólnéj ilości nieodnowionych pożyczek (2,881,202) ledwie $^1/_3$, to jest około 1,000,000 rubli płacone są gotówką; pozostałe zatém $^2/_3$ powinny być egzekwowane przez gminy. Ciekawemi są téż szczegółowe dane, dotyczące rezultatów egzekucyi tych $^2/_3$ zaległych pożyczek. Do kas wpływa gotówką ledwie $^1/_4$ należności; z tego 25% pokrywają udziały czy to dłużników, czy poręczycieli, 55% płacą dłużnicy lub poręczyciele, 13% wpływa ze sprzedaży ruchomości, a 6% odpisuje się z rachunków na straty. W ogólnych sumach regulacya rachunków między stowarzyszeniami, a ich członkami przedstawia się nam w następujących cyfrach: z ogólnéj sumy pożyczek około 16%, to jest prawie 3,000,000, są w terminie nieuregulowane, nie odnowione. Z tego $^1/_3$ wpływa dobrowolnie, a około $^2/_3$, to jest prawie 2,000,000 powinny być przymusowo ściągnięte—tymczasem co roku wpływa z nich $^1/_4$, to jest 500,000 rubli, a reszta 1,500,000 rubli przenosi się w bilansach towarzystwa na rok następny. Jak wiemy już, $^1/_4$—6% umarza się odpisaniem na straty.

Przepisy egzekucyjne ustaw odznaczają się wielką surowością prawa i, jak mówi p. Osipow, zupełnym brakiem logiki.

§ 67 ustawy wzorowéj stanowi, że egzekucya niepłaconego zaliczenia ma być skierowana: 1) na pieniężne w k ł a d y (nie na udział) stowarzyszonego, 2) na jego majątek, 3) na jego udział. W dodatku § 24 powiada, że członkowi wykréślającemu się lub wykréślonemu ze stowarzyszenia, udział jego zwraca się dopiéro po zatwierdzeniu przez ogólne zebranie rocznego sprawozdania za ten rok, w którym on ze stowarzyszenia wyszedł i nie wcześniéj jak w 12 miesięcy od dnia jego wyjścia. Według § 72 ustawy normalnéj: nie ulegają sprzedaży za długi stowarzyszenia z majątku niewypłacalnego dłużnika i jego poręczyciela: konieczne domowe sprzęty, odzież codzienna, noszona przez niego, zapasy żywności i drzewa na jeden miesiąc, narzędzia, konieczne do prowadzenia zwykłego jego rzemiosła — a na wsiach, prócz tego: dom i najkonieczniejsze zabudowania gospodarskie, jeden koń, jedna krowa, wóz, sanie, uprząż i 25 pudów zboża na zasiéw. Wszystek inny majątek dłużnika i poręczycieli ulega bezspornéj sprzedaży.

W ten sposób, kto ma udział 50 rubli, a 1 października nie może zapłacić pożyczki 100 rubli, ten 2 października zostanie wykréślony, 1 stycznia zlicytowany, a w 9 miesięcy potém otrzyma swój udział 50 rubli.

Przepisy te są poprostu niewykonalne i dlatego téż nigdy wykonywanemi nie były. Pierwszém źródłem, z którego spłacano pożyczki, był zawsze udział dłużnika, a egzekucyi ulegała tylko różnica między udziałem a pożyczką. Trudności wynikały nietylko przy egzekucyi, ale i przy rzeczywistéj spłacie pożyczki; jeżeli dłużnik chciał zaraz ze stowarzyszenia wystąpić. Wstępując, płacił rubli 50, dostawał pożyczką 150, wychodząc, potrzebował zapłacić 150, a udział 50 rubli spłacano mu za rok. Dlatego przepisy § 24 nigdy wykonywane nie były, a w spłacie pożyczek zjawiała się trudność, zachęcająca do prolongowania pożyczek bez końca.

Stałe odnawianie raz zaciągniętych pożyczek, trudności egzekucyi, któréj rezultaty dają gotówką $^{1}/_{4}$ egzekwowanych należności — są to, zdaniem p. Osipowa, okoliczności, które, dłużéj trwając, muszą istniejące jeszcze stowarzyszenia do ruiny doprowadzić.

Odsetki, jakie stowarzyszeni płacili od wziętych pożyczek, wynosiły początkowo 12%, obecnie średnio, obniżyły się one do 11,2. Obniżenie to zadziwia swoją małością i dowodzi, że stowarzyszenia zupełnie celu swego nie osiągnęły.

Biorąc na uwagę średni udział stowarzyszonego, zysk czyli dywidendę roczną, jaką mu stowarzyszenia płacą (8—10%) jego średnią za-

liczkę, od któréj płaci 11—12% i biorąc różnicę tych sum, p. Osipow dowodzi, że stowarzyszeni od istotnie pożyczonych pieniędzy płacą od 13½—14% rocznie, a co gorzéj, że procent ten w okresie czasu od r. 1880 do 1890 uległ podwyższeniu o 1%, w porównaniu z pięcioleciem 1871—1875 (12,4%) i o 0,4% w porównaniu z pięcioleciem 1876—1880 (13,1%). Z zupełną słusznością twierdzi ten autor, że procent taki w krótkoterminowych pożyczkach, nie zbyt może dla dłużnika dotkliwy—jest bardzo ciężkim dla rolnika, którego kredyt jest z zasady długoterminowy. Zapewne w porównaniu z lichwą wiejską, 13—14% są odsetkiem bardzo niskim, ale lichwa krótkoterminowa nie jest uciążliwa, a powtóre w stosunkach z lichwiarzem spłata długu bardzo często następuje robotą — tą robotą, któréj rolnik inaczéj zbyćby nie mógł, a którą spieniężyć musi, jeśli chce spłacić dług w stowarzyszeniu.

Z danych szczegółowych, zebranych na miejscu w różnych stowarzyszeniach, p. Osipow wykazuje nam, że największa część pożyczek włościańskich zaciąga się na zadzierżawienie ziemi, kupno inwentarza żywego i martwego, poprawę gospodarstwa, budowę domu, kupno ziemi i wogóle na operacye, z których najkrótsze zadzierżawienie ziemi pod zboże jare i ozime trwa 7 do 18 miesięcy, inne zaś mogą się zamortyzować ledwie w lat parę lub kilka; wobec tego twierdzi, że procent 14—15% jest stanowczo zawielki i że z biegiem czasu włościanina zrujnować musi.

Na nieszczęście, autorowie ustaw normalnych postanowili, że procent musi być jednakowy dla wszystkich pożyczek i wszystkich stowarzyszonych. Jest to wynik téj saméj dążności, która była źródłem ustaw normalnych z 4-ma pustemi okienkami. Ta normalna ustawa była napisana bez najmniejszéj uwagi na potrzeby i warunki miejscowe, a zaprowadzone już przez nią przepisy niewykonalne, szkodliwe, których zmienić nie było wolno, doprowadziły siłą rzeczy zarządy stowarzyszeń do lekceważenia całéj ustawy wogóle. Różnice, istniejące w życiu, są tak delikatne, że przy jednakowych warunkach nakładu pracy i różnicy cen zboża na wiosnę i jesienią, 15-procentowa pożyczka na zadzierżawienie ziemi pod jarzynę (7 miesięczna) może dać zysk pożyczającemu wtedy, kiedy 15% zaliczka na zadzierżawienie ziemi pod oziminę (18 miesięcy), może mu już dać straty. Ustawa normalna postanowiła zasadę: „Stowarzyszenie ma za cel zaspokojenie kredytu na potrzeby, których obrót trwa nie dłużéj nad rok 1 i nie przechodzi sumy 150 rubli”. Zasada dla rolnictwa zupełnie fałszywa i niedopuszczalna.

Warunki, na jakich stowarzyszenia same dostają kapitał od obcych nie stoją na przeszkodzie wydawaniu długoterminowych pożyczek — widzieliśmy na początku, że od 17—23% wkładów i pożyczek deponu-

ją się na termina więcéj niż roczne, a z tego około 6—7% na termina więcéj niż pięcioletnie.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn upadku już zlikwidowanych stowarzyszeń i smutnego stanu tych, które dotąd żyją, są właśnie przepisy ustawy, wymagające jednakowego procentu dla wszystkich członków i wszystkich pożyczek, bez względu na ich termin, i jednakowych praw do otrzymania pożyczki dla wszystkich członków bez uwzględnień tego, na jakie operacye pożyczona suma ma być obrócona i na jaki kredyt oni osobiście zasługują. Każdy członek stowarzyszenia ma prawo dostać pożyczkę i tylko wrazie braku pieniędzy w kasie zarząd może mu odmówić. Co gorzéj, z pewném prawdopodobieństwem daje się stwierdzić — mówi p. Osipow — że, gdy pieniądze są w kasie, zarządy, nie chcąc, aby leżały darmo, same namawiają członków do zaciągania pożyczek i w ten sposób otwiérają drogę do kredytu na cele spożycia. Nie dość na tém, każdy członek ma prawo żądać wydania mu pożyczki w maksymalnym zakresie, przez ustawę określonym i zarząd nie może mu zmniejszyć pożyczki. Okoliczność, że zarządy stowarzyrzeń nie mają prawa wchodzić w to, na co właściwie stowarzyszony zaciąga pożyczkę, i nie mają prawa ani jéj odmówić ani zmniejszyć stanowi największą wadę ustawy normalnéj, wadę tak wielką, iż każda instytucya kredytowa, tą drogą idąc, do bankructwa dojść musi.

Jeśli kasy Schultze-Delitscha i Raiffeisena w Niemczech rozwijają się pomyślnie, to tylko dlatego, że téj kardynalnéj zasady bankierskiéj bardzo ściśle przestrzegają. Gdzie jak gdzie, ale na wsi, zarząd stowarzyszenia może zawsze doskonale poinformować się nietylko o stanie majątkowym żądającego pożyczki, ale nawet o celu, na który pożyczka się zaciąga. Zamiast wyciągnąć z téj okoliczności wszystkie należyte korzyści, komitet zamknął drogę, zabronił zarządom wchodzić w rozbiór kwestyi, czy i na jaką sumę członek stowarzyszenia jest odpowiedzialny.

Cel ustawy: zapobieżenie opanowaniu stowarzyszeń przez lichwiarzy był bardzo chwalebny, ale środek, użyty przez komitet, usunął z pod stowarzyszenia grunt, bez którego żadna instytucya kredytowa istniéć nie może.

Pożytek, jaki kredyt przynosi każdemu dłużnikowi, stoi w bezpośrednim związku z zyskiem, jaki dłużnik ma otrzymać z operacyi, na którą zaciąga pożyczkę. Procent może być tém większy, im większemi są spodziéwane zyski. Po za tém procent musi być w stosunku odwrotnym do sumy wypożyczonego kapitału i terminu pożyczki, i nakoniec powinien być w pewnym stosunku do sumy całego kapitału obro-

towego dłużnika. Dla kogoś, obracajacego 100 rublami wciągu roku, pożyczka rs. 100 będzie bardzo wielka, dla obracającego rs. 1,000 mała, a dla obracającego setkami tysięcy będzie, jak mówią Niemcy, *irrevelant* „ilością opuszczalną". Wzorowa ustawa żadnego z tych względów nie brała na uwagę.

Dla niéj w gminie istnieją tylko ludzie potrzebujący pożyczek od 100—150 rubli na 6—12 miesięcy i tym dostarcza ona kredytu wszystkim bez różnicy; każdy ma prawo do pożyczki na jednakowy dla wszystkich procent. Siła rzeczy przemogła przepisy ustawy — rolnik potrzebował kredytu dłuższego, kredytu rocznego i kilkoletniego, a prolongata zaliczeń dostarczyła mu tego długoterminowego kredytu, ale na procent, obliczony dla pożyczek krótkoterminowych 14—15 od sta. Prócz tego zrodziła ona moralne złe bardzo wielkie, przyzwyczajając zarządy do traktowania prolongaty bez umorzenia długu, jako konieczności, choć ustawie przeciwnéj, ale nieuniknionéj, i powoli zrodziła przekonanie, że kto z kasy pożyczył, ten z oddaniem śpieszyć się nie potrzebuje, byle (przed tém tak sądzono) procent zapłacił i choćby (jak sądzą obecnie) procentu nie zapłacił, ale do dokumentu dopisał.

Zarządy kas skarżą się ciągle na bezczynność zarządów gminnych w sprawie egzekwowania pożyczek. Petersburski oddział komitetu skargi swoje co roku podawał do ministeryum spraw wewnętrznych, a ministeryum robiło co mogło ze swéj strony, aby ułatwić istnienie tych, jak samo ministeryum twierdziło, „pożytecznych instytucyi". W r. 1884 jeszcze hr. Tołstoj wydał bardzo energiczny cyrkularz, nakazał zarządom gminnym zająć się natychmiast egzekwowaniem należności stowarzyszeń i co dwa tygodnie składać raport gubernatorowi o rezultacie. Jeżeli więc mimo to w 1888 r. te same skargi znów się powtarzają, to dowodzi tylko, że w saméj organizacyi stowarzyszeń tkwi błąd zasadniczy. Istotnie, egzekucya bezsporna w ciągu 7 dni przez zarząd gminy dopuszczalna jest tylko wtedy, kiedy dokument jest spisany według przepisów, przez ustawę przewidzianych, kiedy dłużnik nie zaprzecza jego autentyczności ani wysokości długu i nakoniec, jeśli ma majątek, mogący ulegać sprzedaży. Tymczasem większość dokumentów podpisana jest krzyżem św., a w dodatku prawie wszyscy stowarzyszeni kwestyonują sumę długów, twierdząc, po części słusznie, że winni są dług, mniéj udział, a jak wiemy, zarząd stowarzyszenia obowiązany jest ściągnąć i wyegzekwować dług cały a udział oddać po roku. Jak tylko dokument nie ma podpisu i suma długu jest niepewna — zarząd gminny nie ma prawa wyegzekwować i nie egzekwuje.

Co do poręczeń, to zwykle przy przedłużaniu długu, poręczenia nie bywają odnawiane, a że egzekucya zwykle następuje dopiéro po kilku odnowieniach, więc i co do poręczycieli egzekwowanie ich prawie zwykle nie ma podstawy prawnéj.

Nakoniec p. Osipow twierdzi, że w większości stowarzyszeń kancelarya i buchalterya, akta i rachunki znajdują się w największym nieporządku. Bardzo często dłużnik probuje spłacać dług częściowo — spłaca go — o czém robi się adnotacya na dokumencie, a czasami nie robi się, czasem robi się zapis w księgach, a czasem nie robi. Dlatego też dokumenty i księgi stowarzyszeń rzadko kiedy są z sobą w zgodzie i bardzo często są wypadki, że sam zarząd kasy nie bardzo jest pewny, jaka suma należy mu się od stowarzyszonego. W ogólnym nieporządku, jaki z tego wszystkiego wynika, najrozsądniéj i najsprawiedliwiéj postępuje ten zarząd gminny — mówi p. Osipow — który od egzekucyi takich dokumentów stanowczo się usuwa.

Daléj ustawa twierdzi, że przy egzekucyi nie ulegają sprzedaży przedmioty „konieczne" do prowadzenia rzemiosła lub gospodarstwa. P. Osipow twierdzi, że rolnik nic niepotrzebnego nie posiada. Przepisy są jednakowe dla okolic Rewla, Archangielska, Jakucka i Tyflisu, a mimo to, sprzęty, potrzebne rolnikowi, są bardzo różne w tych czterech okolicach jednego państwa. Brak instrukcyi specyalnéj, uwzględniającéj potrzeby miejscowe, jest brakiem, trudnym do usprawiedliwienia. Jest przepis, że jeden koń nie ulega sprzedaży. Ale są okolice, w których, jak naprzykład w gubernii tauryckiéj, uprawa roli tylko parą koni da się uskutecznić, a 25 pudów ziarna na zasiéw nie mogą być ilością dostateczną.

IV.

Z tego cośmy wyżéj przytoczyli, łatwo wywnioskować, jaki program reorganizacyi kréśli p. Osipow na przyszłość. Jeden tylko punkt tego programu nie zbyt ściśle łączy się z samą krytyką dotychczasowéj działalności, mianowicie—żądanie usunięcia z operacyi stowarzyszeń czynności oszczędnościowych, usunięcie udziałów, ograniczenie kapitałów własnych do jednego tylko kapitału rezerwowego. P. Osipow broni sprawy *Raiffeisen contra Schultze - Delitsch*. Na wielu punktach może mieć w téj obronie słuszność, ponieważ mówi o stowarzyszeniach kredytu ludowego włościańskiego; trudno mu jednak przyznać słuszność odnośnie propozycyi usunięcia udziałów członków. Autor twierdzi, że włościanin ruski nic nie oszczędza, że $6^1/_2$ milionów rubli kapitału

udziałowego są fikcyą buchalteryjną; wszystko to być może, ale w cyfrach p. Osipowa znajdujemy pozycyę 579,842 rs. wkładów, złożonych przez uczestników stowarzyszeń — a więc stowarzyszeni mogą oszczędzać, i następnie nie sądzimy, aby zachęta i pewien przymus moralny do oszczędzania mogły ujemnie wpływać na stowarzyszonych. Wprawdzie autor życzyłby sobie przedewszystkiém, aby pytanie: czy mają być udziały, czy nie ma ich być całkiem Raiffeisen czy Schultze z Delitsch, było pozostawione uznaniu stowarzyszonych i w tém żądaniu ma on słuszność zupełną, tylko nie możemy sobie wytłómaczyć, dlaczego z ogólnego tonu pracy jego wieje jakaś antypatya do udziałów, jakieś niczém nieusprawiedliwione przekonanie, że włościanin nietylko nic nie oszczędza ale i oszczędzać nie może. Jeśli bowiem źródłem tèj niechęci są zawikłania, wynikające przy spłacie długu, żądanie spłacenia całości pożyczki zaraz, z obietnicą wypłacenia za rok udziału,—to rozwiązania trudności należało szukać w przepisach, określających sposób spłacenia pożyczki i wystąpienia ze stowarzyszenia, nie zaś w zniesieniu kapitału obrotowego, w usunięciu operacyi oszczędnościowych, których pożytku zaprzeczyć nie można.

Co do reszty programu p. Osipowa, to zasługuje on, z małemi zastrzeżeniami, na zupełne uznanie. Żąda on, aby zarząd stowarzyszenia miał prawo dać lub nie pożyczkę i dać ją w sumie, jaką uzna za właściwą od paru czy kilku rubli do *maximum*, oznaczonego w ustawie, stosownie do oceny zdolności kredytowéj żądającego i celu, na który żądana jest pożyczka; żąda on daléj, aby stowarzyszenie miało prawo dawać pożyczki na terminy od kilku dni do lat kilku i na różne stopy procentowe, stosownie do wielkości sumy i długości terminu; aby miało prawo dawać pożyczki na zastaw ruchowości, pozostawiając je w dyspozycyi włościanina i żądać całkowitego zwrotu pożyczki wrazie widocznego upadku ekonomicznego pożyczającego i niesumiennego obchodzenia się jego z przedmiotem zastawu.

Najważniejszemi jednak punktami programu p. Osipowa są: żądanie zerwania z zasadą ustaw normalnych, wprowadzoną przez komitet wolnego ekonomicznego towarzystwa i utworzenie inspekcyi rządowéj stowarzyszeń.

Autor mniema, i z największą słusznością, że wszystkie wady pierwotnéj organizacyi stowarzyszeń, byłyby się dały usunąć lub uniknąć, gdyby stowarzyszenia istniejące miały prawo redagować ustawę i organizować stowarzyszenie stosownie do potrzeb miejscowych. Ta ustawa „wzorowa” komitetu z 4-ma okienkami, obowiązująca w Tyflisie i w Jakucku, w Rewlu i w Berdyańsku jest głównym punktem, przeciw któremu skierowana jest cała polemiczna strona pracy p. Osi-

powa. Komitet utrzymywał, że „różnorodność” ustaw bardzo niekorzystnie oddziaływa na „rozwój stowarzyszeń, powiększając mechaniczną pracę w komitecie”, a zarzuty, jakie już w r. 1871 ziemstwo tambowskie przeciw téj zasadzie stawiało w sprawozdaniu rocznem, poprostu pominął milczeniem. Dla komitetu rozwój stowarzyszeń i zmniejszenie pracy mechanicznéj w komitecie stanowiły jedno; dla zmniejszenia téj mechanicznéj pracy, przez lat 20 komitet z niezwykłą zaciętością bronił swych ustaw normalnych i tém właśnie sprowadził stan grożący—jak twierdzi p. Osipow—ruiną stawarzyszeń. Ustawy stowarzyszeń powinny być, wedle programu p. Osipowa, redagowane na miejscu z uwzględnienem potrzeb miejscowych i następnie przedstawiane do zatwierdzenia ministeryum finansów, które przed zatwierdzeniem przekona się, czy nie zawiérają one w sobie przepisów, z ogólnemi prawami państwa niezgodnych i czy są z odpowiednią ścisłością, jasnością i wewnętrzną zgodnością redagowane.

Jednocześnie téż ministeryum ma rozciągnąć większą, niż dotąd, opiekę nad stowarzyszeniami, ale już bez pomocy komitetu, przez zamianowanych specyalnych inspektorów. Inspektorowie ci będą stali w bezpośrednim związku z bankiem państwa, jego kantorami i oddziałami.

Co pewien czas będą dopełniać rewizyi stowarzyszeń, dawać zarządom objaśnienia i wskazówki i składać peryodycznie sprawozdania i bilanse stowarzyszeń ze swojemi objaśnieniami i ogólnemi sprawozdaniami bankowi państwa i kancelaryi kredytowéj ministeryum finansów. Ten porządek ułatwi stowarzyszeniom rozszerzenie kredytu ich w banku państwa i obiży znakomicie procent średni, płacony przez stowarzyszenia od kapitałów obcych. Myśl zasadnicza rewizyi jest stanowczo dobra. Jak jest ona przeprowadzona w Niemczech — mówiliśmy we wstępie.

W Rosyi stowarzyszenia żadnych związków nie tworzą — jestto zapewne brak wielki, ale kto wié, czy przy znacznych odległościach w państwie, brak ten wogóle dałby się usunąć, i prawdopodobnie usunięcie jego nastąpiłoby nieprędko.

Myśl zatém rewizyi rządowych jest zupełnie słuszna i na dobie, tylko atrybucye, jakie p. Osipow chciałby mieć przyznane rewizorom rządowym, są tak szerokie, iż w znacznéj części znoszą samodzielność stowarzyszeń. Wedle p. Osipowa, inspektorzy ci mają prawo: zatwierdzać zarządy wybrane przez ogólne zgromadzenie, uwalniać oficyalistów kasy (sekretarzy i buchalterów), decydować w kwestyi wydawania zaliczek, w wypadkach, w których suma pożyczki przechodzi po za sumę, określoną w ustawie (25 do 50 rubli) i we wszystkich długo-

terminowych zaliczeniach. Nam się zdaje, że z chwilą wykonania tego programu, zarząd stowarzyszenia będzie zbiorem figurantów, a istotny zarząd — rewizor rządowy — w ciągłéj podróży — nie wiadomo, czy będzie miał czas zająć się z odpowiednią gorliwością sprawami każdego stowarzyszenia po szczególe.

Koszta rewizyi, to jest utrzymanie rewizorów do 3,000 rubli na jednego, mają ponosić same stowarzyszenia z zysków, jakie im przyniesie rozszerzenie kredytu w banku państwa, to jest obniżenie procentu od pożyczonych kapitałów z 7 do 5% (o 1$^1/_2$ do 2%). Gdyby ten kredyt wynosił 10,000 rubli, to już to źródło da stowarzyszeniom, wedle p. Osipowa, 150,000 rubli rocznie, to jest sumę, potrzebną na utrzymanie 50 inspektorów (potrzeba zaś ich podobno na początek tylko 25).

W szczegóły projektu p. Osipowa wchodzić nie chcemy, są w nich ustępy tak różowych barw, że lepiéj ich bliżéj nie rozbiérać. P. Osipow liczy, że po jego reformie pieniądze w Rosyi „rzeką" popłyną do kas stowarzyszeń, że dość będzie zastosować ustawy do potrzeb miejscowych, aby wszystkie zarządy i wszyscy członkowie stowarzyszeń pod kierownictwem inspektorów, zmienili swoje dotychczasowe przekonania i bieg interesów innym poszedł trybem, że inspektorowie będą w stanie w 2—3 tygodni sprawdzić całą dotychczasową (za lat 20) rachunkowość stowarzyszenia i do porządku doprowadzić; że odtąd pod kontrolą rządu, nadużycia kasyerów i buchalterów ustaną, że w końcu kapitały rezerwowe stowarzyszeń wzrosną do tego stopnia, iż stowarzyszenia będą w stanie udzielać pożyczek długoterminowych bezprocentowych.

2 marzec 1894.



Z ALFREDA de MUSSET.

Noc majowa.

Muza.

Weź, poeto, twoją lutnię, na mych ustach całus złóż!
Oto pączków rozkwitanie polna róża czuje już.
Wszystko budzić się poczyna; wiosna w nocy dziś ożyje;
Śród zieleni pierwszych listków pliszka gniazdo sobie wije,
Oczekując, by na wschodzie zapłonęły blaski zórz.
Weź, poeto, twoją lutnię, na mych ustach całus złóż!

Poeta.

Jakiż zapadł mrok w dolinie!
Mnie się zdało, że coś płynie
Tam nad lasem przez mgły cienie.
Ponad łąką znów pomyka,
Kwiaty stopą swą dotyka
I rozwiewa się i znika,
Jakież dziwne to marzenie!

Muza.

Poeto, weź twą lutnię; nocą śród trawnika
W swojéj wonnéj zasłonie zefir się przemyka.

Przed szerszeniem, łaknącym ukrytych słodyczy
Róża stula wstydliwie swój kielicz dziewiczy.
Słuchaj! wszystko umilkło... śnij o ukochanéj!
Dziś wieczorem w lip cieniu, śród ciemnéj altany
Promień słońca tak słodkie złożył pożegnanie.
Jutro już ziemię kwieciem okrytą zastanie;
Noc tę miłość przepełni, woń i ciche gwary,
Niby łoże poślubne młodocianéj pary.

Poeta.

Serce tętnem przyśpieszoném
Drga, miotając mojém łonem...
Cóż w niém trwogę taką budzi?
Czy kto puka do podwoi?
Czemuż światło lampy mojéj
Obumiéra... czy mnie łudzi?
Boże! toż mną dreszcz kołysze...
Kto to? Czyjeż głosy słyszę?
Nie! to zegar mąci ciszę;
O samotności! O nędzo ludzi!

Muza.

Poeto, weź twą lutnię; to krwi młodéj zdroje
Téj nocy w żyłach Boga rwą się, pełne siły
Przepełniona rozkoszą, ja się niepokoję
I spragnione oddechy wargi mi spaliły.
O dziecię! mója piękność czyż ciebie nie nęci?
Nasz pierwszy pocałunek, czy chowasz w pamięci?
Kiedyś się skrzydeł moich dotknął w rozmarzeniu,
I gdy ze łzami w oczach padłeś mi w ramiona?
Ach! ja ci byłam wtedy pociechą w cierpieniu...
Niestety! już z miłości konałeś za młodu.
Pociesz mnie, gdy umieram nadzieją trawiona
O to błagać cię muszę, by ujrzéć blask wschodu.

Poeta.

Czy to głos twój mnie przyzywa,
Muzo! nieśmiertelny kwiecie?

Tyś wciąż wierna i wstydliwa...
Tylko twoja pierś ukrywa
Dla mnie miłość na tym świecie!
Tak! to jesteś ty w istocie
Mój aniele złotowłosy!
Z twojéj szaty lśniącéj w złocie
Mkną do serca blasków krocie,
Niby krople rannéj rosy.

M u z a.

Poeto! weź twą lutnię — to ja żalem zdjęta,
Widząc nocą, że milczysz w smutku pogrążony,
By płakać z sobą — nieba rzuciłam regiony,
Jak ptaszyna przez swoje wezwana pisklęta.
Pójdź mój luby! ty cierpisz! samotność cię nudzi
Coś, jakby skarga cicha w twém sercu się budzi,
A może, jak to bywa na ziemi, śród ludzi —
Miłość, ten pozór szczęścia oraz cień rozkoszy,
Twoje serce nawiedza i spokój zeń płoszy.
Pójdź! Śpiewajmy przed Panem! otwórz w pieśni duszę
Postradane rozkosze, minione katusze;
Wzlećmy w tym pocałunku, co nam złączy usta
W kraj nieznany! Rozbudźmy twego życia echa
I, choćby to jedynie była mara pusta,
Niech szał, sława i szczęście do nas się uśmiecha.
Wynajdźmy gdzieś na świecie samotne ustronie,
Kędy pamięć przeszłosci zapomnienie chłonie;
Jesteśmy sami! Do nas świat należy cały.
Oto Szkocya zielona i Italia śniada,
I matka moja sławna miodami Hellada,
I Messa, co gołębie tak ją ukochaly;
Daléj miasta hekatomb Pteleon z Argosem;
I czoło Pelionu ocienione włosem;
I błękitny Titarez, i zatoki fale,
Gdzie się łabędź przeglądza w przezroczy krysztale,
Kędy na swéj powierzchni odbijają tonie
Także białą Kamyrę przy Oloossonie.
Powiédz, jaki sen złoty nasza pieśń wypowie?
Łez, które przelejemy, ztąd popłyną zdroje?
Dziś rankiem, gdy całował świt powieki twoje,

Jakoż Seraf, schylony po nad twe wezgłowie,
O miłości wyśnionéj szeptał ci i kwiaty
Białéj lilii wytrząsał z swojéj lekkiéj szaty?
Powiédz! śpiew nasz na jaką nastroimy nutę?
Rozkosz, radość, nadzieję, czy smutek wypowie?
Czy zbroczymy posoką szyki w stal zakute?
Czy ma unieść kochanka jedwabna drabina,
W chwili, gdy się do okna ukochanéj wspina?
Czy na wiatr rozwiejemy pianę biegunowi?
Albo może powiemy, czyją to wszechmocą,
Śród niebiańskiego domu płoną nieskończenie
W bezgranicznéj ilości lamp dniem oraz nocą
Święte życia i wiecznéj miłości płomienie?
Czy zejdziemy po perły na dno oceanu?
Czy za sarną pognamy w gęstwiny hebanu?
Czy melancholii nieba wskażemy błękity?
Czy wstąpimy z myśliwym na urwiste szczyty?
Łania topi w nim oczy i bojaźnią zdjęta
Płacze, błaga o życie — tam śród legowiska
Czekają na swą matkę młodziutkie koźlęta —
Myśliwy się pochyla i mierzy — strzał błyska
On drgające jéj serce zmęczonym psom ciska.
Czy dziewczę przedstawimy, co z matką u boku
Razem z paziem pośpiesza na mszę zapłoniona,
Z niepokojem w serduszku, z roztargnieniem w oku?...
Modlitwa na jéj ustach rozchylonych kona
I dziewczę zapomina o słowach pacierza,
Wsłuchana w odgłos ostróg śmiałego rycerza.
A może rozkażemy, by wstali w téj chwili
Zamierzchłych czasów Francyi sławni bohaterzy,
By weszli w pełnéj zbroi na blanki swych wieży
I na nowo ów romans naiwny wskrzesili,
Gdzie niestałą ich sławę śpiewali truwerzy?
Czy w białą szatę smutną elegią przystroim,
Czy nas z Waterloo człowiek może wtajemniczy
W dzieje własne i liczbę tych ofiar wyliczy,
Które skosił z téj ziemi w krwawém życiu swojém,
Nim wiekuistéj nocy poseł tajemniczy
Na wzgórzu jednym ciosem skrzydeł go ukorzył
I na sercu żelazném na krzyż ręce złożył?

Może napiętnujemy w satyrycznym rymie
Siedemkroć zaprzedane pamflecisty imię?
Z zapomnienia go nędza wraz z głodem wygnały,
Zawiścią i niemocą przetrawiony cały,
Z nadziei na geniusza czole się natrząsa
I wawrzyn własném tchnieniem pokalany kąsa,
O weź-że lutnię! dłużéj nie zniosę milczenia;
Oto mi wznoszą skrzydła wonne wiosny tchnienia.
Chcę rzucić ziemię! wiatr mnie uniesie w przestworze...
Choć łzę jedną daj! czas już! wysłuchaj mnie, Boże!

Poeta.

Jeśli pragniesz tak namiętnie
Łzy z całusem, siostro moja,
Gdy ci więcéj nic nie trzeba —
Ja udzielę Ci ich chętnie,
Byś ze wspomnień piła zdroja,
Kiedy wzniesiesz się do nieba.
Sławy, szczęścia, ni cierpienia
Dźwięk méj pieśni nie przechowa!
Ja nie czerpię z nich natchnienia,
Ale czekam śród milczenia,
By usłyszéć serca słowa.

Muza.

A więc ja Ci się wiatrem jesiennym wydaję,
Któremu łzy do grobu są karmią jedyną,
Dla którego cierpienie jest wody drobiną?
Poeto! to ja tobie pocałunek daję!
Chwastem, com wyrwać chciała, jest lenistwo twoje;
Wszakże boleść jedynie należy do Pana.
Jakiekolwiek twa młodość znosi niepokoje,
O! pozwól, niech się w sercu twojém rozprzestrzenia
Owa święta, boleścią przepełniona rana,
Tobie przez Serafinów ciemności zadana,
Nic tak nas nie podnosi, jak wielkie cierpienia.
Lecz, by szczytów dosięgnąć—o niech się nie wzbrania
Poeta czarom pieśni—niech nimi nie gardzi!
Najbardziéj zrozpaczone są piękne najbardziéj

I znam czystéj boleści nieśmiertelne łkania.
Kiedy żerem strudzony pelikan z daleka
W mgłach wieczornych powraca do gniazda swojego,
Jego małe, zgłodzone wzdłuż wybrzeży biegą
I każde z nich na ojca z upragnieniem czeka;
Gdy go po nad wodami w oddali dostrzegną...
Już zdobycz szarpią w myśli, między siebie dzielą,
Oto z krzykiem radosnym już ku niemu biegną,
Wznosząc dzioby swe po nad ohydną gardzielą.
A on zwolna przybywa na wyniosłą skałę,
Zwieszonemi skrzydłami osłaniając małe;
Rybak zwraca ku niebu posępne swe oczy.,.
Z jego piersi rozdartéj krew strugą się toczy.
Nadaremnie on szukał zdobyczy w głębinie:
Ocean był dziś próżny, brzegi spustoszały...
I oto po dniu całym swéj dziatwie zgłodniałéj
Własne serce na pokarm przynosi jedynie.
Ot, w milczeniu posępny na skale spoczywa
I dzieciom ojcowskiego łona daje wnętrza;
Spogląda na pierś krwawą—choć rana dotkliwa —
Bóle miłość łagodzi... ta miłość najświętsza;
Chwieje się nad tą ucztą śmierci w upojeniu
Rozkosz, miłość i przestrach odjęły mu siły...
Nieraz lęka się jednak w boskiém poświęceniu,
By go dzieci przy życiu nie pozostawiły
I kiedy go znękają zbyt długie cierpienia,
Wtedy dźwiga się—skrzydła na wiatr rozprzestrzenia
I z takim strasznym krzykiem sercu cios zadaje,
Ostatniemi siłami śląc w nocy przestworza
Grobowe pożegnanie, już na śmierci progu —
Że ze skał uciekają morskich ptaków zgraje,
A podróżny spóźniony na wybrzeżu morza,
Myśląc, że to głos śmierci poleca się Bogu.
Wieszczu! jako pelikan i wielcy poeci
Postępują podobnież—czyje życie leci
Błyskawicznie, bez śladu... niech z uciech korzysta...
Ale kiedy nastąpi chwila uroczysta
Uczta przez nich dla całéj ludzkości wydana,
Podobna jest najczęściéj do uczt pelikana.
A gdy pieśni zawodzą o nędzy człowieczéj,
O smutku, zapomnieniu i miłości szale —

O! koncert taki serca nie roztkliwia wcale,
Gdyż ich pieśni podobne są do owych mieczy,
Co, gdy błysną w powietrzu—blask zaślepia oczy,
A każdy z nich jednakże kroplami krwi broczy.

Poeta.

Muzo! jesteś uporczywa...
Nic nasycić Cię nie może...
Kto na piasku pisze w porze,
Kiedy Akwilon przebywa.
Niegdyś w moich dni poranku
Pieśń z ust moich bez ustanku
Wciąż się rwała, jak ptaszyna —
Lecz zawrzały bóle w łonie,
A z nich pieśni nie wydzwonię!
Gdybym lutnię ujął w dłonie,
Ona pękłaby jak trzcina.

Z francuskiego przełożył

Władysław Nawrocki.



Zmysł wzroku,

jego rozwój i znaczenie dla człowieka.

Studyum fizyologiczno-psychologiczne nad nowonarodzonemi dziećmi i ślepymi od urodzenia, przed i po odzyskaniu wzroku.

Żeby dać możność oryentowania się nam w zgiełku otaczającego nas świata, natura uposażyła nas w narządy zmysłów, z pośród których zmysł wzroku zajmuje niewątpliwie górujące stanowisko. Bogactwo kształtów, różnorodność barw dochodzą przez tę bramę do naszéj świadomości. Zdolność oryentowania się w przestrzeni, oceniania odległości, zawdzięczamy, jeżeli nie jedynie, to w każdym razie, przeważnie zmysłowi wzroku.

Im lepiéj jednak uprzytomnimy sobie znaczenie tego zmysłu dla człowieka w walce o byt, tém nas mocniéj uderzy nieumiejętność nowonarodzonego dziecka w korzystaniu ze swoich wrażeń wzrokowych.

Dziecko nie wykazuje w pierwszych dniach życia niczém, że otaczające go przedmioty dochodzą wogóle do jego świadomości: nie zwraca ono oczu w kierunku błyszczącego przedmiotu, ani też głowy w kierunku nagle powstającego szmeru. Dopiéro, gdy ów przedmiot dotknie jego ciała, wywołuje w dziecku odruch, mający na celu uwolnić się od natręta.

Inaczej się rzecz ma ze zwierzętami. Widzimy, naprzykład, że owady zaraz po przyjściu na świat swobodnie się poruszają. Kurczęta, kaczki okazują zaraz po wykluciu się z jajka zadziwiającą zręczność

w dziobaniu ziaren. To samo spostrzeżenie daje się zrobić i nad niektóremi ssącemi; Du Bois-Reymoud [1]) naprzykład trafnie zwraca uwagę, że cielątko zaraz po narodzeniu się umié przestawiać w należytym porządku swoje cztery nogi i podpierać swój punkt ciężkości, kiedy dziecko odpowiednio się rozwija dopiero w ciągu pierwszych miesięcy życia. W ogóle można powiedziéć, że im na wyższym szczeblu rozwoju stoi zwierzę, tém późniéj ono się uczy swobodnie poruszać.

Ta maksyma znajduje swoje szczególniejsze zastosowanie i do człowieka: to, co niższe zwierzęta przynoszą z sobą na świat, mają, że tak powiem, przyrodzone, człowiek dopiero powoli i z trudem przyswajać sobie musi.

Za pomocą jakichże środków to robimy? Zkąd się w nas bierze pojęcie o przestrzeni, odległości, kształtach?

Żeby rozwiązać pewne zagadnienie, przyrodnicy posługują się zazwyczaj dwoma metodami badania: obserwacyą i eksperymentem. Otóż jeżeli i w danym razie zastosujemy ten sposób badania, to jako przedmiot obserwacyi nadałyby się przedewszystkiém nowonarodzone dzieci. Zadaniem zaś byłoby zebrać wszystkie te momenty z budzącego się życia dziecięcego, w których się ujawnia, że wrażenia świata zewnętrznego dochodzą drogą tego lub owego zmysłu do świadomości dziecka, wykazać porządek, w jakim to następuje, i jego przyczynowość.

Jeżeli jednak obserwacya daje nam cenne wskazówki, na podstawie których wyciągamy pewne, nieraz może bardzo prawdopodobne wnioski, to sprawdzić je może tylko eksperyment. Polegał by on znowu na tém, żeby z nowonarodzonego organizmu dziecięcego wykluczyć ten lub ów narząd zmysłu i zobaczyć, czém go dziecko w życiu zastąpi i jak się teraz zdobyte wrażenia w umyśle jego odzwierciedlą. Następnie, dla zaokrąglenia doświadczenia, byłoby bardzo pouczającém wrócić mu po niejakimś czasie zabrany narząd zmysłu i porównać, jakiéj zmianie ulegną teraz jego pojęcia o świecie otaczającym — kształtach, przestrzeni etc.

Ale jakżeż to jest możliwém? spyta zdziwiony czytelnik. Otóż natura przychodzi tu nauce w pomoc; raczej nauka korzysta z okrutnych eksperymentów, jakie natura nieraz urządza i, niosąc ulgę owym nieszczęśliwym ofiarom, posługuje się niemi dla wzbogacenia naszéj wiedzy.

---

[1]) Du Bois-Reymoud: Leibnizsche Gedanken in der neueren Naturwissenschaft. Berlin 1870.

Tak naprzykład, widzimy nieraz ludzi, którzy od urodzenia są pozbawieni tego lub owego narządu zmysłu, wzroku albo słuchu, lub też którzy go postradali w pierwszych początkach swego życia.

Dawniéj, w wiekach średnich, nieszczęśliwi ci byli widowiskiem i pośmiewiskiem dla tłumu. Dzisiaj, nowożytna nauka wyrwała ich z tego sromotnego położenia. Dając ślepym alfabet wypukły, głuchoniemych zaś ucząc mowy na palcach, nauka otworzyła zamknięty dla nich dotąd świat, bo dała im możność rozumienia innych i być przez tych ostatnich rozumianymi. W ten sposób został też dla nas otwarty ich wewnętrzny świat, świat pojęć. Jako lekarze, jesteśmy znowu nieraz w téj szczęśliwéj pozycyi, że się nam udaje powrócić przy pomocy szczęśliwéj operacyi wzrok jednemu lub drugiemu z tych nieszczęśliwych. I wówczas zostaje wykonanym ostatni postulat naszego eksperymentu.

Nim przejdziemy jednak do streszczenia zebranych w ten sposób danych, nadmieńmy w krótkich słowach tę okoliczność, że poruszona wyżéj kwestya zależności naszych idei od wrażeń zmysłowych zajmowała już starożytnych filozofów. Tak Arystoteles [1]) dzieli nasze wrażenia zmysłowe na tak zwane κοινα i ἴδια αἰσθητά t. j. takie, które dochodzą do naszego umysłu drogą kilku zmysłów wspólnie i znowu inne, które należą tylko do jednego zmysłu. Spór o to przeszedł i do nowożytnéj filozofii, a kwestyą sporną było tu pojęcie o przestrzeni. Uczeni, jak John Locke, Molineux, Berkeley i inni starali się rozwiązać powyższe zagadnienie na drodze czysto spekulatywnego rozumowania, poddając analizie psychologicznéj wewnętrzne dzieje naszego ducha. Pouczającym bardzo i ciekawym jest przy tém fakt, że subtelna analiza tych uczonych nasunęła im pytanie, jak się zachowa ślepy od urodzenia, jeżeli zyska wzrok, pytanie, które próbowali rozwiązać. I trzeba oddać słuszność tym wielkim myślicielom, bo postawione przez nich na drodze spekulatywnéj postulaty zostały przez doświadczenie stwierdzone.

Wróćmy jednakże do odnośnych spostrzeżeń i doświadczeń.

Z prac, traktujących o rozwoju interesującego nas zmysłu u dzieci, wymienimy Kussmaul'a, Preyer'a, Schoeler'a, przedewszystkiem zaś najnowszą Raehlman'a [2]) w któréj wyniki uprzednich są wszechstronnie zebrane. Otóż przez wszystkich autorów jednozgodnie stwierdzoném zostało, że źrenica reaguje na światło u dzieci zaraz po narodzeniu

---

[1]) De anima, lib. II cap. VI.

[2]) Zeitschrift für Psychologie u. Physiologie der Sinnesorgane. Bd. II, Heft 1 u. 2.

się również dobrze, jak i u dorosłych, t. j. zwęża się, jeżeli się naprowadzi światło wprost na oko, i rozszerza się, jeżeli się oko zaciemni. Spostrzeżenie to ma wielką doniosłość, świadczy bowiem, że dziecko przynosi z sobą na świat wrażliwość nerwu wzrokowego na światło, czyli zdolność onego doprowadzania podrażnień świetlnych do ośrodka w mózgu, skąd znowu na drodze nerwu motorycznego posyła się impuls do zwężenia źrenicy. Nie będziemy się zastanawiali nad szczegółami tego faktu fizyologicznego, nie wchodzą one bowiem w zakres niniejszéj pracy. Dla nas ważnym i interesującym jest fakt, że zdolność rozróżniania światła i ciemności jest w dziecku przyrodzoną. Na téj to elementarnéj podstawie rozwijają się wszystkie późniejsze skomplikowane funkcye naszego oka.

Natomiast brak wszelkich oznak, któreby wskazywały, że otaczające przedmioty, jako takie, są przez dziecko widziane; przeciwnie, cały szereg spostrzeżeń niedwuznacznie przemawia za tém, że one w ciągu pierwszych kilku tygodni do świadomości nie dochodzą. Tak naprzykład, dziecko nie zatrzymuje wzroku na żadnym przedmiocie, nie „fiksuje” go; następnie w ruchach oczu brak kompletnie owéj uregulowanéj wzajemnéj zależności, która cechuje normalne dwuoczne widzenie. Przytoczymy parę przykładów: tak jedno oko się porusza, kiedy drugie zostaje w spokoju; oczy się poruszają w przeciwnym względem siebie kierunku, naprzykład nazewnątrz od linii środkowéj; następnie górna powieka podnosi się lub opuszcza, kiedy gałka oczna zostaje w spokoju, lub naodwrót. Najwidoczniejsze jednak potwierdzenie prawdziwości powyższego twierdzenia znajdujemy w następującém zachowaniu się nowonarodzonego dziecka, różném w porównaniu z dorosłymi: jak wiadomo, dorośli zamykają oczy, mrugają oczami, jeżeli niespodzianie przybliżać do ich oczu jakiś przedmiot, rękę naprzykład. Przed oczyma zaś nowonarodzonych można poruszać ręką tak lub inaczéj, — a mruganie nie następuje. Taki stan trwa, według Raehlmana, mniéj więcéj 2 miesiące.

Warto się nad rozwojem wspomnianego odruchu cokolwiek szczegółowiéj zastanowić, ponieważ znajdziemy tu niejedną dla nas ciekawą wskazówkę.

W 6-ym tygodniu — twierdzi Raehlman — udaje się już nieraz, chociaż nie regularnie, wywołać ów odruch, jeżeli się trafi na przypadkową linię wzrokową dziecka,—powtarzamy przypadkową, albowiem i w tym okresie dziecko nie „fiksuje” jeszcze żadnego przedmiotu. Nie zatrzymuje też ono wzroku, ani śledzi oczyma za ręką, tracąc ją zaraz z widoku; i nie łatwém jest po raz wtóry znaleść jego wciąż zmieniającą się linię wzrokową. Najczęściéj jednak, co prawda, to się zda-

rza w środkowéj linii, i kiedy tutaj, po niedługim czasie, ten odruch stale się daje wywołać, w bocznéj części pola widzenia długo jeszcze go brak. I trzeba dwu- do trzechmiesięcznego ćwiczenia się ze strony dziecka, żeby odruch i stąd módz stale wywołać.

Dla dokładnego zrozumienia tego zjawiska musimy przypomniéć czytelnikom niektóre dane fizyologiczne.

Żeby dojść do siatkówki naszego oka, muszą promienie, jak wiadomo, przejść przez cały system ciał przezroczystych, które je łamią i łączą w jedném miejscu, gdzie się tworzy obraz danego przedmiotu. Otóż dlatego, żeby dany przedmiot był widziany wyraźnie, musi obraz jego leżéć w pewnéj, anatomicznie bardzo dobrze scharakteryzowanéj części siatkówki, w tak zwaném „miejscu jasnego widzenia”, zwaném téż „żółtą plamą” czyli „środkową wklęsłością”. Jeżeli patrzymy w dal, to owo „miejsce jasnego widzenia” leży w środkowéj linii. Ono téż, jak widzieliśmy, zaczyna u dzieci najpierw funkcyonować. Obrazy zaś, padające na inne części siatkówki, są widziane tylko w niejasnych zarysach. Żeby je atoli zobaczyć wyraźnie, staramy się skierować obraz na „miejsce jasnego widzenia”, czyli zwracamy wzrok ku nim.

Otóż z chwilą, jak peryferyczne części siatkówki zaczynają funkcyonować u dzieci, t. j. z chwilą gdy peryferyczne mgliste obrazy dochodzą do ich świadomości, drażnią one ich uwagę i budzą chęć złowienia ich w „miejscu jasnego widzenia”. Stąd datują pierwsze próby zwracania wzroku w strony, próby, do których dziecko nie łatwo nawyka. Raehlman opisuje w chronologicznym porządku, jak i kiedy dany ruch daje się pierwszy raz stwierdzić. Nie będziemy nużyli uwagi czytelników wyliczaniem wszystkich tych szczegółów, wystarczy zaznaczona wyżéj przyczynowość tego zjawiska.

Skoro dziecko nauczy się władać ruchami swoich oczu, zwraca je ono stale w kierunku swoich rączek, śledząc ich ruchy. Następnie dziecko zaczyna robić pierwsze próby chwytania przedmiotów, które się pojawiają w jego polu widzenia, choćby nawet *one znajdowały się daléj, niż jego rączki sięgać mogą*. Lokalizowanie bowiem, czyli projekcya widzianych przedmiotów w przestrzeni, wymaga również mozolnéj ze strony dziecka nauki. Widzimy np., że, chcąc pochwycić jakiś przedmiot, dziecko z początku robi regularnie ręką ruch mimo, żeby dopiéro po kilku nieudatnych próbach omackiem dojść nareszcie do celu. Przezwyciężanie tych trudności kosztuje je niemałego wysiłku woli. Bo pomimo że dziecko te eksperymenta powtarza prawie bez ustanku, przejdą dwa, a czasem i więcéj mie-

sięcy, nim się ono nauczy dyrygować rączką w kierunku najbliższéj odległości od chwytanego przedmiotu.

Tym sposobem dziecko zaczyna zdawać sobie sprawę z najbliższego swego otoczenia, którego w każdéj chwili dosięgnąć może. Dla zoryentowania się zaś w dalszéj przestrzeni potrzebne są ruchy własne jego ciała; a więc pojęcie o takowéj zdobywa się dopiéro wtedy, gdy dziecko nauczy się samo poruszać w przestrzeni, i może widziane przedmioty skontrolować dotknięciem się do nich.

Próbowaliśmy w krótkich, o ile możności, zarysach naszkicować sposób, w jaki człowiek w normalnych warunkach zbiéra swoje doświadczenia, które mu dają możność oryentowania się w świecie i wyrobienia sobie pewnego o nim pojęcia. Widzieliśmy, że zmysł wzroku gra w tym skomplikowanym procesie niepoślednią rolę. Ale jakżeż człowiek może sobie dać radę, jeżeli jest tego, na pozór najgłówniejszego narządu zmysłu, dzięki któremu oryentuje się w przestrzeni, od urodzenia pozbawiony?

Że świat zewnętrzny musi się odzwierciedlać w umyśle takich ludzi inaczéj, niż w naszym, łatwo sobie wyobrazić. Klasycznym tego rodzaju przykładem jest sławna w swoim czasie wychowanka zakładu dla ślepych i głuchoniemych w Bostonie, Laura Bridgman [1]), pozbawiona od najwcześniejszych lat dzieciństwa wzroku, słuchu, mowy, smaku i powonienia.

Ze wszystkich więc zmysłów pozostał jéj tylko jeden zmysł czucia. Zobaczmy-ż, o ile on zdołał zastąpić jéj inne; następnie, czy i o ile to się odbijało w jéj pojęciach o świecie, wogóle w jéj rozwoju umysłowym?

Oto w krótkich zarysach biografia Laury: do drugiego roku życia rozwijała się ona normalnie, tak jak i inne dzieci i obiecywała być zdrowém i zdolném dzieckiem, kiedy grasująca w owym czasie epidemia szkarlatyny pozbawiła ją wszystkich narządów zmysłowych, oprócz zmysłu czucia. W 10-ym roku życia została ona przyjętą do zakładu, gdzie się z godną naśladowania wytrwałością podjęto nadzwyczaj trudnego zadania nauczyć ją posługiwania się wypukłym alfabetem i mowy na palcach. Położone w tym kierunku usiłowania zostały uwieńczone jaknajlepszym skutkiem: i tym sposobem, łącząc obiedwie te metody, zostało umożliwioném porozumienie się jéj z resztą świata; a to znowu było podstawą całego dalszego wychowania, które doprowadzono do możliwie wysokiego stopnia doskonałości.

---

[1]) W. Jerusalem. „Laura Bridgman". Erziehung einer Taubstum-Blinden. Eine psychologische Studie. Wien, 1890.

Laura była pojętną i zdolną uczennicą. Znała ona zasady i historyę swojéj religii, posiadała dobrze swój — angielski — język, rachunki, geografię i historyę. Nawet charakter jéj uległ w zakładzie znacznéj zmianie. W domu, dla porozumienia się z matką, posługiwała się ona niewieloma tylko znakami, które nie zawsze wystarczały: i to było powodem owych wybuchów złości, jakie, według opowiadania jéj rodziców, przed wstąpieniem do zakładu nieraz miewała, a które ojciec rózgami uśmierzać musiał. Od czasu atoli, jak świat i ludzie stali się dla niéj przystępni, jak mogła ich rozumiéć i wyrażać swoje własne myśli, usposobienie się zmieniło, przyjęło wesoły i łagodny charakter. „Jak ja się cieszę, że zostałam stworzoną", powtarzała ona nieraz.

Wysoce charakterystyczną była atoli ta okoliczność, że we wszystkich pojęciach Laury — abstrakcyjnych nawet — przebijała się namacalność takowych, i nie ma wątpliwości, że to specyficzne zabarwienie swoje zawdzięczały one owéj bramie, przez którą jedynie dochodziły do umysłu. A był nią zmysł czucia, jak to wyżéj powiedzieliśmy, który w istocie był wysoce rozwinięty. Czuła ona drganie powietrza przy zbliżaniu się lub podczas mowy ludzi i w ten sposób rozróżniała kroki i głosy znajomych. Zapytywana o to, odpowiadała, że ona nogami słyszy. „Ja czułam, że pani mówi" — są jéj słowa; albo: „niech pani będzie spokojną, coś w mojéj prawéj nodze słyszy". Według świadectwa jéj nauczycieli, nie zwracała ona głowy, tylko ręce lub nogi w kierunku miejsca, które z tego lub innego powodu zwracało jéj uwagę. Przy dotknięciu się poznawała ona każdą osobę ze swego otoczenia, nawet usposobienie swoich znajomych zgadywała ona, dotykając się ich twarzy. Pewnego poranku miano budzić Laurę o wskazanéj godzinie, tymczasem nauczycielka, wchodząc do jéj pokoju, spostrzegła, że ona już się ubiérała. Na zapytanie, jakim sposobem ona wié, kiedy ma wstawać, odpowiedziała: „przykładam rękę do drzwi i czuję, czy one drgają: gdy dziewczęta już wstały, ja tym sposobem o tém się dowiaduję." Tymczasem, według świadectwa owéj nauczycielki, parę pokoi dzieliło jéj sypialnię od sypialni innych dziewcząt.

Dzięki wysoce rozwiniętemu zmysłowi czucia, Laura w krótkim czasie doskonale umiała się oryentować w pomieszczeniach zakładu. Nietylko jednak z zewnętrznemi przedmiotami zawierała ona znajomość przy pomocy wzmiankowanego zmysłu; ten sam pierwiastek daje się téż wykryć i w jéj pojęciach abstrakcyjnych. Tak, kiedy się dowiedziała, że w głowie mieści się mózg, spytała: „czy myśl i mózg to jedno i to samo; jakim sposobem ludzie mogą coś wiedziéć o mózgu?"

Widzimy, jak skwapliwie ona się chwyta pojęcia, że i myślenie — to może namacalny przedmiot. Jéj pojęcie o piękności przedmiotów było przedewszystkiém związane z pojęciem o ich gładkości: „ta osoba musi być piękną i dobrą, ponieważ jéj ręce są gładkie i miękkie". Kij chropowaty nie podobał się jéj. Jeżeli jednak miejsca niegładkie następowały w równych jedne od drugiego odstępach, wówczas kij ten jéj się podobał.

Widzimy więc, że wrażenia czucia i ruchów mięśniowych przyjmują charakter estetyczny, a lekkość i rytmiczność ruchu — są to warunki estetycznego podobania się.

Charakterystyczne były sny Laury, ponieważ nie zawierały one nic, coby zdradzało pojęcia wzrokowe lub słuchowe. We śnie poruszała ona palcami podobnie, jak i na jawie podczas mówienia, tak jednak prędko, że, niestety, nie można było wyczytać treści. „Ja nie śnię, że mówię ustami, ja śnię, że ja palcami mówię"—opowiadała ona swoim towarzyszkom.

Zależność naszych idei od zmysłów jeszcze widoczniéj się ujawnia we snach pacyentki prof. Raehlmana [1]): jestto ciemna od urodzenia młoda dziewczyna, u któréj jednak inne narządy zmysłów są zachowane. Opowiadała ona swoim towarzyszkom, że często śniła, ale nigdy nie widziała nic we śnie. Tak np. śniło się jéj, że „chodziła po wodzie, że się potknęła i upadła do błota"; „że ojciec jéj przyjeżdżał i chciał ją zabrać do domu". Na zapytanie jednak, czy ona ojca widziała, również czy widziała wodę, błoto etc., odpowiadała: „nie, ona ojca słyszała, wodę i błoto czuła".

Gdy jednak odzyskała wzrok po operacyi, wrażenia wzrokowe zaczęły po niejakim czasie odgrywać pewną rolę i we snach. Jednego poranku opowiadała z radością, że „po raz pierwszy widziała we śnie". Śniło się jéj, że „widziała piękne pole zielone, gdzie rosły i kwitły kartofle, że ona chodziła po tém polu", etc.

Laura nie widzi i nie słyszy we śnie, rozmawia tylko za pomocą palców; pacyentka Raehlmana aż do operacyi nie widzi, ale słyszy i czuje; z chwilą zaś, gdy odzyskała wzrok, to się odzwierciedla w jéj widzeniach sennych.

Do eksperymentu naszego został włączonym z kolei jeden, potém drugi zmysł—i reakcya nie zawiodła nas: w miarę odkrywania coraz to nowych dróg, któremi wrażenia zewnętrznego świata mogą

---

[1]) „Zeitschrift für Psychologie und Physiologie der Sinnesorgane". Heft 1 u. 2.

dojść do naszego umysłu, bogactwo i różnorodność naszych pojęć odpowiednio wzrasta.

Sądzę, że nie będzie pozbawionem interesu przytoczyć jeszcze parę przykładów, ilustrujących wspomnianą zależność naszych pojęć od dróg, któremi dochodzą do naszego umysłu. Zależność owa staje się widoczniejszą, gdy tego lub owego narządu zmysłu brak, a pozostałe rozwijają się za to do tém większéj doskonałości. Tak w zakładzie bostońskim wychowywała się jednocześnie prawie z Laurą druga ślepa i głuchoniema dziewczynka, Helena Keller, u któréj oprócz zmysłu czucia rozwinął się do wysokiéj doskonałości zmysł powonienia. Ten lub ów zapach wywoływał w niéj cały szereg wspomnień, zapachem kierowała się ona w swoich upodobaniach, do tego lub innego zapachu przywiązywała pewną ideę. W innych znowu wypadkach słuch dochodził do wysokiéj doskonałości i służył za probierczy kamień przy wyborze ludzi, upodobań, etc. Ładny, dźwięczny lub miękki głos wywołuje asocyacyę idei o piękności danego indywiduum, dobroci jego charakteru, etc.

Że podobne nieszczęśliwe ofiary zdarzają się często, że ich przedewszystkiém nie brak u nas, łatwo sobie wyobrazić. Uprzytomnijmy tylko sobie, jak uporczywie grasują u nas ospa, dyfteryt, szkarlatyna i odra i jak wiele ofiar pochłaniają one przeważnie z pośród dzieci. A w razach, kiedy się nie kończą śmiercią, ileż to nieuleczalnych kalectw pozostawiają one po sobie, zniszczywszy, jak u biednéj Laury Bridgman, ten lub ów narząd zmysłu, naprzykład oczy albo uszy, nareszcie jedno i drugie razem. Dość wyjść w świąteczne dni przed kościół u nas, żeby się przekonać, kto napełnia kruchty i cmentarze. Że jednak w społeczeństwie cywilizowaném nie przed kościołem, ale w szpitalu lub w odpowiednich zakładach ich miejsce, chętnie się zgodzi ze mną czytelnik.

Opłakany ten stan oddawna już zwrócił na siebie uwagę lekarzy i ludzi dobréj woli. Żeby możliwie zapobiedz rozpowszechnianiu się téj klęsce, spróbowano w roku zeszłym między innemi nowego, dotąd jeszcze niepraktykowanego środka: były nimi tak zwane ruchome oddziały okulistyczne, wysyłane kosztem Maryjskiego Towarzystwa opieki nad ślepymi w Petersburgu do różnych zakątków państwa ruskiego. Jeden z tych oddziałów działał w ciągu lata zeszłego roku pod moim kierownictwem w guberniach północno-zachodnich.

Nie będę się tutaj rozwodził nad szczegółami téj działalności, nie wchodzą one bowiem w zakres niniejszéj pracy. Na innem miej-

scu była już o tém mowa. Tu wystarczy wzmianka, że szło nam o pomoc okulistyczną ubogiéj ludności tam, gdzie ona skutkiem opłakanych warunków sanitarnych i ekonomicznych jest dla ludności wiejskiéj niedostępną.

Jednym atoli z moich wypadków z téj okulistycznéj wędrówki po naszym kraju chcę się podzielić z czytelnikami, ponieważ może on służyć niejako za uzupełnienie owych eksperymentów, o których mówiłem wyżéj.

Był nim 17-letni litewski chłopiec, Piotr Łuksza, syn biednych bardzo rodziców, z których tylko matka była przy życiu. Według jéj zeznań, chłopiec skądinąd był zawsze zdrów, tylko od urodzenia ślepy. Rozróżniał wprawdzie światło i poznawał nawet ruch ręki w najbliższéj odległości, palców jednakże liczyć nie był w stanie. Już zewnętrzny wygląd jego oczu zwracał na siebie uwagę ludzi nieobeznanych nawet ze sztuką lekarską: obie źrenice były prawie na biało zabarwione. Dodać do tego trzeba ciągłe, szpecące go w wysokim stopniu, bieganie gałek ocznych *(Nystagmus)* i atypiczne, u normalnych ludzi wcale nie spotykające się, ruchy oczu: przekręcał on je w różne strony, najczęściéj do góry i wewnątrz, tak że tylko dolna i zewnętrzna część rogówki była z pod górnéj powieki widoczną. Objektywne badanie pokazało na obudwu oczach głębokie zmętnienie rogówki *(Leucoma adhaerens)*, które symetrycznie zajmuje wewnętrzne części takowéj; następnie zmętnienie soczewki w formie przyrodzonéj ciemnicy *(cataracta congenita)*. Wskutek więc tych przeszkód optycznych dostęp promieni do siatkówki był przecięty, przegrodzony; wobec tego też oświecenie dna oka za pomocą wziernika (oftalmoskopu) nie było możebne.

Nie potrzebuję po tém, co powiedziałem, dodawać, że chłopiec, zostawiony sam sobie, nie był zdolny do pracy, i stał się ciężarem dla matki. Z tego więc powodu i chory i matka chętnie się zgodzili na proponowaną przezemnie operacyę, chociaż w rokowaniu ewentualnego polepszenia wzroku byłem bardzo ostrożny i pod tym względem nic im zgoła nie obiecywałem. Co do mnie zaś, to wziąłem się do tego wypadku z nieopisaném i z wyżéj wymienionych pobudek zupełnie zrozumiałém zainteresowaniem się.

Operacyi dokonałem w kilku odstępach czasu: najpierw zrobiłem na obudwu oczach sztuczną źrenicę w zewnętrznéj przezroczystéj stronie rogówki (irideotomię), po upływie zaś mniéj więcéj dwóch tygodni zdjąłem mu ciemnicę (kataraktę) na jedném, następnie po zagojeniu się ostatniéj rany operacyjnéj—na drugiém oku.

Nasz chory [1]) zarówno przy pierwszéj zmianie opatrunku, jak téż i późniéj po zupełném zdjęciu onego, wciąż twierdzi, że widzi wielkie światło, które go razi i którego przedtém nigdy nie bywało. Zostawiony jednak na dłuższy czas sam sobie, zamykał oczy, jakby się chciał obronić od nawału wrażeń optycznych. Wogóle zachowywanie się jego w pierwszych dniach pooperacyjnych mało się różniło od przedoperacyjnego czasu: chętniéj on dowierzał zmysłowi czucia, kierując się nim prawie bez wyjątku i spotykając wciąż stawiane mu po drodze przeszkody, których nie umiał omijać. Pomimo bowiem jego twierdzenia, że widzi doskonale, w saméj rzeczy nie umié widzieć.

Tak np. opowiada jeden z wyżéj wymienionych operatorów, że gdy zmieniając opatrunek, skierował swoją twarz w kierunku linii wzrokowych pacyenta, ten oświadczył, że widzi coś dużego i białego. Dopiéro gdy mu powiedziano, że to jest twarz profesora i on się téj twarzy dotknął, odtąd ją poznawał.

Przedmioty, znajdujące się nie w kierunku linii wzrokowych chorego, z początku nie zwracają wcale jego uwagi. Poznajemy to po zachowaniu się owego odruchu, którego powstanie i rozwój u dzieci byliśmy w stanie śledzić: mruganie oczami w pierwszym czasie po operacyi ma miejsce tylko wtedy, gdy się rękę zbliża w kierunku środkowym, z boku zaś nie.

W porównaniu jednakże z dzieckiem, nasz operowany uczy się

---

[1]) Podobne wypadki, aczkolwiek nieliczne, spotykamy w literaturze. Mam szczególniéj na myśli dwa wypadki, przed kilku laty przez prof. Raehlmana w Jurjewie (Dorpacie) opisane, które z nim razem obserwowałem, będąc podówczas asystentem w tamtejszéj klinice oftalmicznéj, — następnie wypadek podany niedawno przez prof. Uthoff'a w Marburgu. Z dawniejszych autorów, którzy zajmowali się tym przedmiotem, wymienimy: Cheselden'a, Ware'go, Home'go, Wardrop'a—w Anglii, Hirschberga, v. Hippel'a — w Niemczech, Fraur'a i Dufour'a we Francyi. — Ponieważ analiza mojego wypadku doprowadziła w ogólnych zarysach do tych samych rezultatów, co i poprzednich autorów, więc będę się obecnie posługiwał ich danemi narówni z mojemi. Wymienieni autorowie znajdowali się pod niejednym względem w wygodniejszych odemnie warunkach, gdyż robili swoje studya w klinice i mogli wogóle dłużéj swoich chorych obserwować. Nas zresztą tu interesuje to, czego studyum podobnych wypadków nauczyć może, a mianowicie ogólne prawo, jak się człowiek uczy widzieć, t. j. przedewszystkiém: czy o ile zdolność owa jest w nas przyrodzoną lub nabytą? Jeżeli zaś to ostatnie jest prawdą, to jakim sposobem się w nas wyrabia owe skomplikowane pojęcie o przestrzeni, odległości, kształtach, etc.?

widziéć stosunkowo prędko. Pierwszą znajomość zabiéra on z przedmiotami najbliższemi, dobrze mu znanemi z doświadczenia, uprzednio zdobytego za pomocą czucia: z naczyniem do picia, łyżką, etc. I nauczywszy się raz znajdywać je w polu widzenia, odtąd już je zawsze poznaje.

Następnie, pacyent nasz nie umié oceniać odległości; jak kilkumiesięczne dziecko i on wyciąga ręce do przedmiotów dalekich, których dosięgnąć nie jest w możności, bez poruszenia się z miejsca. I ta nauka widocznie nie przychodzi mu z łatwością: w czasie bowiem, kiedy on już wcale nieźle się oryentował, mogliśmy obserwować, że, chcąc zerwać kwiaty w ogrodzie, zawcześnie się nachylał, wyciągając rękę do kwiatka, który jeszcze stosunkowo daleko od niego się znajdował. To samo działo się, gdy mu łyżka przy jedzeniu spadła na ziemię, a on ją chciał podjąć.

Nie inaczéj rzecz się ma z ocenianiem (stosunkowéj) wielkości przedmiotów:

1) Jeżeli mu pokazać dwa jednakowe przedmioty nierównéj wielkości, np. małą i wielką łyżkę, w różnéj odległości, to one mu się wydają jednych i tych samych rozmiarów.

2) Z dwóch zaś przedmiotów jednakowych wymiarów w różnéj odległości, uważa on bliższy za większy, dalszy za mniejszy.

Tego rodzaju błędy dochodzą do świadomości człowieka dopiéro wtedy, gdy za pomocą poruszania się własnego w przestrzeni przekona się o względnéj pozycyi przedmiotów. Wtedy téż, skontrolowawszy projekcyę obrazów siatkówki wrażeniem czucia i ruchów mięśniowych, powoli uczy się on prawidłowo je projektować.

Dla oryentowania się w przestrzeni znakomicie mu pomagają koordynowane ruchy oczu, które sobie przyswaja w miarę, jak peryferyczne obrazy siatkówki dochodzą do jego świadomości.

Pouczającemi tu będą następujące spostrzeżenia. W czasie, kiedy nasz chory już wyciągał rękę w kierunku najbliższéj odległości do przedmiotu, który mu pokazywano w środkowéj linii, jeszcze przez dłuższy czas robił ruchy mimo, jeżeli było mu ten sam przedmiot pokazać w bokowéj linii. Gdy następnie zwrócono uwagę pacyenta na znany mu jakiś przedmiot—małego psa naprzykład — który się powoli oddalał, to pacyent śledził za nim oczyma, — a więc go widział na stosunkowo dalekiéj odległości. Skoro jednak pies cokolwiek prędzéj się poruszył w bok, pacyent odrazu go z widoku tracił i z trudnością tylko mógł go odszukać w polu wzrokowém.

Późniéj dopiéro, w miarę jak peryferyczne części siatkówki za-

czynają funkcyonować, ustanawia się też asocyacya między optycznemi jéj wrażeniami a mechanizmem ruchu oczu.

Ciekawe są spostrzeżenia, ilustrujące błędy, jakich się podobny pacyent dopuszcza w rozróżnianiu kształtów:

Jeżeli mu pokazać ciało kuliste i krąg, wycięty z tektury, obadwa te przedmioty uważa on za jednakowe. Takim też sposobem nie rozróżnia sześcianu od płaszczyzny kwadratowéj. Żywego psa i malowane jego wyobrażenie bierze za jedno i to samo.

Pojęciem o perspektywie, wymiarach głębokości, któremi się my w podobnych wypadkach kierujemy, uczy on się posługiwać dopiéro wtedy, gdy się najpierw namacalnie przekona o różnicy między ciałem kulistém np. a kręgiem tekturowym.

Tego rodzaju błędy, a przedewszystkiém sposób, w jaki się one korygują, dają nam klucz do zrozumienia, jak się w człowieku normalnie wyrabia pojęcie o przestrzeni, kształtach, etc.

Dodajmy jeszcze parę słów o zdolności poznawania barw. Zdolność owa, narówni ze zdolnością rozróżniania światła i ciemności, jest przyrodzoną, wypływa ona bowiem z energii specyficznéj nerwu optycznego, który reaguje na światło, a mianowicie na fale świetlne różnéj długości reaguje rozmaicie. Zdolności téj mogą niektórzy od urodzenia nie posiadać, lub ją posiadać niecałkowicie; wspomnę tylko o znanych powszechnie wypadkach tak zwanego daltonizmu, t. j. zupełnego albo też częściowego nierozpoznawania barw. Ale że się owéj zdolności nie nabywa, jak naprzykład oceniania odległości, pojęcia o przestrzeni i t. d., można się też przekonać z wymienionych wyżéj wypadków.

Tak naprzykład, mój chory regularnie poznawał — bez żadnego z naszéj strony zwracania uwagi jego w tym kierunku — zmianę w kolorze sukni mojéj siostry (która mi pomagała przy operacyi i w opatrunku). Nazwy danego koloru, naturalnie, nie znał i tego się musiał nauczyć, jednak jego nerw optyczny był podrażniony każdym kolorem rozmaicie i tę właśnie różnicę on uczuwał [1]). To samo spostrzeżenie zostało w swoim czasie już zrobione przez jednego z dawniejszych autorów. Oto są słowa, które jego pacyent wyrzekł, patrząc wkrótce

---

[1]) Doświadczenie to nie zupełnie jest wolne od zarzutu, ponieważ oprócz różnicy barw mógł on się kierować różnicą jasności danéj sukni. Sądzę jednak, że powinienem był fakt ten przytoczyć, zwłaszcza, że przy małéj inteligencyi owego pacyenta takie małe różnice, jak różnica jasności — jeżeli przypuścić, że on barw nie poznawał—z pewnościąby nie zwróciły jego uwagi.

po operacyi przez okno na krajobraz letni: „Kiedym wyjrzał przez okno, to mi się zdawało, że tuż przed mojemi oczami stoi płótno, na którém malarz narzucił w pstréj mieszaninie swoje pendzle. Poszczególnych przedmiotów, tak jak je teraz widzę, wówczas rozpoznać nie mogłem. Widok to był dla mnie bardzo przykry.

Widzimy więc, że 17-letni ślepy od urodzenia chłopiec, gdy mu powrócono wzrok, nie umié odrazu zeń korzystać: nie przychodzi i on, że tak powiemy, do gotowego, ale musi powoli uczyć się widzićć, kontrolując swoje nowe wrażenia wzrokowe znanemi sobie wrażeniami czucia. Nietrudno dostrzedz kompletną analogię tego zjawiska z podobnym objawem u nowonarodzonego dziecka z tą tylko różnicą, że dorosły chłopiec uczy się w prędszém znacznie tempie: do czego dziecko dochodzi w ciągu lat, on sobie przyswaja w ciągu kilku tygodni, najwyżéj miesięcy. Analiza skomplikowanych wrażeń wzrokowych i relacya ich do ośrodka w mózgu, gdzie one dochodzą do świadomości, rozwijają się w jednym i drugim wypadku w tymże samym porządku. Jeżeli zaś tych wrażeń wzrokowych zupełnie brak, występują na ich miejsce, jak widzieliśmy wrażenia innych zmysłów: — i podobnaż relacya między tymi ostatniemi, a ośrodkiem w mózgu ma miejsce.

Pobudkę do rozwoju dają wrażenia zewnętrzne, które różnorodnością swoją drażnią nasze zmysły, a więc i nasz wzrok. Podstawą zaś, bez któréj wszelki rozwój byłby niemożliwy, jest wrodzona wrażliwość specyficzna naszych nerwów na zewnętrzne podrażnienia, a więc i nerwu optycznego na światło.

Zaznaczyliśmy na wstępie różnicę, jaka zachodzi między zwierzęciem a człowiekiem. W ciągu jednak naszych rozpatrywań przekonaliśmy się, że i w człowieku jest coś, co on otrzymuje gotowém.

Oprócz bowiem owéj wymienionéj zasadniczéj podstawy otrzymujemy jeszcze, jako przekaz doświadczeń wiekowych całego gatunku, ową fizyologiczną dyspozycyę, dzięki któréj rozwój poszczególnych funkcyi wzroku postępuje zawsze w jednym i tym samym porządku typowym. Tylko to, co jest dla dwuocznego widzenia korzystném, się zatrzymuje, wszystko zaś atypowe, niepotrzebne się wyklucza. Tak naprzykład, bieganie gałek ocznych i wykręcanie takowych powoli znikały pod wpływem rozwijającéj się siły i potrzeby wzroku zarówno u naszego pacyenta, jak i nowonarodzonych dzieci.

Poznajemy więc i tutaj ową ogólną zasadę, w któréj Darwin nauczył nas widzieć rządzące prawo natury, a mianowicie: prawo dziedziczności i doskonalenia się. Zwierzę, którego warunki bytu są mniéj skomplikowane, otrzymuje w spadku ową relacyę między mózgiem a wrażeniem wzrokowém, jako taką, gotową; człowiek zaś otrzymuje, — że tak powiemy — surowy materyał, którym się może posługiwać dla doprowadzenia go do tém większéj doskonałości.

Berlin, w marcu 1894 r.

Dr. med. Jan Cumft,
Ordynator szpitala oftalmicznego i członek instytutu medycyny doświadczalnéj w Petersburgu.



Z BELETRYSTYKI ZACHODU.



Edw. F. Benson: *Dodo.*—Sarah Grand: *Heavenly Twins.*—Jota: *Yellow Aster.*

Powiedziano o społeczeństwie angielskiém, że jest minotaurem pożerającym drukowaną bibułę i że nigdy nią się nasycić nie może. Z zastrzeżeniem, że książki nie drukują się już na bibule, ale na wykwintnym papiérze i że pieszczą oko swym wyglądem zewnętrznym, — uwaga to sprawiedliwa. Nie ma społeczności czytającéj więcéj, powszechniéj, bez chwili wytchnienia. Jedni fizyologowie społeczni przypisują ten fenomem wpływowi klimatu, drudzy poważnemu nastrojowi umysłu rasy, urobionemu na czytaniu Biblii, inni brakowi zmysłu towarzyskiego, który, zamiast podobać sobie w wymianie żywego słowa, woli obcować z martwą książką; są jeszcze i tacy, co tłómaczą bezustanną produkcyę utworów beletrystycznych tępą wyobraźnią, potrzebującą podsycenia i rozbudzenia z zewnątrz, gdyż sama w sobie odpowiedniéj siły nie znajduje. Nie ma powodu zresztą biedzić się nad rozstrzygnięciem zagadnienia, któremu bez potrzeby nadano przesadzone rozmiary: pełna żywotność narodowa wystarcza do zrozumienia wybujałego rozkwitu powieści w Anglii.

Ale jeżeli normalnym téj żywotności objawem jest pisanie i czytanie powieści, to wolno zapytać, dlaczego Anglicy te a nie inne specyalnym swym faworem obdarzają, dlaczego nieraz pod niebiosa wynoszą utwory żadną wyższą nie napiętnowane wartością. Grasują u nich często inne epidemiczne gorączki literackie. Wieść się rozchodzi, że pojawiła się powieść lub powiastka o nadzwyczajnych zaletach i jak pożar w stepie, sława się téj powieści rozchodzi. Staje

się modną. Modna powieść! Trzeba posiadać zahartowany w bezstronności umysł, aby takiéj powieści nie znienawidziéć. Prześladuje ona każdego niby uporczywa zmora senna. Mówią o niéj w salonach i klubach, w koszarach i w omnibusach, pastorowie napomykają o nich w kazaniach; dowiadujemy się najdrobniejszych szczegółów o jéj autorze od usłużnych reporterów, i najważniejsze zagadnienia publiczne schodzą wobec niéj do mikroskopijnych rozmiarów. Wprawdzie, jak jedna fala przyniosła, tak druga unosi z sobą to ósme cudo świata i ginie ono niebawem w zapomnieniu, ale w umyśle chłodnego spostrzegacza, co się temu gorączkowemu prądowi oprzéć potrafił, pozostaje robak jątrzącego pytania: dlaczego ta a nie inna powieść pozyskała rozgłos wyjątkowy? Gdy literatura narodowa tylu posiada mistrzów i taki zasób arcydzieł, azaliż nie byłoby użyteczniéj i przyjemniéj z nimi obcować, ich sokami się karmić niż przyklaskiwać dziwolągom, co sobie nosy sztuczne przyprawiają, ażeby zwrócić na siebie uwagę. Ale żadne argumenta nie są w stanie zmienić położenia rzeczy. Tak jak są ludzie, co przez cały rok nie zaglądają do muzeów Luwru, albo do *National Gallery*, gdzie najwspanialsze, najczystsze dzieła sztuki mogą im ucieleśnić ideał piękna, ale śpieszą do corocznych s a l o n ó w, przepełnionych zazwyczaj pospolitą miernotą, tak samo dzieje się i w piśmiennictwie. Produkcya chwili bieżącéj, dlatego tylko że bieżąca, zdaje się że posiada dla masy urok, któremu opiérać się nie myśli.

Nie zapytując tedy o istotną wartość utworów beletrystycznych, któremi rozkoszowała się Anglia, wypisaliśmy tutaj tytuły tych powieści, które w ciągu ostatniego roku stanęły na pierwszym planie i fantastycznem swém powodzeniem zaćmiły wszystkie inne. A nie należy przypuszczać, żeby stało się to po prostu dlatego, iż nie było powieści bezspornéj wartości artystycznéj i podniosłego nastroju, że, jak mówi przysłowie, na bezrybiu i rak—ryba. Bynajmniéj. Nietylko że były ryby, ale i grube ryby. Pomijając wszystkie inne, dość będzie przypomniéć, że najznakomitszy z współczesnych pisarzy, Jerzy Meredith, wydał nowy utwór: „Lord Ormond i jego Amiuta", świadczący, że geniusz twórczy nie osłabł u niego, i nadmienić, że pani Humphry Ward wydała trzecią swą powieść, „Marcella", znaczącą nowy szczebel w rozwoju jéj talentu, który błyszczy dziś jak owoc dojrzały, soczysty, a pokryty jeszcze nieskażonym puchem. Powiadać nie trzeba zapewne, że utwory tego pokroju mają i miéć będą czytelników i krytyków, ale masa publiczności zdaje się rozumiéć, że będzie zawsze miała czas z niemi się zapoznać, bo miejsce ich w piśmiennictwie jest zabezpieczone, a śpieszy za to czytać i połykać „Dodo", „Niebiańskich

bliźniąt", „Żółtego astra", albo inne tego rodzaju powieści, które jak róże mają prawo tylko do jednéj wiosny.

Gdybyśmy zastosowali do tych ostatnich znany aksyomat i wyrzekli, iż każde społeczeństwo ma taką powieść, na jaką zasługuje, to nie możnaby zbyt pochlébnego sądu wydać o umysłowości społeczeństwa dzisiejszego, bo żadną miarą nie da się uznać w nich wizerunku zdrowego, normalnego organizmu. Gdyby powieści te były nędznemi, podrzędnemi utworami fabrycznemi, niktby o nie nie dbał i nie zaprzątał się niemi. Są one natomiast, niestety, czémś gorszém: są świadectwem wykolejenia zdrowego i jasnego, samopoznania, są chorobliwemi wybrykami społeczności, która w poszukiwaniu nowych prawd, nowego kanonu moralnego, traci poczucie istotnego świata, jego potrzeb i warunków bytu. Czasami, doprawdy, możnaby powątpiéwać, czy ci pisarze wierzą sami w prawdy, które głoszą; czy zachcianek nie biorą za wolę i czy wiedzą sami, na jak awanturnicze szlaki prowadzą nas, improwizując, z wielkim talentem, to prawda, wierutne brednie.

Uwagi powyższe stosują się przedewszystkiém do powieści pani Sary Grand i pani Mannington Caffyn, które stają w roli apostołek nowego moralnego i towarzyskiego ustroju, aniżeli do powieści pana Bensona, która jest poprostu tak zwaną *society novel*, t. j. obrazkiem wyższego towarzystwa i, jako taka, nie rości żadnych wygórowanych pretensyi. Nadzwyczajne, szalone jéj powodzenie, jak dowcipnie jeden z krytyków powiedział, nie jest winą autora: społeczeństwo wyborowe przyklaskiwało w niéj sobie, nie zaś jemu, i wyobraziło sobie, że obdarzone jest taką werwą, dowcipem i błyskotliwością, jaka odznacza p. Bensona.

P. Benson jest młodym, debiutującym pisarzem i jak się to często zdarza młodym, zaczął od satyry. Doświadczenie i zawody późniejszego żywota uzbrajają nas w pobłażliwą wyrozumiałość, buńczuczna młodość za to, spostrzegając różnicę między wymarzonym przez się a rzeczywiście istniejącym światem, rozczarowanie swoje wypowiada w gorzkich uwag potoku. Uszanować należy tę gorycz bo jest świadectwem ideału, którego śladu nie ma u wielu innych. Ale satyra ta u p. Bensona nie ma prawdopodobnie tak szlachetnego źródła. Zanadto wiele jest w niéj sceptycyzmu i zadziwia nas ten młodzieniec swém wczesném doświadczeniem i pewnością niezachwianą. Nie u niego miejsce dla złudzeń! Satyryczny nastrój, z jakim maluje społeczeństwo, jest tą urągliwą formą z jaką młodzież współczesna wyraża się o otaczającym ją świecie. Widzą jego wady i ułomności, za co chwalić ich można, ale gdy się ich zapytuje o ich dodatnią modłę, o istoty, o charaktery, o typy którémi by zaludnić świat było pożądaném, żadnéj

jasnéj odpowiedzi od nich otrzymać nie podobna. Albo nie chcą albo nie umieją wyjść po za sferę negacyjnéj krytyki. Powieści jak obecna, mogą nas zabawić ale żadnych nowych horyzontów odsłonić nie są w stanie.

„Dodo" jest, co spieszymy przyznać, interesującą i zabawną powieścią. Jest to monografia kobiety dnia dzisiejszego, rodzaj angielskiéj Frou-Frou. Szeptano w salonach dobrze poinformowanych, że jest to portret z życia zdjęty młodéj damy słynącéj ze swego dowcipu i oryginalności a która przed kilku miesiącami wyszła za mąż za jednego z ministrów obecnego gabinetu. Samo się przez się rozumié, że fabuła powieści a rzeczywisty tok życia damy, którą świat londyński tak słusznie podziwia, nie ma najmniejszego podobieństwa i przypuszczenie zrodziło się z poszukiwania, któraby kobieta posiadała tyle werwy i oryginalności co Dodo, *con amore* odmalowana przez autora. P. Benson, syn arcybiskupa Canterbury, prymasa Wielkiéj Brytanii, mając przez swe urodzenie i stosunki wstęp do najlepszego towarzystwa stolicy, zebrał prawdopodobnie w pośród niego wiele rysów oderwanych i wcielił je w postać swéj bohaterki. Talent jego pisarski jest widoczny, skoro mu się udało z téj mozajki pełną życia stworzyć figurę. Jego Dodo żyje, i to główna jéj zaleta. Pod tą nazwą ptaka, należącego do wygasłego już oddawna gatunku, autor odmalował kobietę dnia dzisiejszego. Celem jéj zabawa i używanie wszystkich przyjemności, wszystkich rozkoszy życia. Nie ma innego *criterium* tylko że to się jéj podoba a owo ją nudzi. Egoizm jest tylko motorem poruszającym całą jéj skomplikowaną machinę ale z prawdziwym cynizmem manifestuje się przy każdéj okoliczności. Stanowi to oryginalność Dodo, że się ze swym egoizmem nie kryje ale przeciwnie że się nim szczyci. Myśli głośno, a że świat jéj przyklaskuje i psuje jak zepsute a zabawne dziecko, zatém nie zna wyrzutów sumienia i nie rozumié nawet, żeby mogła postępować i działać inaczéj. Zapoznaje nas z nią autor, gdy oświadcza Jackowi Broxton który się w niéj kocha i ku któremu sama czuje żywą sympatyę, że nie wychodzi za niego, bo nie jest on ani utytułowanym ani bogaczem, ale że oddaje rękę jego kuzynowi, markizowi Chesterford, który właśnie oba te warunki posiada i w dodatku szalenie się w niéj kocha, nie budząc wzajemnie innego uczucia prócz przyjaznéj obojętności. Życie dalsze rozwija się dla niéj logicznie z takich przesłanek. W związku człowieka szlachetnego, idealisty, rozkochanego w żonie i uwielbiającego jéj wady nawet, w których optymistycznie zawsze gorętsze tętno serca przypuszcza, z kobietą działającą jedynie dla wywołania wrażenia, dla oklasku galeryi, pozbawioną wszelkiéj naiwności i prostoty a jednocześnie wszelkiéj uczu-

ciowości, nie mogła długo istnieć harmonia. Łuska spadła z oczów mężowi i żonie niebawem. Mąż widząc, że w parę tygodni po stracie niemowlęcia, żona tańczy na balach i bawi się jak szalona, nabiera przekonania, że między jego drogą a drogą jego żony nie będzie stycznego punktu; ona znowu, nudząc się na wsi w swym zamku, trzepocąc jak ptak w klatce skrzydełkami, w braku oklasków galeryi proponuje swemu przyjacielowi Jackowi Broxton żeby ją wykradł. Będąc prawdziwie angielskim gentlemanem i przyjacielem swego kuzyna, Jack odrzuca tą propozycyę, chociaż jest ciągle pod wpływem upajającego czaru jaki Dodo na cały świat ją otaczający wywiera. Nic dziwnego, że gdy lord Chesterford umiera z wypadku i gdy on odziedzicza po nim tytuł i miliony że chce odziedziczyć po nim także jego wdowę. Ich zaręczyny są wypadkiem przewidzianym, naturalnym, ale na charakter i usposobienie Dodo nie wpływają. Wyobraża sobie drugie małżeństwo tak jak pierwsze: pasmem zabaw wśród chmary wielbicieli a pierwszym z nich pozwoli zawsze być swemu mężowi. Tém łatwiéj jéj może przyjść urzeczywistnienie tego planu z drugim mężem, że zna ją na wskroś i że żadnéj komedyi grać z nim nie będzie potrzebowała. Dobre koleżeństwo, bez cienia miłości i poświęcenia: oto ideał jéj szczęścia; naturalnie, na podstawie najszerszego dobrobytu materyalnego. Bez niego nie tylko o szczęściu ale nawet o samém życiu mowy nawet być nie może.

Cały ten rozwój charakteru, cały tok powieści jest, wykluczywszy zeń oryginalność, do któréj pretensyi rościć nie może, logicznie przeprowadzony. W dodatku, jak powiedzianém było wyżéj, werwa i dowcip, świetność dyalogu, lekko szkicowane postaci drugiego planu, wierny, żadnym anachronizmem ani fałszywą nutą nie skażony wizerunek wykwintnego świata, pobudzają jeszcze interes czytelnika. Ale gdy trzeba było autorowi pokazać się psychologiem i w akcyi charakter swéj bohaterki ujawnić, nie znalazł się na wysokości swego zadania. Wprowadziwszy w grono wielbicieli Dodo, austryackiego magnata, księcia Waldeneck, pokazuje go czyhającego na nią jak na przeznaczony sobie łup. Nie rozumié czytelnik demoniczněj siły tego cudzoziemca, magnetyzującego mimowiednie kapryśną sybarytkę angielską, i prawdopodobnie autor sam téj postaci nie rozumié. Jedyną jego oryginalnością jest, iż zrobił go austryakiem: zazwyczaj ci przewrotni demoni byli rodem z innego kraju! Widocznem tu staje, że Dodo wpływowi jego ulega i ten charakter niezawisły, nie uznający żadnego hamulca, niczyjego wpływu, kierujący się tylko własnemi zachciankami nie wiedzieć skąd i dlaczego, w skutek nieodsłoniętego dla nas procesu

psychicznego, daje się porwać w szpony temu jastrzębiowi i razem z nim opuszcza Londyn a czytelnika, zadziwionego i niezaspokojonego.

Jest się niezaspokojonym, to najmniejszéj wątpliwości nie ulega i to właśnie dowodzi, że utwór p. Benson nie jest owém wyższém dziełem sztuki, które zawsze wnosi do ducha nieco błogiéj harmonii. Jest się bezwątpienia zajętym, czytając ten szczegół z codziennego życia, jak autor na tytułowéj kartce powieściowy szkic ten nazywa, ale po odłożeniu na bok książki czuje się czczość jéj i brak wszelkiéj celowości. Kobieta egoistyczna, powierzchowna, błyszcząca, *stimulating* etc. to postać znana i autora zasługą było nie tyle stworzenie jéj, jak oprawienie jéj w pasujące jéj ramy. Złamała życie jednego człowieka, co położył w niéj wiarę i oddał jéj serce, to widzimy; mniéj jasném jest, co się stanie z drugim, któremu wiarę przyrzekła i którego opuściła w przystępie kaprysu i pod wpływem niewytłumaczonym trzeciego. Autor zostawia ten epizod na uboczu nie rozwiązanym i jakby wszelkiego interesu pozbawionym. Ale do czego chyba mieliśmy prawo, to do rozwinięcia typu kobiety jak Dodo, jako żony człowieka któremu się dobrowolnie oddała i do ewolucyi jaką charakter jéj w swéj atmosferze moralnéj dokonał. O tém wszystkiém ani słowa. Autor ustawiwszy figury na szachownicy, po dokonaniu kilku wstępnych ruchów cofa się Znak zapytania nie jest tutaj na swojem miejscu i każdy poważniejszy umysł zwróci się doń z wyrzutem za uczyniony zawód. Nie trzeba stawiać problematów, gdy się ich rozwiązać nie chce i nie umié. Jeżeli zewnętrzną swą fakturą p. Benson zasłużył sobie na miano mistrza, to nic jeszcze powiedzieć nie można o jego wewnętrznéj wartości. Ci co w nadmiarze ferworu utrzymywali, że Dodo przypomina arcydzieło Meredith'a *Diana of the Crossways*, nie mogli znaleść na usprawiedliwienie tego porównania żadnego innego argumentu, tylko, że obie bohatérki błyszczą rozumem i dowcipem. Pierwszego nie ma śladu atoli w Dodo, a dowcip jéj nawet jest brzęczeniem owadu, co się łatwo naprzykrzać może. Ten sam los spotka bezwątpienia i utwór pana Bensona. Nikomu na myśl nie przyjdzie powrócić do jego książki i odczytywać „Dodo" tak samo, jak się w dzienniku mód onegdajszych nie szuka dla dnia dzisiejszego wskazówek. Dalsze dopiéro prace tego autora będą w stanie pokazać, czy jest on tylko dowcipnym felietonistą, czy téż myślicielem i artystą.

W każdym razie jedną rzecz przytoczyć można na usprawiedliwienie niedostatków p. Bensona: jest on tylko mężczyzną! A obecnie w Anglii beletrystyka przeszła zupełnie w kądziel. Ażeby zająć pierwszorzędne stanowisko, zadziwić nowością i oryginalnością poglądów, wygłosić nowe etyczne podstawy dla społeczeństwa jutrzejszego, a dzi-

siejsze poddać nieubłaganéj krytyce — na to trzeba być kobiétą. Mówimy żartobliwie, ale zjawisko to, samo w sobie poważne, jest jedną stroną owéj emancypacyi kobiécéj, która coraz szybszym krokiem idzie naprzód w świecie anglo-saskim. Nie to jest zastanawiającém, że kobiéty piszą powieści, boć pisały je zawsze, a w angielskiém piśmiennictwie Jane Austen i pani Gaskell, siostry Bronte i pani George Eliot, że się jedynie do najznakomitszych piór ograniczymy, zajęły stanowisko niewzruszone. Autorki te stawały na gruncie powszechnym, walczyły za idee i zasady, które wydawały się im sprawiedliwemi i płeć ich nie wpływała na ich poglądy, lecz była czynnikiem, o który czytelnik kłopotać się nie potrzebował. Obecnie jednak rzeczy inną przybiérają postać. Kobiéty piszą nietylko ze stanowiska ściśle i wyłącznie kobiécego, ale postawiły kobiétę na pierwszym planie i rozpatrują ją, studyują, jako istotę, obdarzoną odrębnym jakimś duchem, przynoszącą z sobą nowy kanon moralności i prawdy. Mężczyzna pod ich piórem schodzi do roli ohydnego, rozbestwionego samca i wszystkie grzechy Izraela mają na tym koźle ciążyć. Nie ma mowy w tych powieściach o bezstronności i spokojnym sądzie. Ponieważ każda autorka jest absolutną panią swéj fikcyi, nie dziwota, że buduje ją téj tendencyi gwoli. Cały swój talent piśmienniczy, cały entuzyazm i wewnętrzne ciepło, którém rozporządzają, kierują do ośmieszenia, znikczemnienia, do zdetronizowania mężczyzny z jego dotychczasowego stanowiska. Jak się samo przez się rozumié, muszą i w ich powieściach być sympatyczne i dodatnie charaktery męskie: inaczéj nie byłoby miłości, która jest i będzie zawsze obrotową osią tego rodzaju utworów. Ale uczyniwszy to niezbędne ustępstwo dla rutyny i dla prawdopodobieństwa, gorliwe orędowniczki moralnéj wyższości kobiéty, dokładają wszelkich starań, aby częściowo i jedne po drugich odebrać biédnym mężczyznom przymioty, które im zostawiły i obok jednego dodatniego dają mu tysiące ujemnych rysów. Tendencya jest tak widoczna, teza tak uporczywie stawiana przed czytelnikiem, że niepodobna czynić sobie najmniejszego złudzenia. Zapowiadany jest nam nowy świat, nowy ustrój społeczny, a to przez odmienną rolę, jaką kobiéta ma zająć w małżeństwie, w rodzinie. Wydawanie na świat dzieci w warunkach, jakie dotąd istniały i rola bierna kobiéty przyprawia je o niewysłowione oburzenie i chociaż przedmiot to do traktowania niełatwy, trudności jego nie powstrzymały ich, lecz przeciwnie, dodały bodźca. Jedna powieściopisarka stara się przesadzić drugą, jedna okazać zuchwalszą nad drugą, w opisach, w szczegółach, w odsłanianych szpetnościach natury ludzkiéj. Ukazały się świéżo powieści kobiécego pióra, traktujące specyalnie sprawę prostytucyi ulicznéj, inne poświęcone syfility-

cznym chorobom. A gdzie to już czasy, gdy matka bez obawy dawała córce angielską powieść, jako symbol czystości! Gdybyśmy w tak drażliwéj kwestyi z radą wystąpić mieli, to odważylibyśmy się zalecać raczéj powieści męskiego pióra, jako przyzwoitsze w tradycyonalném słowa tego znaczeniu.

Nie zamierzamy przedsiębrać tutaj krytycznego studyum o powieści, pisanéj przez kobiéty, dla kobiét i o kobiétach: łatwoby nam było wtedy udowodnić, jak te chwasty rozpleniły się z pięknego niezaprzeczenie ziarna, zasianego przez Oliwię Schreiner w jéj świetnéj powieści *Story of an African Farm.* Ale ponieważ chcemy poprostu zapoznać czytelnika z kilku powieściami, co się znajdowały w ręku wszystkich, te kilka wstępnych uwag powyższych wystarczy do zrozumienia grupy, któréj są wyrazem.

Pani Francis E. Mac Fell, pisząca pod pseudonimem Sary Grand, była aż do zeszłego roku mało znaną i ginęła w orszaku powieściopisarek bez żadnego piętna indywidualnego. Dopiéro po wydaniu *Heavenly Twins* — „Niebiańskich Bliźniąt" — sława jéj rozbrzmiała. W świetle 18-éj edycyi téj powieści i dawniejsze jéj utwory, jak *Ideala*, doczekały się nowéj, a dwie świéższe, które pośpieszyła się wydać, aby kuć żelazo, póki gorące, także drogę łatwą przed sobą znajdują. Dla osądzenia jéj piśmienniczego stanowiska wielka jéj powieść wystarczy.

Jak wiele innych angielskich romansów tak i „Niebiańskie bliźnięta" grzészą nadzwyczajną rozwlekłością. Wina tego leży na wydawcach, którzy dotąd obstawali przy trzytomowéj powieści. Ażeby ramy takie wypełnić, autorowie przywykli rozwałkowywać osnowę i pstrzyć ją rozmaitemi niepotrzebnemi dodatkami. Pani Sarah Grand postąpiła sobie inaczéj, bo napisała dwie, nieledwie odrębne i niezależne jedna od drugiéj powieści, jedna poświęcona swéj bohatérce, Evadnie Freyling, druga dyabelskim bliźniętom, przez przyzwoitość i ironię tylko nazwanych niebiańskiemi. Dwa te czynniki składowe, całkiem odmiennéj nawet wartości i oryginalności, zléwają się w drugiéj dopiéro części w jednolitą, ale mimo tego zawsze luźną i wadliwie zbudowaną całość. Nieby nie były straciły, pozostawszy niezależnemi. Historya Evadny jest tezą o równouprawnieniu płciowém kobiéty; epizody o Angelice i Diavolo, bliźniętach, są pełne humoru, tak rzadkiego u kobiét, i oryginalności, a grzészą jedynie karykaturalną przesadą. Choćby tylko na punkcie kompozycyi, wiele jeszcze téj autorce zostaje do nauczenia się.

Ta ułomność układu utrudnia streszczenie jasne powieści. Główne jéj znaczenie leży w historyi Evadny, reszta jest przyprawą, która

jedynie kąsek ton połknąć pozwala. Evadna, uosobiająca idealną kobiétę, praw swych świadomą, jest córką bogatego właściciela ziemskiego, człowieka o ciasnym umyśle i wyśmiéwającym nowe aspiracye kobiéce, ale oczytanego i podbudzającego córkę do myślenia i wyrobienia w sobie oryginalnego umysłu. Nie podejrzéwa on jednak, że ta poważna i chciwie czytająca lekkie i poważne książki naukowe dziewczyna ukształtowała w sobie umysł niezależny i doszła do sformułowania dla siebie kodeksu moralnego, od którego w życiu dalszém nie będzie chciała odstąpić. Autorka zręcznie wywinęła się z wytłómaczenia, jak się stało, że ta dziewica o poważnym umyśle zakochała się w majorze Colquhoum, najpospolitszym oficerze, hulającym materyaliście, za którym nie przemawia nic innego prócz szerokich bark i sumiastego wąsa: nie możemy sobie téj zagadki inaczéj rozwiązać, jak niewystarczającym argumentem dopełniających się przeciwieństw. W chwili, gdy ślubną suknię zamienia na podróżną, Evadna otrzymuje spóźniony list, uwiadamiający ją, że jéj mąż uwiódł dawniéj jakąś kobiétę i porzucił. Wiadomość ta uderza jak grom w serce oblubienicy, która swego własnego dziewictwa świadoma, spodziéwała się znaléść je także u swego małżonka i uważała się do tego za uprawnioną. Zawiedziona na punkcie, który w jéj oczach ma znaczenie pierwszorzędne, ucieka od męża i kryje się w domu ciotki. Trzeba interwencyi rodziny i błagań jéj potulnéj, ale skandalem towarzyskim przestraszonéj matki, ażeby wymódz na niéj powrót do męża i życie z nim pod jednym dachem, ale nie jako żona, lecz jak siostra z bratem, jak przyjaciółka z przyjacielem. Ten pakt dziwaczny dochowany jest skrupulatnie przez obu małżonków. Wprawdzie major Colquhoum ma z początku nadzieję, iż piękna, utalentowana, rozumna jego żona przebaczy mu brak dziewictwa i żoną jego zostanie, ale przekonywa się z biegiem czasu, iż się nadzieje jego rozbijają o teoryę podniosłéj moralności Evadny. Powraca tedy do pospolitéj hulanki, do kochania, do kart i do butelki, kiedy jego żona, dzieląc jednostajne swe życie pomiędzy obowiązki towarzyskie i pracę umysłową, stopniowo podkopuje swe zdrowie i popada w histeryę i monomanię. Jest nieszczęśliwą, ale zdaje sobie sprawę, że jest apostołką nowego zakonu i że przez takie osobiste ofiary kobiét, mężczyzni będą doprowadzeni do pojęcia swéj własnéj sromoty: jeżeli nie będą mogli miéć żony, utworzyć rodziny inaczéj, jak stanąć przed ołtarzem ślubnym czystym i nieskalanym, to reforma narzuci się im, jako nieunikniona konieczność.

Nie ma potrzeby teoryi téj poddawać ścisłéj krytyce, wykazywać praktycznych jéj trudności, a mniéj jeszcze zwalczać ją fizyologicznemi aksyomatami. Są tacy, co sobie drwią z autorki, tak zapatrującéj

się na małżeństwo i rodzinę, są inni, których wyrafinowane jéj pojęcia o idealnie dobraném stadle wprawiają w istotny zachwyt. Gdy powiemy, że w pierwszéj kategoryi są wyłącznie mężczyzni, a w drugiéj przeważnie kobiéty, nie zadziwimy zapewne nikogo. Ale w obecnym razie interesującym jest tylko sposób, w jaki pani Sarah Grand daléj swój wątek powieściowy wysnuła. Postawiła obok Evadny, niszczącéj swą żywotność w systematycznéem dziewictwie, człowieka, którego osobistość jéj interesuje jako lekarza, przyciąga jako przyjaciela pełnego poświęcenia i entuzyazmu. Evadna, sama nie wiedząc, lgnie także do dr. Galbreith i gdy pułkownik Colquhoum nagle umiéra, nie potrzeba długiéj walki, aby tych dwoje szlachetnych i dobranych istot upadło sobie w ramiona i wstąpiło w związki małżeńskie. Teraz już Evadna od męża pomarańczowego pączka nie wymaga, co jest naturalne może, ale bynajmniéj konsekwentności nie dowodzi. Ale nie wyrzeka się przez nowe małżeństwo swoich teoryi. Gdy ma zostać matką, ażeby nie wydać na świat córki, którа znieważonąby być mogła i którаby żyć musiała w pośród rozpasanych mężczyzn, chce sobie życie odebrać. Trzeba długich i ciągłych wysiłków i pieczy jéj męża, ażeby ją z téj umysłowéj choroby wybawić i do życia praktycznego, obowiązkowego na dobre wciągnąć. Ale chociaż ocalona, zawsze nosić będzie na sobie niezatarte ślady swego pierwszego zawodu, swego pierwszego niedobranego małżeństwa.

Przedstawiwszy czytelnikowi suchy szkielet téj powieści, pozbawiwszy go całéj teoretycznéj jego szaty, niezliczonych szczegółów, które doktrynę przewodnią ilustrują, nie możemy dać mu o niéj należytego wyobrażenia. Nie trzeba atoli sądzić, żeby to był paradoks dla wywołania zdziwienia wygłoszony. Autorka jest głęboko przejęta misyą odrodzenia społecznego, jaką Evadny takie dokonać mają. Jest ona wzorem dla innych kobiét w sferze, w jakiéj się obraca, a mianowicie dla Angeliny, jednéj z owych bliźniąt, bez wprowadzenia których można było osnowę powieści wyłuszczyć. Awanturnicza ta dziewczyna wydaje się za mąż dla pozyskania swobody i z najzacniejszego męża drwi sobie bezczelnie. I ona także zdaje się być żoną także tylko z nazwiska, chociaż szczegół ten zostawiony jest przez autorkę w dyskretnym półcieniu, niepotrzebnym zresztą, skoro na innych punktach autorka wielu fizyologicznych zagadnień bez najmniejszego zakłopotania dotyka. Dopiéro po nabrojeniu psot nie mało, przyprawiwszy nawet o śmierć szlachetnego człowieka, przychodzi na myśl temu efebowi-kobiécie, że może i mąż jéj ma jakąś wartość, że może być dla niéj siłą i podporą, dopełnieniem jéj istoty. Jest taki wniosek, ciężkiém okupiony doświadczeniem, po

zbawiony logiki z punktu wyjścia autorki i do teoryi jéj nie pasuje. Ale logiczność i ścisłość nie są bynajmniéj znamiennemi rysami téj nowéj szkoły powieściowéj, i nie o nie ubiegają się panie Sary Grand i ich siostrzyce. Nie chcąc przesadzać w surowości oceny co najlepszego daje się o opiniach i przekonaniach téj powieściopisarki powiedziéć, to, że są mgliste, pozbawione jasności, i że ona sama dobrze nie wié o co jéj chodzi. Kobiéty mają zbawić świat i wprowadzić go na nowe tory, ale gdy idzie o pokazanie, jak się owo odrodzenie ma dokonać, nie znajdujemy obok zużytych ogólników o konieczności gruntownego wykształcenia, któremu żaden zdrowy umysł przeczyć nie myśli, żadnéj innéj reformy oprócz wymaganéj dziewiczości od mężczyzn, do stanu małżeńskiego wstępujących. Nie pomiatamy bynajmniéj taką reformą obyczajów, ale przyznajemy, że do odrodzenia radykalnego społeczeństwa i ludzkości nie zdaje się nam ona wystarczającą.

Nie można się powstrzymać od wyrażenia żalu, że pani Sarah Grand tak silnie upiéra się przy swéj tendencyjności. Bez tego umyślnego spaczenia swéj twórczości byłby w niéj materyał na pierwszorzędnego pisarza. Posiada wyobraźnię bujną, umié kreślić charaktery nowe, oryginalne, niespodziéwane, rysuje je nie abstrakcyjnie, ale w akcyi żywéj, zawsze interesującéj i nakoniec posiada *humour*, werwę komiczną nadzwyczajną. Stworzenie takich dwóch dziecinnych typów, jak owe bliźnięta, pełne dyabelskich figlów i płatające psoty nadzwyczajne a chwytające czytelnika za serce, już samo jedno wystarczyłoby do uwidocznienia jéj twórczego talentu. Nie wątpimy, że homeryczny śmiech, jaki te postaci wywołały, przyczynił się daleko więcéj do nadzwyczajnéj popularności téj powieści, aniżeli doktryna o prawach kobiéty i o czystości męskiéj. Społeczność angielska chlubić się swoją cnotą lubi, ale więcéj jeszcze wagi przywiązuje do jowialnego humoru, aniżeli do kazań purytańskich: tego pewnym być można. Mała jednak jest nadzieja, ażeby p. Sarah Grand rozwinęła w sobie owe dodatnie, wyższe strony twórczości, ażeby się wzniosła na stanowisko etycznéj sprawiedliwości, ażeby chciała i mogła być bezstronną. Cech kobiét-autorek ugrupował się około niéj, okrzyczał jéj geniusz, przyjął od niéj hasło do walki za prawa kobiéty i uwięził ją w tém ciasném kole. Sądząc z mów, które wypowiada w klubach kobiécych i na bankietach, które sobie te damy wydają, nie zdaje się, aby była nawrócenia bliską. Przeciwnie, brnie w błoto coraz głębiéj. Z pod jéj pióra wyszła świéżo powieść *The Superfluous Woman*, o któréj uczyniliśmy wyżéj wzmiankę i która traktuje o syfilitycznych chorobach. Z uwagi, że polskie czytelniczki obecnego sprawozdania mogą być w téj sprawie więcéj zacofane aniżeli

angielskie i że przedmiot taki odrazę tylko mógłby w nich wzbudzić, uważamy za właściwe w bliższy jéj rozbiór nie wchodzić.

Trzecią powieścią, która z dwoma powyższemi najwięcéj była czytana i rozbierana, jest „Żółty aster”. Autorką podpisującą się pseudonymem Jota jest pani Mannington Caffyn, młoda kobiéta należąca do téj saméj grupy literackiéj, co pani Sarah Grand i walcząca pod tym samym co ona sztandarem. Tytuł zagadkowy powieści ma oznaczać, jak się zdaje, symbol rzadkiego do napotkania szczęścia. Nie tytuł jednak, ale doktryna przewodnia utworu tego wywołuje zadziwienie. Mając w świeżéj pamięci „Niebiańskie bliźnięta”, nie można zaprzeczyć, że „Żółty aster” przychodzi jako dopełnienie tam podniesionéj tezy. Właśnie ta okoliczność, że napisane były jednocześnie, bez żadnego uprzedniego porozumienia pomiędzy nieznającemi się wówczas autorkami, świadczy o jednolitości umysłowego nastroju wśród intelektualnych warstw kobiécych Anglii.

Napisana z niezaprzeczonym i zastanawiającym u debiutującéj autorki talentem pisarskim, nawskroś przejęta patetycznością, świadczącą w każdym razie, że Jota bierze się na seryo i w wygłaszane teorye wierzy, powieść ta jest także monograficzném studyum kobiéty dnia dzisiejszego. Wszystkie osoby, które otaczają Gwen Warding i w styczność z nią wchodzą, są narysowane jedynie dla uwidocznienia jéj indywidualności. Rodzice jéj to dwie karykatury uczonych, pracujących nad zagadnieniami naukowemi, ale zostawiających dzieci samopas, nie poczuwających się do żadnych względem nich obowiązków i odpowiedzialności. Wśród tych bezsercowych mumii, zostawiona sama sobie i okolicznościom, wyrosła wszelako Gwen na piękną i rozumną istotę, która jednak miłości nie rozumié, nie ma o niéj wyobrażenia i chyba się o nią nie troszczy. Gdy się w niéj zakochał sir Humphry Strange, młodzieniec szlachetny, pełen serca i idealizmu męskiego, wychodzi zań za mąż, bo partya to ze wszech względów świetna, ale natura kobiéca śpi w niéj niezbudzona jeszcze. Otwarcie zresztą oświadcza swemu narzeczonemu, że żadna skra w jéj duszy nie zapłonęła i że w małżeństwie widzi poprostu doświadczenie. Kiedy jéj mąż, tego braku harmonii świadomy, żywi nadzieję, iż się marmurowa jego Galatea nareszcie do życia zbudzi, ona czyni z obiektywizmem chłodnym, jeden eksperyment po drugim. Obserwuje męża jak zwierzę w klatce ogrodu zoologicznego, próbuje na nim obojętności, kokieteryi i nawet komedyi miłości. Ale kobiécość jéj nie ujawnia się jeszcze. Dramat jéj życia wybucha jednak, gdy ma zostać matką. Czarna rozpacz ogarnia wtedy jéj duszę. Czytelnik zapewne położenia tego należycie ocenić, a nawet zrozumiéć nie może. Do tego bowiem

trzeba zgłębić teoryę praw kobiéty: ani mniéj, ani więcéj. Głębokie upokorzenie owéj młodéj żony płynie z tego źródła, że staje się matką bezwiednie, że nie wzięła czynnego, świadomego udziału w twórczości, że widzi w sobie tylko podrzędną machinę organiczną. Ażeby nas o przesadę nie posądzono, wolimy dosłowną zasłonić się cytatą. Oto co mówi ta nowoczesna kobiéta, gdy odkrywa, że ma zostać matką: „I ja, ja, ja, Gwen Strange mam zostać wkrótce matką dziecięcia, którego Humphrey jest ojcem! — Zakryła twarz rękami. — Ależ to jest okropném—wykrzyknęła — to jest zbeszczeszczeniem mojém, bacząc na uczucia, jakie dlań wyznaję i jakie zawsze wyznawałam! Jest to poniżenie, gdy pomyślę, że jakikolwiek mężczyzna może brać tak dalece kobiétę w swoje posiadanie, kiedy ona uczynić tego nie może — nie może. Alboż dziewczyna za mąż idąca ma najmniejsze wyobrażenie o tém, do czego oni uważają się uprawnieni. Gdyby one to wiedziały, gdyby im pokazano naturę ich poświęcenia, nie byłoby możliwego małżeństwa bez miłości. Czyż nie postradałam ja rozsądku, o Boże, wychodząc za mąż? Nie, nic, tylko doskonała miłość może usankcyonować małżeństwo, nic, ani prawo Boskie, ani prawo mężczyzny. A teraz doszłam do ostatniego sromu, nosząc na sobie dotykalne znamię méj hańby. Zgrzeszyłam nietylko w przeszłości i teraźniejszości, ale i wobec przyszłości: pomiędzy mną a mojém dziecięciem stanęła zapora.” „Są tacy, co mówią o hańbie kobiéty rodzącéj dziecię po za małżeńswem, ale niczém to w porównaniu hańby kobiéty co ma dziecko, a która poczęła je bez miłości. Tamte znajdują usprawiedliwienie w miłości, która zmywa ich hańbę, ale my, my kobiéty należące do wyborowego świata, —to nie jest dla nas rzeczą naturalną, to jest upodleniem wyższém ponad wszystkie wyrazy!...”

To wystarczy. Umysłowy nastrój bohatérki, świat idei, w którym się obraca, można teraz pojąć. Woli ona miłość bez małżeństwa, aniżeli małżeństwo bez miłości. Reszta powieści może po takiém założeniu zadziwić i Gwen nie pokazuje się bynajmniéj tak uparcie obstającą przy swoich prawach, jak bohatérka pani Sary Grand. Naturalnie, rozłącza się z mężem, który się shańbił taką nikczemnością, jak uczynienie jéj matką, i mąż ten zostawiwszy ją panią samowładną swego wielkiego majątku, sam udaje się w głębię Afryki na niebezpieczną wyprawę. A ona tymczasem powija syna i w blasku macierzyństwa naraz otwiéra się jéj świat nowy, dotąd niepodejrzewany, miłości, poświęcenia, ufności, wyrozumiałości. Nietylko w niéj saméj przewrot ten się dokonał, ale jéj matka, owa wyziębła na wszelkie gorętsze uczucie istota, co w książkach i zimnéj wiedzy życie swe była zamknęła, naraz, w ostatnich miesiącach swego życia roztkliwia się i lód, co jéj

serce był zmroził, taje i tuli się do łona córki, z którą nic ją przedtém oprócz trafunkowego węzła nie łączyło. Ten widok matki, co się stała nareszcie kobiétą nad brzegiem grobu, i miłość dla dziecięcia własnego odradza samą naturę Gweny i robi z niéj kobiétę. Gdy mąż jéj powraca z wyprawy afrykańskiéj, poświęceniem przyjaciela ocalony, zastaje, ku wielkiemu swemu zdziwieniu żonę, co go kocha i kochać jest gotowa. Dobrze, że autorka na tym punkcie pojednanego stadła małżeńskiego się zatrzymała. Gdyby studyum swe ciągnęła daléj, kto wié, czyby swą bohaterkę potrafiła na normalnéj utrzymać uwięzi. Trudném jest przywyknąć do zwykłego trybu życia, gdy się w fantastycznych sferach nowe dla siebie stwarzało prawa i obowiązki.

Nie ma potrzeby dłużéj się nad powieścią tą zatrzymywać. Sprawa, jakiéj służy, i myśl jéj przewodnia żadnéj wątpliwości nie ulegają. Książek, jak dwie powyższe, liczyć już można na tuziny, niedługo będą ich setki. Rozróżnia je tylko mniejsza lub większa doza piśmienniczego uzdolnienia; ale czy weźmiemy do rąk powieści pani Mony Caird, czy panny Arabelli Kenealy, czy pani Claremonte piszącéj pod pseudonimem Jerzego Egerton, czy panny Heptworth Dixon, czy Annie Hołdsworth, czy nakoniec kobiéty dotąd osłoną nieprzejrzanéj bezimienności okrytéj, a która wydawała świéżo powieści *A sunless life*, o genialnych przebłyskach, zawsze, wszędzie spotykamy się z tą samą tezą, tą samą doktryną. Jest coś niezaprzeczenie chorobliwego w téj mieszaninie podniosłego idealizmu ze szczegółami, odnoszącemi się wyłącznie do fizyologicznych funkcyi organizmu. Nie bez obawy zapytać się, można, na jakim punkcie rozbrykanym tym kobiécym piórom zatrzymać się podoba.

N. T.



UPADEK CEN
i jego przyczyny.

Zewsząd słyszéć się dają skargi na silny kryzys, jaki przechodzi rolnictwo, upadek cen produktów rolnych przybiéra coraz groźniejsze rozmiary, a świat cywilizowany daremnie wyczekuje polepszenia stosunków ekonomicznych. Zwłaszcza ceny zboża spadły do niesłychanie niskiego poziomu, w wielu miejscach nie dosięgają one kosztów produkcyi, co naraża producentów na nieuniknione a znaczne straty, gdyż każdy rok przynosi niedobór, który trzeba wyrównywać, czerpiąc z kapitału. To też wszędzie szukają środków, aby zaradzić złemu, starając się przedewszystkiém odnaléść jego przyczynę; u nas przypisywano dotąd upadek cen niemieckim cłom ochronnym, oraz zerwaniu stosunków handlowych z Zachodem, spowodowanemu zeszłoroczną wojną taryfową, spodziéwano się, że po zawarciu traktatu z Niemcami i odzyskaniu utraconych zagranicą rynków zbytu, ceny zboża niezwłocznie się u nas podniosą. Jak wiemy, nadzieje te srodze zawiedzione zostały: po traktacie ceny nietylko się nie podniosły, ale znacznie się obniżyły tak dla żyta, jak i dla pszenicy.

Nietylko u nas rolnictwo i wszelki przemysł, będący z niém w związku, zagrożone są bankructwem, zachodni nasi sąsiedzi nie mniéj ciężkie przechodzą chwile, pomimo wszelkich usiłowań nie zdołali oni wytworzyć dla swego rolnictwa pomyślniejszych warunków ekonomicznych. Pamiętamy jeszcze, z jaką wytrwałością agraryusze

niemieccy starali się przeszkodzić traktatowi handlowemu z Rosyą, żądając natomiast od prawodawców ceł ochronnych dla produktów rolnych; we Francyi, gdy przyszło parę lat temu odnawiać nowe traktaty handlowe, protekcyoniści z Mélinem na czele, rozporządzając większością w izbie, zdołali odosobnić Francyę pod względem handlowym i nałożyli na zboże zagraniczne wysokie cła ochronne, które podniesione zostały kilka miesięcy temu. Nawet w liberalnéj Anglii, pod naciskiem rolników zaczęto myśléć o cłach ochronnych, czyli o zniweczeniu z takim trudem wywalczonéj przez Cobden'a i Bright'a wolności handlu, a lord Salisbury nie wahał się poprzéć tego wstecznego prądu powagą swego zdania.

Sądząc ze środków, do jakich się uciekano, lub których użycie zalecano władzom prawodawczym, aby podniéść ceny produktów rolnych, można wnosić, że za jedną z głównych przyczym złego uważano konkurencyę zewnętrzną, gdyż wszelkiemi znanemi sposobami starano się ją usunąć. Pomimo, że ani Niemcom, ani Francyi, ani Anglii miejscowe zboże nie wystarcza, żądano wszędzie utrudnień i ograniczeń przywozu zagranicznego zboża, zdawało się każdemu, że zaléwa ono rynki, że ogromne ilości amerykańskiego i indyjskiego zboża o bajecznie niskich kosztach produkcyi grożą konkurencyą, która musi zrujnować rolnictwo europejskie; zapasów tych nigdzie jednak nie było, a dowóz zboża do Europy zmniejszył się nawet w ostatnich latach. Najwięcéj obawiano się Ameryki północnéj, była ona, i jest jeszcze, postrachem rolników europejskich, jakkowiek zupełnie niesłusznie przypisują konkurencyi Stanów Zjednoczonych decydujący wpływ na ceny naszego zboża. Wziąwszy na uwagę bardzo szybki wzrost tamtejszéj ludności, oraz wysokość, do jakiéj produkcya zboża może się wzniéść, wolno przypuszczać, że wkrótce Europa nie będzie mogła posiłkować się zbożem Stanów Zjednoczonych. Według obliczeń Wolhtmanna za dziesięć lat produkcya tamtejszego zboża wystarczy zaledwie na miejscowe potrzeby, a zanim to nastąpi, wywóz do Europy musi się powoli zmniejszać; twierdzenie to słyszeliśmy przed kilkoma laty z ust Emila de Laveleye'a, musi się więc ono opiérać na bardzo poważnych podstawach.

Dowodem, że znaczenie konkurencyi zboża amerykańskiego na rynkach europejskich zwykle bywa przeceniane, jest rok 1893—1894; pomimo, że był on dla Stanów Zjednoczonych rokiem niezwykłego nieurodzaju, odznaczał się w Europie niepamiętnym upadkiem cen zboża. Kiedy średni urodzaj od roku 1880 do 1889 wynosił w Stanach Zjednoczonych 450 milionów buszli; a od 1890 do 1893 r. 500 milionów

buszli, w zeszłym roku dosięgnął on zalednie 396 milionów buszli; ponieważ zaś z każdego zbioru około 370 milionów buszli pozostaje w kraju na miejscową konsumcyę, dowóz zboża do Europy w r. 1893—1894 musiał się znacznie zmniejszyć. Nie wpłynęło to jednak dodatnio na ceny naszego zboża, co jest dowodem, że przyczyny ich upadku należy szukać gdzieindziéj, nie zaś wyłącznie w konkurencyi amerykańskiéj. Dowóz pszenicy indyjskiéj do Europy również się zmniejszył w ostatnich latach, dochodzą nas z Kalkuty wieści, że Indusi zaczynają zastępować ryż pszenicą i konsumują jéj coraz więcéj; wprawdzie utrzymują, że robią oni to jedynie z musu, nie mogąc z powodu niskich cen zbywać pszenicy swéj bez strat, być jednak może, że będzie ona odtąd znajdywać na miejscu liczniejszych konsumentów.

Nas, jako mieszkańców kraju rolniczego, najwięcéj interesują ceny produktów rolnych, wyłącznie o nich mówimy téż i piszemy; nie należy jednak sądzić, aby upadek cen na nich się ograniczał, dosięgnął on i innych gałęzi przemysłu, to téż kryzys obecny nazwano kryzysem niskich cen — wszystkie produkta, z bardzo małemi wyjątkami, stają się coraz tańsze. Z wyliczeń, które poczyniono w Anglii na cenach kilkudziesięciu główniejszych artykułów konsumcyi, otrzymano cyfry, dowodzące, że w przeciągu ostatnich dwudziestu lat obniżka cen wyniosła przeciętnie 40%. Łatwo zrozumiéć, jak smutne następstwa musiała ona miéć dla handlu i przemysłu: kiedy nowe lokacye kapitałów świata cywilizowanego wynosiły w 1871 roku 15 miliardów fr., w r. 1879 spadły one do 9, obecnie zaś od kilku lat nie dosięgają podobno nawet 4 miliardów fr.

Przyczyną tego jest niepewność położenia, paraliżująca wszelkiego ducha przedsiębiorczości, ciągły upadek cen nie pozwala oprzéć się na żadnym rachunku; przemysłowiec, który przy dawnych cenach może prowadzić przedsiębiorstwo swe z korzyścią, musi zbankrutować, jeżeli zasadnicze ceny, na których oparł swój rachunek, spadną; rolnik, który przy danych cenach zboża robi dobre interesa, nie może związać końca z końcem, jeżeli ceny te spadną o kilkanaście lub kilkadziesiąt procent. Niepewny jutra kapitał staje się coraz ostrożniejszy; widząc około siebie tyle ruin majątkowych, każdy szuka dla swego kapitału lokacyi, przedstawiających jak najmniéj ryzyka, zadawalniając się małym procentem, byleby nie narażać się na stratę; pozwoliło to niektórym rządom skonwertować z łatwością swe pożyczki, a nasze Towarzystwo kredytowe ziemskie winno powodzenie konwersyi swych listów tym samym przyczynom.

Nie wszyscy ekonomiści zgadzają się z sobą, gdy chodzi o znale-

zienie źródeł obecnego kryzysu i o wskazanie środków zaradczych; niektórzy nie chcą nawet widzieć nic anormalnego w obecnych stosunkach handlowych i przemysłowych, utrzymując wbrew oczywistym dowodom, że tak upadok cen, jak i wynikły z niego kryzys ekonomiczny, są czczym wymysłem. Znaczna jednak i poważna większość jest przeciwnego zdania i stara się zapobiédz dalszemu złemu.

Najliczniejszych zwolenników miała dotychczas teorya nadprodukcyi; utrzymywano, że ulepszenia techniczne, wprowadzone w ostatnich czasach do wszystkich prawie gałęzi przemysłu, zmniejszywszy znacznie koszta produkcyi, podniosły ją do tego stopnia, że przewyższyła wielokrotnie zapotrzebowanie. Przypuszczenie to nie ma żadnéj zasady racyonalnéj, a teorya nadprodukcyi nie może się stosować do wszystkich artykułów, których ceny uległy obniżce w ostatnich dwudziestu latach. Być może, że dla niektórych przedmiotów przez pewien czas, popyt nie odpowiadał podaży, nie mogło to jednak trwać dwadzieścia lat; przeciwnie, pomimo wzrostu ludności, w okresie tym produkcya ogólna zmniejszyła się znacznie, tak naprzykład roczny wywóz z Anglii zmniejszył się o 25%. Nigdzie nie widać owych zapasów, które mogłyby utrzymywać tak długo ceny na równie niskim poziomie, gdyby inne jakieś przyczyny nie oddziaływały w tym samym kierunku; trudno téż przypuścić, aby producenci pomimo strat, na jakie są narażeni, nie zmniejszali produkcyi swéj przez przeciąg lat dwudziestu: jest to przeciąg czasu dość długi, aby zniechęcić najwytrwalszych; każdy przemysł starał się tak unormować produkcyę, aby straty ograniczyć do *minimum*, dowodem nasz syndykat cukrowniczy. Wreszcie wiadomo, że zasadnicze prawa ekonomiczne nie dopuszczają, aby mogła mieć kiedykolwiek miejsce nadprodukcya we wszystkich gałęziach przemysłu równocześnie; zdarza się, że jakiś produkt ukazuje się niekiedy na targu w zbyt wielkiéj ilości, nie trwa to jednak nigdy długo, działanie prawa popytu i podaży, wyrażające się nieuniknionym upadkiem cen, doprowadza wnet do pożądanéj równowagi.

Prawie na początku kryzysu, bo już około 1880 r., niektórzy ekonomiści zaczęli go przypisywać zjawisku, nie mającemu żadnéj styczności z produkcyą lub konkurencyą, bo ścieśnieniu monetarnemu *(contraction monétaire)*; zanim przedstawimy czytelnikom ich teorye i wnioski, musimy powiedzieć kilka słów o składowych częściach, oraz działaniu mechanizmu monetarnego.

Wraz z rozwojem handlu pierwotna zamiana towarów na towary stawała się coraz trudniejszą i uciążliwszą, to téż wcześnie bardzo za-

stąpiono ją podwójną zamianą, czyli sprzedażą i kupnem, wziąwszy za pośrednika inny jakiś, łatwo przenośny i ogólnie poszukiwany towar, który kupowano, aby go gdzieindziéj sprzedać, towar ten, to ówczesny piéniądz. U ludów, stojących na niskim stopniu cywilizacyi tak w starożytności, jak i obecnie, funkcyę monety spełniają skóry, zboże, kawałki soli, ryby suszone, różne ozdoby, broń, narzędzia, jednéin słowem wszystko, co odpowiada powyżéj wzmiankowanym warunkom; gdy przyszła koléj na kruszce, poczęto używać bronzu, miedzi, a wreszcie złota i srebra. Tak więc złota lub srebrna moneta, jak dowodzi jéj pochodzenie, jest towarem, jak każdy inny, drogie kruszce dlatego zaś zostały ostatecznie przyjęte za narzędzie zamiany, że posiadają w wysokim stopniu wszystkie wymagane od monety warunki: we względnie małéj objętości mieszczą wysoką wartość, nie ulegają zniszczeniu, z łatwością przenoszone bywają z miejsca na miejsce, wreszcie, co najważniejsze, wszędzie są chętnie przyjmowane.

Rola monety nie ogranicza się jednak na ułatwianiu zamiany, pośrednicząc pomiędzy towarami, będącemi w handlu, moneta staje się równocześnie wspólną miarą ich wartości, określa stosunek handlowy, jaki istnieje pomiędzy niemi, czyli, że cena każdego towaru wyrażoną bywa w jednostkach monety—owéj wspólnéj miary.

Wiemy więc, że z ukazaniem się piéniędzy każda dawniéjsza zamiana została podzielona na dwie zamiany i że w każdéj z tych operacyi moneta odgrywa rolę towaru, w pierwszéj ją kupują, w drugiéj ją sprzedają. Wynika z tego, że musi ona bezwarunkowo podlegać prawu popytu i podaży, czyli, że zależnie od ilości swéj w obiegu, bywa ona tańszą albo droższą; gdy jest jéj więcéj, musi być tańszą, a ceny innych towarów są wtedy wysokie, gdy jest jéj mniéj musi być droższą w stosunku do towarów, które kupuje, a ceny ich są wtedy niskie; otóż ekonomiści utrzymują, że ostatnie to zjawisko, podrożenie monety, miało właśnie miejsce od r. 1870, że trwa jeszcze ciągle i że ono to jest przyczyną upadku cen i wywołanego przezeń kryzysu.

Dwie przyczyny wpłynęły na podrożenie monety, zmniejszenie produkcyi złota i demonetyzacya srebra; pierwsza jest naturalną, nie ma więc na nią rady, druga jednak jest tylko sztuczną, legalną, wywołała ją interwencya prawodawcza, źle obmyślaną reformą monetarną; chodzi więc tylko o to, aby przyznać się do winy i błąd naprawić.

Po odkryciu bogatych kopalni Australii i Kalifornii, produkcya

złota i ilość obiegowéj monety złotéj poczęły tak szybko wzrastać, że niektóre państwa, obawiając się, by złoto nie straciło zbyt na wartości, biły tylko monety srebrne, trwało to lat dwadzieścia, od r. 1850 do 1870. Obfitość monety musiała naturalnie obniżyć jéj wartość, wpłynęło to korzystnie na ceny, które w owéj epoce dla kilkudziesięciu główniejszych artykułów podniosły się o 25%, ożywiając handel i przemysł; zauważono wówczas te same ekonomiczne objawy, które po odkryciu Ameryki wywołane zostały w XVI-ym i XVII-ym wieku ukazaniem się w Europie amerykańskiego złota, nie trwało to jednak długo. Około r. 1870 produkcya złota zaczęła się zmniejszać, kopalnie zostały wyczerpane, szybciéj, niż się spodziéwano, ilość wyprodukowanego złota spadała corocznie przeciętnie o 250 milionów franków, to téż coraz mniéj dostarczano go do mennic. W ostatnich zaś kilku latach produkcya złota tak nieznacznych dosięgła rozmiarów, że po odliczeniu 300 milionów fr., które corocznie konsumuje przemysł, pozostaje na potrzeby monetarne świata cywilizowanego zaledwie 80 milionów złota. Wtedy to, pomimo, że złoto staje się coraz rzadsze i daje się uczuwać brak monety, Niemcy, sądząc, że jedynie waluta złota jest godną wielkiego mocarstwa, korzystają z kontrybucyi, jaką im wypłaciła Francya po ostatniéj wojnie, przechodzą z bimetalizmu na monometalizm złoty i przestają bić srebro. W owéj reformie monetarnéj Niemiec, nie wywołanéj wcale potrzebą istotną, należy szukać źródeł wszystkiego złego. Masy wycofanego z obiegu srebra obniżają na rynkach jego cenę, kiedy złoto drożeje, a dawny stosunek dwóch tych kruszców, 1 : $15^1/_2$, zostaje bezpowrotnie zerwany na niekorzyść srebra.

Odtąd datuje obecna rewolucya monetarna, srebro pomimo kilkakrotnych usiłowań Stanów Zjednoczonych, które, mając bogate kopalnie narażone są na znaczne straty, wciąż spada. Wszędzie téż starają się zastąpić go złotém, a wycofując z obiegu piéniądz srebrny, pogarszają stan rzeczy, ostatni cios zadał srebru rząd angielski, wstrzymując zeszłego roku bicie srebrnéj monety w Indyach: spowodowało to upadek srebra o 50% pierwotnéj jego wartości.

Oto rezultat niemieckiéj reformy monetarnéj. Złoto, któremu każą zastąpić srebro i spełniać jego funkcye, jest w zbyt małéj ilości, aby mogło wystarczyć, jako narzędzie zamiany, drożeje ono z dniem każdym, ceny téż z dniem każdym spadają. Rydwan zamiany, jak mówi Emil de Laveleye, ma dwa koła, jedno złote, drugie srebrne, roztrzaskano srebrne koło, nic więc dziwnego, że rydwan toczyć się nie może. Zdaje się, że praktyczna lekcya, którą biorą w téj chwili monometali-

ści, przyniosła im korzyść, zwrot ku bimetalizmowi jest jawny; zeszłoroczna konferencya w Brukselli spełzła wprawdzie na niczém, w téj chwili jednak w Niemczech specyalna komisya zajmuje się tą kwestyą, a prezydent Cleveland został upoważniony przez kongres do zwołania nowéj konferencyi monetarnéj, wiadomo zaś, że jedynie ugoda międzynarodowa może przywrócić srebru utracone stanowisko. Miejmy nadzieję, że przyjdzie ona wkrótce do skutku; doświadczenie, jak mówi Franklin, bierze drogo za swe lekcye, nikt jednak lepszych nie daje [1]).

W. Domański.



[1]) Bliższe szczegóły, dotyczące produkcyi złota i srebra, znajdzie czytelnik w artykule p. Iwanickiego. „Ateneum", marzec, r. b.

PRZESTRZEŃ.

URYWEK Z ŻYCIA.

I.

Ściemniło się. Na dworcu kolei Wiedeńskiéj w Warszawie latarnie już zapalono, jeden z wieczornych pociągów odejść miał za chwilę.

Do wagonu wsiadła młoda osoba, przystojna, o ruchach zręcznych i naturalnych, ubrana odpowiednio do okoliczności, skromnie, lecz gustownie.

Pociąg ruszył, znajoma nasza spojrzała na zégarek i liczyła godziny, które w wagonie przepędzić miała. Gdy na ostatniéj wzrok jéj się zatrzymał, uśmiéch jakiś słoneczny i szczęśliwy, jakby zachwytu i miłości, oczami i ustami na świat Boży wyjrzał. Widocznie rwał się do tego, co czekało podróżną po ostatniéj godzinie jazdy. Taki był pełen szczęścia, dobry i piękny, że szkoda go było dla ponuréj wieczornéj przestrzeni i banalnych, obojętnych ścian wagonu. Nie doszedł tam, dokąd go posłała myśl, która miała szybsze skrzydła aniżeli para i pierwéj tam dobiegła. Nie było nikogo, na któregoby twarzy uśmieszek ten mógł braciszka wywołać i razem poigrać; nie znał widocznie wartości swéj krasy, bo nią szafował bardzo hojnie; w lustrze się pewno nigdy nie przeglądał.

Nasza znajoma ciągle się uśmiécha. Imię-by jéj jakieś nadać trzeba. Nazwijmy ją „Felicyą", to znaczy „szczęśliwa". Uśmiécha

się, szczęśliwą więc być musi. Są też uśmiechy goryczy, zemsty, rozpaczy albo urągania, ale jéj uśmiéch był pełen światła i dobroci, a tak to tylko szczęście uśmiéchać się potrafi. I rzeczywiście, wyraz „szczęście" czytałeś w każdym jéj rysie, a ktoby niedyskretnie do myśli zajrzał, toby zobaczył, że one bezustannie w głowie wyraz „kocham" kreśliły, i stroiły go w najpiękniejsze barwy od tęczy zapożyczone, w najcudniejsze klejnoty i kwiaty myśli i uczuć tak białych i świetlanych, jakby ich bożyszcze ziemskiém i cielesném nie było. Jednak to bożyszcze było ze zwyczajnéj gliny, po ziemi chodzić bardzo lubiło, byle na niéj nie było kamieni, a tylko kwiatów jaknajwięcéj. Trzebaby i tego bohatéra jakoś nazwać, bo to prawdziwy bohatér, kochający i kochany.

Mówią podobno nawet mądrzy ludzie, że takie wielkie bohatérstwo, to się tylko w księgach zdarza, i to tylko takich, w których data wydania jest rzymska, a zamiast *j*—*i* lub *y* jest pisane.

Ponieważ takie bohatérstwo jeszcze wieków romantyzmu sięga, więc też naszemu bohatérowi romantyczne imię się należy. Niech mu będzie „Edwin".

Kochali się, byli zaręczeni, dzień ślubu już był naznaczony, mieszkali w tém samém mieście, codzień się widywać mogli. Chodzili razem na spacery, grywali na cztery ręce, godzinami całemi z sobą rozmawiali, planów tysiące jedne drugie goniły, a wszystkie się miały urzeczywistniać—jak z płatka.

I byli pewni, że miłość to dopiéro oni pierwsi wymyślili, bo ona taka piękna, a przedtém jéj odblasku nigdy w niczém widać nie było. Dopiéro od czasu jak się poznali, świat jakoś wydobrzał i wypiękniał, ludzie się wad pozbyli, wszyscy byli poczciwi i szlachetni; źle postąpić niktby chyba nie potrafił. Nikt też pewno już nie płacze, bo dlaczegóżby miał płakać? A jeżeli płaczą, to chyba gdzieś bardzo daleko. Nawet natura dla uczczenia ich miłości, przybrała się w odświętną, nigdy nie używaną szatę, któréj nikt przedtem nie oglądał. Barwy się ożywiły, wszędzie pełno było ciepła i światła, a ptaki i owady hymn miłości bezustannie nuciły.

Panna Felicya, dla skompletowania wyprawy, do Warszawy na jakiś czas wyjechała. Musiała jechać sama, gdyż matka jéj, zajęta gospodarstwem i młodszemi dziećmi, towarzyszyć jéj nie mogła. Ale któżby w większém mieście nie miał dobrych cioć, wujenek, kuzynek i stryjenek, które doświadczenia, tyczącego się wyprawy, posiadają pełne komody i szafy.

Sprawunki wszystkie prędko załatwiła i teraz wraca, swoich już zawiadomiła o tém, że przyjeżdża, narzeczony, na dworcu na pewno ją

czekać będzie. I wychyla się przez okno, uśmiechy i myśli naprzód posyła. Myśl dolatuje, bo myśl ludzka, to dusze, to skrzydła, które człowieka do nieba zanoszą; ona wszystko może. Ale uśmiechy giną w objęciach ciemności, lecz będą inne, coraz to nowe i piękniejsze, w miarę jak pociąg do celu jéj podróży się zbliża. Panna Felicya zauważyła, że on jakoś niezwyczajnie ociężały i powolny, leniwie, jak jaszczurka na słońcu porusza się i wygina. Ach! Jak nudno i tęskno! Głowę niecierpliwie za okno przechyla. Podróż ta jak wieki długa; ale i wieki koniec swój miewają. Jeszcze kwadrans, a pociąg na upragnionéj stacyi się zatrzyma. Już widać zdaleka delikatne światełka, które się przedzierają przez nocne cienie, ale jeszcze takie słabe i ledwo widzialne, że je tylko oczy bardzo zapatrzone dojrzéć mogą. I biegną tam ciągle cudne uśmiechy i spojrzenia, ale je zazdrosna i chciwa ciemność po drodze na własność sobie zabiéra.

Panna Felicya otworzyła okno i prawie do połowy figury z wagonu się wysunęła. Wsparta na rękach patrzyła w dal ciemną; i on tam pewno także, stojąc na platformie, śledzi wzrokiem w przestrzeni niewyraźny zygzak pociągu i w każdém oknie ukochanéj twarzyczki się domyśla. Pociąg wciąż biegnie, panna Felicya ciągle przez okno wygląda. Serce jéj z radości skacze, myśli jéj wszystkie, tam, do tego światełka, gdzie pociąg stanie, są skierowane. I tak zamyślona, nie słyszała nieznacznego szmeru koło drzwi, przy których się znajdowała. I nie spostrzegła się, jak w sekundę późniéj dał się słyszéć jakiś silny trzask, jakby mocą rozrywanego zamku. Drzwi nieszczelnie zamknięte, popchnięte ciężarem opierającéj się na nich osoby, gwałtownie się otworzyły i panna Felicya wypadła z wagonu, zniknęła wśród czarnéj przestrzeni.

W przedziale tym nikt więcéj nie jechał, nikt za nią nie posłał nawet ciekawego spojrzenia. Do pustego wagonu wpadł odgłos łoskotu kół pędzącego pociągu, jak rozszalały górski potok w biegu swym zatrzymany, wśród jego ścian się kołatał. Gdzie panna Felicya? Czarna otchłań ją pochłonęła. Co zrobi z ofiarą swoją?

Gdy drzwi się otwiérały, panna Felicya rękami na nich oparta była. Skoro ją na zewnątrz za sobą wywlokły, instynktownym ruchem futryny okna się chwyciła, i tak zawieszoną u drzwi pociąg niósł daléj, łoskotem swym odurzał i urągać się zdawał.

Nie więcéj niż pięć minut do stacyi już jechać trzeba, ale jéj biednéj na tak długo może sił i woli nie starczy, może przytomność straci i ręce opadną bezwładnie, i koniec będzie wszystkiemu! W tym rozpaczliwym wysiłku przeżyć jeszcze trzeba tyle chwil długich jak wieki! I zdaje jéj się, że sił wystarczy zaledwie na tę ostatnią. Przy-

chodzą następne, coraz dłuższe od poprzednich, ale ją rozpacz i wola wciąż jeszcze wśród czarnéj przestrzeni zawieszoną trzyma. Jakież te chwile straszne, a jakie długie! Pewno swych rozmiarów od wieczności zapożyczyły, gdyż przez ciąg trwania każdéj z nich w umyśle panny Felicyi cała nawałnica uczuć i pojęć przebiega; a tak gwałtowna, żywa i rozpaczliwa, że chyba śladów jéj i najodleglejsze lata zatrzéć nie zdołają. I myśl gorzka i straszna szarpie nią wśród rozpaczy, że jeżeli sił jéj na ostatnią minutę jazdy nie wystarczy, to spadnie w czarną przestrzeń, zabije się, straci swoją rodzinę, swoje szczęście i swoje ukochanie, że kawałek złamanego żelaza poszarpie cudną przędzę ich złotych marzeń i zachwytów, opromienionych wszystkiemi kolorami tęczy, po które aż do nieba chodzili. I z samego dna serca wypełzał obrzydliwy płaz wściekłości, który z lubością udręczenia sam sobie zadawać lubi. Bezsilności swojéj złorzeczył, mózgowi władzę myślenia, muskułom siłę odbiérał. Ona bezsilna, nic sobie poradzić nie może. Ona! Królowa stworzenia! Człowiek, któremu się zdaje, że umysłem do bóstwa się zbliża, że wszystko może myśl jego! Ona, na łasce kawałka drewna i téj maszyny, która bieży na rozkaz myśli człowieka; lecz jéj myśl jest bezsilna wobec tego tworu cudzéj myśli, choć może równie rozległa i wyżéj ku niebu sięgająca.

Coraz gwałtowniejsza fala rozpaczy i wściekłości serce i umysł panny Felicyi zaléwa. Ileż jéj dano w życiu serca i uczucia, ileż było dla niéj poświęcenia i zaparcia się, ileż jéj ofiarowano pracy dla ukształtowania serca i umysłu, ileż cudnych nadziei mieściła w sobie, ile w niéj było pereł uczucia i zasobów szczęścia, ile piękności i słonecznych, cudnych uśmiechów, a ile téż miała w sobie natchnień, które jéj Bóg zesłał z nieba, żeby się stała chlubą i pożytkiem ogółu! Jeden fałszywy krok, a wszystko to na marne pójdzie. Łzy po twarzy jéj ciekły, które się z zimnym potem, przez strach wyciśniętym, mieszały. Coraz gwałtowniejszy lęk ją ogarniał. Drżała z trwogi przed tą złowrogą przestrzenią, która jak ciemna chmura zaléwała ją dokoła. I zdawało jéj się, że ta czarna otchłań jest jakimś potworem, który tysiączne do niéj wyciąga ramiona, szarpie i ciągnie ku sobie, a oddech jego to ten wiatr ostry, który ją po twarzy chłoszcze. Naraz uczuła, że przewrot jakiś w jéj umyśle nastąpił, że rysy jéj się krzywią ze strachu przed tą czarną straszną przestrzenią, która ją zewsząd otacza, i krople zimnego potu wyciska, że to jakiś straszny, niezwyciężony nieprzyjaciel, przeciwko któremu broni nie ma.

Ha! nareszcie! Pociąg już na stacyę przyjechał. Zawieszoną przy drzwiach pasażérkę zdaleka zobaczono.

Panna Felicya już nie wiedziała co się wkoło niéj dzieje. Gdy rozpacz nie zmuszała do ostatniego wysiłku, organizm posłuszeństwo wypowiedział—bez zmysłów upadła na ręce narzeczonego.

II.

Minęło kilka tygodni, podczas których panna Felicya ciężko chorowała. Najbliżsi czułą opieką i sercem otaczali, narzeczony kilka razy na dzień o zdrowie się dowiadywał.

Po tym przeciągu czasu chora miała się lepiéj. Sądzić było można, że już niedługo uśmiechy szczęścia na usta powrócą, że wiosenne słońce nowemi siłami te stracone zastąpi; a blaskiem swym rozpędzi przykre wspomnienia wypadku w wagonie i choroby, które jak niespodziéwane *intermezzo* wplotło się w jednolity, jak dotąd, szereg zadowolenia i wesela.

Jednego dnia panna Felicya daleko zdrowszą się czuła. Gwałtownie domagała się, żeby jéj doktór wstać pozwolił i żywo rozmawiając po za łóżko się wychyliła. Jednak w niespełna sekundę, cofnęła się napowrót i szczelnie kołdrą okrywała. Twarz jéj zbladła, w oczach odbiła się trwoga.

— Co ci się stało?—spytała matka.

— Nie wiem, alem się bardzo przestraszyła. Jak tylko znajdę się wśród trochę szerszéj przestrzeni, bez wyraźnego oparcia, to ogromny mnie strach ogarnia téj właśnie pustéj przestrzeni, gdyż mi się przypomina ta pusta, czarna otchłań, bez podstawy, w któréj byłam zawieszona wtedy, kiedym z wagonu wyleciała. Ach! Każda pusta przestrzeń taka teraz dla mnie straszna. Drżę, kiedy chcę nawet rękę po za łóżko wysunąć.

Doktór, słuchając słów tych, spoważniał, nie zrobił jednak żadnéj uwagi. Matka ze współczuciem na nią spojrzała.

— Moje dziecko, to chorobliwe przywidzenie. Jak wstaniesz, to o swoich strachach i myśléć nie będziesz.

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że nigdy tyle odwagi w sobie nie znajdę, żeby stanąć np. przy oknie, wychylić się po za nie, lub choćby spojrzéć nawet. Ja nie wiem, co to jest, ale mi się zdaje, że każda pusta przestrzeń, to straszna przepaść, która mnie chce do siebie wciągnąć koniecznie. Ach! Boże! Ja się przestrzeni téj tak boję! — i mówiąc to, trwożliwie do poduszek się tuliła, jakby wśród nich schronienia szukała, przed rozmiarem dosyć obszernego pokoju, w którym się znajdowała.

Matka jéj przypomniała sobie teraz niektóre szczegóły z ciągu trwania choroby, a mianowicie to, że panna Felicya z brzegu łóżka uporczywie się zawsze odsuwała, przyciskała się szczelnie do poduszek i ściany, a rąk nigdy swobodnie z pod kołdry nie wysuwała.

Nareszcie nadszedł dzień, tak niecierpliwie przez wszystkich oczekiwany, dzień powstania z łóżka, początek rekonwalescencyi. Odprasowywano ładny, różowy szlafroczek, w który panna Felicya ubrać się miała, by żywa jego barwa odbiła się w wymizerowanych jéj rysach, była zapowiedzią rumieńca.

Pan Edwin przyszedł z rękami kwiatów pełnemi, rozłożył je po salonie; a największe ich wiązki leżały koło fotela, na którym chora spocząć miała. I nucąc coś wesołego chodził po pokoju, niecierpliwił się w myśli, że tualeta jego narzeczonéj tak długo się przeciąga. Dziwił się, że ten salon, taki przez ostatnie tygodnie sztywny i ponury, tego dnia jakoś świątecznie wyglądał, i jaśniéj w nim niż kiedykolwiek było. Czy rozstawione kwiaty barw mu swoich pożyczyły? Czy z twarzy pana Edwina myśl o szczęściu, o tém, że za chwilę po długiém niewidzeniu narzeczonę swoją zobaczy, tak silnie promieniała, że rozjaśniła całe jego otoczenie?

W drugim pokoju kroki się słyszéć dały. Drzwi się otworzyły i na progu stanęła panna Felicya wsparta na ramieniu matki. Lecz zaledwie się z narzeczonym przywitała, spojrzała po pokoju i trwoga ją ogarnęła. Środkiem przez całą jego długość przejść trzeba będzie, by dojść do fotelu, który na nią czekał, a na środku pustéj przestrzeni tak wiele! I straszna, nie dopuszczająca rozumowania obawa przestrzeni, wstrząsnęła nią całą. Twarz, pomimo różowego szlafroczka, wydawała się białą jak kréda.

— Tędy lepiéj chodźmy — rzekła do matki, i pociągając ją wzdłuż ściany, jedną ręką mocno jéj ramię ściskała, a drugą gorączkowo prawie chwytała się muru i przedmiotów koło niego się znajdujących, jakby co chwila grunt jéj się z pod stóp usuwał i ona w przepaść stoczyć się miała. Ta chorobliwa trwoga, która już na manią wyglądała, przykre wrażenie wywarła na obecnych. Smutek się wcisnął w atmosferę salonu, wesele w oczach i jasność słońca przyćmiewać się zdawał.

Ha! Nareszcie bezpieczna! Siedziała wsunięta w głąb' fotelu; dobrze jéj tam i zacisznie było, więc uśmiechy powróciły i twarz zdrowszéj nabrała barwy.

Była jeszcze bardzo mizerna i przezroczysta, wyglądała jak śliczny egzotyczny kwiatek, ale z gatunku mimozy, która się nawet od-

dechu boi, nawet niedostrzegalny odczuje i ze strachu przed nim listki swoje zwinie.

Pan Edwin z zajęciem i współczuciem narzeczonéj się przyglądał. Biédna istotka, chorobą tak wychudzona, bezsilna, dlatego taka trwożliwa. Trzeba ją będzie odchuchać i wypielęgnować, otoczyć miłością i opieką, a przywiędnięty kwiatek w dawną swą żywą przyoblecze się barwę; organizmowi panny Felicyi siły odpornéj więcéj przybędzie i zwalczyć nią będzie mogła chorobliwą trwogę przed pustą przestrzenią, która ją teraz dręczy bezustannie. I całe to zdarzenie w niepamięć pójdzie, nawet myśl o niém ustąpi myśli o szczęściu i radości.

Tak myślał pan Edwin, skoro usiadł koło narzeczonéj, troskliwie ją szalem okrył, domknął uchylone okno, by przez jego szczeliny chłodny powiew się nie przecisnął i nie zwarzył jego delikatnéj egzotycznéj roślinki.

Panna Felicya wesoło się uśmiéchała. Nie dręczyła ją pusta przestrzeń, bo ją pan Edwin sobą zasłonił, a gdy rozmawiać zaczęli, to i zapomniała, że coś wzbudzającego trwogę po za nim rozciągać się może.

Po długiém niewidzeniu rozmowa była tak ożywioną, że nadążyć nie mogli wypowiadać wszystkiego, co im się do głowy tłoczyło. Trzebaż się było wyspowiadać ze wszystkich czynów i myśli z tych ostatnich tygodni, nacieszyć się chwilą obecną, ugrupować prześliczne obrazy świetlanéj przyszłości, ustroić świat cały w barwy od słońca zapożyczone. Tematu tak wiele, a czasu rozpaczliwie mało! I ani się spostrzegli, jak wieczór pannę Felicyę z salonu wypłoszyć przyszedł. Trzeba było się pożegnać i na kiedyindziéj pogawędkę odłożyć. Krótka była chwila zapomnienia i wesela. Gdy biédna rekonwalescentka z fotela powstała, znów ją strach ogarnął, gdyż straszna pusta przestrzeń ramionami ją swemi otoczyła. Radości mało i krótko było, lekkie ma skrzydła, łatwo ulatuje, i znowu panna Felicya drżąca ze strachu, potem zimnym oblana, ściskała kurczowo rękę matki, chwytała się ścian, by dojść bezpiecznie do swojego pokoju.

Pan Edwin po tych odwiedzinach u narzeczonéj był mocno zakłopotany. Tyle tygodni cieszył się myślą o nich, obiecywał sobie tyle śmiechu i radości, a wyszedł ze smutném wrażeniem, że może ta nadzwyczajna trwoga przestrzeni, to jest jakieś zboczenie umysłowe, silném wstrząśnieniem w kolei wywołane.

Niedługo potrzeba było czasu, żeby przypuszczenia pana Edwina prawdziwemi się okazały. Pusta przestrzeń prawie z każdym dniem

większą wzbudzała w pannie Felicyi trwogę. A strach ten ciągły nerwami wciąż szarpał, powrót do dawnych sił tamował.

Gdy się to długo przeciągało, zawieziono ją do znakomitych specyalistów. Wypróbowawszy rozmaite sposoby kuracyi, wyciągnęli wniosek, że dojścia do równowagi umysłowéj, dopiéro po długich latach spodziéwać się będzie można; lecz nawet za ten rezultat żaden z nich ręczyć nie chciał. Wrażenia, które nią wstrząsnęły wtedy w wagonie, kiedy była zawieszona na rękach w pustéj przestrzeni, bez gruntu pod nogami, z tą grozą, że lada chwila lub poruszenie, straszna czarna przestrzeń pochłonąć ją może, wrażenia te były tak silne i gwałtowne, że ślad ich głębokim, może nigdy niewykorzenionym znakiem na umyśle się wyrył; i trwoga przestrzeni stała się chroniczną, stała się zboczeniem umysłowém.

Smutny był powrót z téj wycieczki po spokój, którego żaden z uczonych lekarzy dać nie umiał.

Pan Edwin na spotkanie narzeczonéj i jéj matki na dworzec wyjechał. Nie potrzebował się pytać z jakim rezultatem te panie powracały. Z listów znał prawdę, widział, jak panna Felicya drżąca i blada, przytulona do matki z wagonu wysiadała. Przy powitaniu słów wszystkim brakowało, zdania się rwały; bo prawdziwy smutek w wymowę zdobić się nie umié, tylko szczęśliwe, dobre wieści słowami na usta się wydzierają, mimowoli, bezładnie, byle prędzéj drudzy się niemi ucieszyli, by jaknajdaléj rozeszły się jasne ich promienie.

Siedli do powozu, a rozmowa jakoś nawiązać się nie mogła. O rzeczach obojętnych mówiono urywanemi zdaniami, drażliwego przedmiotu, stanu zdrowia panny Felicyi, nie potrącano — myśleli o nim wszyscy.

Wsunięta w głąb powozu, skurczona, siedziała panna Felicya. Lękała się poruszyć, by przez okno przestronéj ulicy nie zobaczyć. Pan Edwin był zamyślony, a niewesołe to myśli były. Umysł miał jasny i logiczny, oryentował się łatwo, z każdego położenia prędko zdawał sobie sprawę. Widział przed sobą swoją narzeczoną, w któréj oddawna zjednoczył wszystkie swoje myśli o walce, życiowém i światowém stanowisku, o obowiązkach społecznych i familijnych, widział ją teraz niezdolną do wywiązania się z żadnego z nich. Narzeczonę ma tuż koło siebie, ale jéj do ołtarza nie będzie mógł poprowadzić, bo ona się zlęknie pustéj przestrzeni kościoła i kroku naprzód postąpić nie potrafi. I sił pewnoby jéj nie stało, by razem z nim mozolną drogę życia przebyć. I widział się pośród błędnego koła, oplątany jak siecią pajęczą uczuciami, wspomnieniami, jasnemi obrazami życia we dwoje, wysnutemi w chwilach szczęścia i wiary w przyszłość, nie wie-

dział jak te nici ominąć lub rozplątać. Gdyby je rozerwał, toby mu kawał serca za sobą wyszarpały i krwi serdecznéj sporoby się wysączyło... A zdrowy rozsądek zapomniéć i rozerwać nakazywał...

Naraz podniecona wyobraźnia niewyraźnym zygzakiem nakreśliła kontur prześlicznego, idealnego obrazka. Pomyślał sobie, że możeby to możliwém było, tę bezsilną, zatrwożoną istotkę na rękach przez życie przenieść, zapomniéć dla niéj o sobie, otoczyć ją tak gęstym obłokiem miłości i opieki, żeby po za nim dojrzéć już nie mogła pustéj, a tak strasznéj dla niéj przestrzeni. Cudny, romantyczny obrazek, jakby zabłąkany z jakiéjś innéj dalekiéj planety, godny pędzla i pióra artysty, ale nie rąk człowieka, boby go wykonać nie potrafiły. Rozum cynicznie tym marzeniom urągał; przypominał, że byłoby to wielkie poświęcenie, zaparcie się siebie ciągłe, bezustanne, które długie lata trwać może; a on byłby zdolny do poświęceń tylko w chwili szału, rozegzaltowania. Lecz takie chwile są krótkotrwałe, na lata ich rozciągnąć nie można. Późniéj-by przyszło znudzenie się tą rolą zbyt subtelną do codziennych powszednich stosunków, które ideałom uroki zdziérają i łamią skrzydła zachwytom i uniesieniom. Jego konsekwentny umysł musiałby z czasem zadać to proste a tak logiczne pytanie: Czy warto dawać z siebie tak wiele, żeby za to nic nie otrzymać prawie? Rezultatem takiego życia byłoby rozgoryczenie! Napróżno, pesymistyczne rozumowania. Wyobraźnia tak ślicznie ten idealny obrazek barwiła, delikatny kontur twarzy i oczy panny Felicyi brawowały wszystkie rozumne kombinacye. Pan Edwin znał ich wpływ, nie chciał patrzéć na nie. Spojrzał przez okno. Tłum ludzi uwijający się po ulicy za swojemi interesami, do trzeźwych go nawoływał myśli. A walka wewnętrzna głębokiemi bruzdami na czole jego ślady swe znaczyła. Panna Felicya widziała smutek na jego twarzy, wiedziała, że ona przyczyną była, postanowiła być wesołą, cokolwiek powiedziéć, byle tylko przerwać wątek przykrych jego myśli.

— Budzę pana—rzekła nagle.

— W kolorze?

— Hm, białym.

— Kocham. Kto to taki?

— Sama nie wiem. Bez namysłu mówiłam. Chciałam tylko pana z zamyślenia obudzić, żeby nas pan trochę poemablował. — I uśmiéchnęła się.

Ale uśmiéch ten był jakiś nikły, niesłoneczny, jasne promienie od niego się nie rozchodziły, odbicia w oczach nie miał.

— Kolor biały jest najpiękniejszym ze wszystkich kolorów—odrzekł pan Edwin—to niech on panią wyobraża.

Patrzył na smutne jéj oczy i usta do przymusowego złożone uśmiechu, myślał, że w ten kolor ubrana, ślub razem z nim będzie brała, i że żadne, choćby nawet najmądrzejsze rozumowania odłączyć go od niéj nie zdołają.

III.

Przez parę dni następnych pan Edwin narzeczonéj nie odwiedzał. Pewnego rana przyszedł nareszcie, ale jakiś sztywny i pomieszany, i zaraz na wstępie prosił, żeby mógł chwilę na osobności z matką panny Felicyi porozmawiać.

Po godzinnéj przeszło rozmowie do pokoju panny Felicyi drzwi się otworzyły i matka, nie wchodząc nawet, by córce zapłakanéj twarzy nie pokazać, rzekła jakimś dziwnym, zmienionym głosem:

— Felciu, moje dziecko, pan Edwin chce się z tobą widzieć. Czy może przyjść do twego pokoju? Byleś tylko z miejsca wstawać nie potrzebowała.

— I owszem, proszę, bardzo proszę.

Siedziała głęboko w fotel wsunięta. Jakieś ilustrowane pismo w ręku trzymała. Wiadomość o odwiedzinach narzeczonego rysy jéj radością ożywiła. Ale chłód wiejący z twarzy pana Edwina spłoszył jéj uśmiéch szczęścia, zatrzymał na ustach serdeczne słowa powitania.

Oboje byli jacyś zażenowani.

Wymienili kilka zdań o przedmiotach zupełnie obojętnych, a myśli ich zupełnie czém inném zaprzątnięte były.

— Pewno pani bardzo się nudzi?—zagadnął pan Edwin.

— O tak. Bardzo. Każde zajęcie męczy mnie niewypowiedzianie. Sił mi bardzo brakuje. Ach! sił! Sił choć trochę! Ja ich prawie wcale nie mam!

I w myśli dopowiedziała sobie, że może z trochę większemi siłami zwalczyćby potrafiła tę chorobliwą obawę przestrzeni; i możeby znowu szczęśliwą była, i przez łzy uśmiechać-by się nie potrzebowała.

Pan Edwin patrzył przez okno, obracał nerwowo zaręczynowym pierścionkiem, który miał na palcu.

— Tak. Siły, siły. Sił umysłowych i fizycznych jaknajwięcéj—mówił jakby do siebie.—Życie bez zasobu sił, to to samo jakby kto na pajęczynie kolumny z granitu zawieszał.

— Czy pani pamięta? — rzekł nagle, żywo zwracając się do

niéj. — Dawniéj, przed chorobą, kiedyśmy byli jeszcze szczęśliwi, o téj porze pogawędka nasza zawsze się zaczynała. Ha! O czém myśmy wtedy nie mówili! Wszystkie kwestye były poruszane. Czy pani pamięta, jakie były nasze sądy i zapatrywania się na życie?

Skinienie głowy było odpowiedzią. Pan Edwin mówił daléj, wyglądał teraz już więcéj zdecydowany i pewny siebie.

— Czy pani pamięta, jaki był zawsze mój sposób myślenia i sądzenia ludzi i życia? Czy pani pamięta, zawsze powtarzałem, że mój umysł, to nie różnobarwna, przefilozofowana mozajka, któréj kamyki z każdego boku inaczéj są szlifowane. Nie. To jedna ciężka bryła kamienia, może zamało subtelna i ciekawa dla takiego, który swe myśli chemicznie prawie analizuje. Ale za to twarda i nieugięta i nic jéj z miejsca poruszyć nie potrafi. Dla mnie życie może miéć tylko jedną jedyną postać, a nią jest praca, dla pożytku ogółu i — siebie samego. Praca logiczna, która człowieka w równowadze umysłowéj i fizycznéj utrzymuje. A po pracy... pracy... prawda, że potrzebna jest téż chwila odpoczynku... pewna doza wesela i przyjemności...

Pan Edwin się zatrzymał, a pierścionka na palcu obracać nie przestawał. Z trudnością znajdował wyrazy, by składać zdania, któremi chciał wyrazić przyczynę, dlaczego z panną Felicyą zerwać zamierzał.

— Panno Felicyo — ciągnął daléj. — Niech pani przyzna. Nieprawdaż, że osoba, która byłaby moją żoną, musiałaby być taką, żeby razem ze mną pracować mogła, dla zbudowania sobie egzystencyi i stanowiska... A na świecie wszystko ciężko zdobywać potrzeba... Życie to walka... tylko silni, odważni i wytrwali zwycięsko z niéj wychodzą... Słabi nie powinni w szrankach stawać... Kobiéta, chcąca swoje obowiązki sumiennie spełniać, pracować i zapominać o sobie musi. Nieraz téż i wiele przenieść... Wielkiéj ilości sił moralnych i fizycznych potrzebuje... Panno Felicyo... Czy pani mnie rozumié?... Pani przedtém inną była... panią nieszczęście wykoleiło... Ja takich ciężkich obowiązków na słabe pani barki nakładaćbym się nie odważył... Panno Felicyo... bylibyśmy oboje bardzo nieszczęśliwi...

Pan Edwin coraz szybciéj pierścionkiem na palcu obracał, ale go jeszcze nie zdejmował. Panna Felicya, siedząc nieruchomie, słuchała słów narzeczonego. Mówić nic mogła, bo płacz ją za gardło ściskał. Machinalnie przypatrywała się ruchom jego ręki, która nie była jeszcze w stanie pierścionka zrzucić z siebie. Łez jéj się coraz więcéj do oczu cisnęło i rozpacz ogarniała, że bezsilna i zniedołężniała, że chorobliwa obawa przestrzeni zrobiła z niéj jakby kalékę fizyczną i umysłową, a ona nieszczęśliwa, nic na to poradzić nie może! Ach!

byle odwagi choć troszeczkę, by zwalczyć tę trwogę, która siły rujnuje i umysł zaciemnia! Ale skąd téj odwagi z siebie dobyć? O! to nic. Potrzeba tylko jednorazowego wysiłku woli, raz tylko tę trwogę przezwyciężyć, a wszystko dobrze będzie. I znowu życie, szczęściem i radością uśmiéchać się będzie i znowu narzeczony wyciągnie ku niéj ramiona! Przekona go, że ona jeszcze niezupełnie niedołężna, niezupełnie bezsilna, że możeby jeszcze ciężar życia udźwignąć razem z nim potrafiła.

Wprost fotelu panny Felicyi było okno. Postanowiła bez niczyjéj pomocy i oparcia przejść przez pustą przestrzeń pokoju, stanąć przy tém oknie i wychylić się po za nie. To będzie prawdziwy czyn bohatérski, bo tu na środku pokoju i tam za oknem szerokiéj pustéj przestrzeni otchłań cała!

Już powstać miała, na rękach, wspierając się o poręcze, podniosła się trochę... Lecz nie... odwagi zbrakło i napowrót na fotel opadła. Nie. To próżny wysiłek. Ona téj trwogi nigdy nie przezwycięży. Już wszystko stracone, wszystko na nic!

Nic nie mówiąc pierścionek z palca zdjęła i na stole, który stał obok niéj, położyła.

Pan Edwin widział poprzednie jéj usiłowania; i żal go szczery ogarnął z powodu téj niedołężnéj, bezsilnéj istotki, którą od siebie odpycha, dlatego tylko, że niedołężna i bezsilna. Rozumowaniem przygłuszona, z jakiegoś głębokiego zakątka serca wysunęła się nagle ta myśl, że przecież ona jemu tak droga; czemużby jéj przez życie na rękach przenieść nie miał, czemużby takiéj egzotycznéj roślinki nie mógł otoczyć wyszukaną opieką i cieplarnianą atmosferą? I znowu śliczny obrazek miłości i zaparcia się siebie, wabił go ku sobie wszystkiemi barwami tęczy!

Pan Edwin na ostatni decydujący krok zdobyć się jeszcze nie mógł. Patrzył na pierścionek, ale go z palca nie zdejmował. Oddać go, czy zatrzymać?

— Panie Edwinie, czy można panu jedno zadać pytanie?—ozwał się nagle przyciszony głosik panny Felicyi, niepewny siebie, jakby łzami nabrzmiały.

— Co pani rozkaże?

— Niech mi pan powié szczerze, czy pan z łatwością i prędko powziął to postanowienie?

Słowa te napowrót pana Edwina z obłoków na ziemię sprowadziły. Panna Felicya uważa już to postanowienie za fakt spełniony. Zapytuje się teraz tylko, czy mu to z łatwością przyszło, nawet żadnym argumentem zbijać go nie próbuje, bo wié, że on zawsze stały

i zdecydowany, i że żadne rozumowanie, choćby najsubtelniejsze, od raz powziętego postanowienia odwieźć go nie potrafi. Ha! Już zapóźno zmieniać tę decyzyę i chwiejnym się okazywać. On, w przekonaniu wszystkich jak i panny Felicyi, chciał być zawsze logicznie konsekwentnym i nieugiętym w zamiarach swoich. Teraz, nawet miłość własna innym mu się okazać nie dozwoli, cofać się zapóźno, trzeba iść po téj drodze, na którą już raz wstąpił.

— Byłem zawsze szczerym względem pani — odpowiedział spokojnie. — Nie taję, że to mnie bardzo wiele kosztowało, i z tą myślą ciągle się jeszcze oswoić nie mogę. Zresztą, czyż pani nie wié, do jakiego stopnia ja panią kocham... kochałem... Co do tego, czym się prędko na to zdecydował, przyznaję się, że tak. Zawsze, w jakiéjkolwiek znajduję się pozycyi, zaraz zadaję sobie to pytanie: Jaki będzie wynik tego mojego położenia? I na każde takie pytanie, odpowiedź dać sobie muszę. Pytaniami, na które odpowiedziéćbym nie umiał, nawet sobie głowy nie zaprzątam. Ale, panno Felicyo, nie mówmy już o tak niemiłéj kwestyi. Rozmowa ta dręczy nas tylko, a nie prowadzi do żadnego celu.

Mówiąc to zdjął pierścionek, na stole go położył, a tamten, który już leżał, do kieszeni schował.

Postanowił na pannę Felicyę nie spojrzéć już ani razu; lękał się, by te oczy tak drogie, a patrzące tak smutno i błagalnie, znowu w jego umyśle przewrotu nie wywołały.

Po twarzy panny Felicyi łzy płynęły.

— Z całego serca szczęścia panu życzę — rzekła, ale na więcéj słów zdobyć się już nie mogła. Płacz gardło ściskał, duma nie pozwalała przemawiać za sobą, bronić sprawy swojéj.

— Żegnam panią—rzekł, wstając pan Edwin.

Postanowienia swego dotrzymał, nie spojrzał na nią wcale. Skłonił się i wyszedł, ażeby już nigdy nie powrócić.

Panna Felicya pozostała sama. Trwogą przestrzeni do fotela przykuta, siedziała prawie nieruchomie. Łzy po twarzy jéj ciekły; lecz nie tyle z żalu za straconém szczęściem, ile z litości nad sobą samą, nad swojém niedołęstwem fizyczném i kalectwem umysłowém, wobec którego wszystkie ludzkie środki bezsilnemi były. Dopiéro teraz odczuła w całéj pełni to, że jest wykolejoną, inną niż drudzy, i że życie jéj takiém, jak drugich, być nie może. I naraz umysł jéj zbuntował się przeciw temu wydziedziczeniu. Dlaczego ona ma stracić prawo do szczęścia, do życia takiego samego, jakiém inni żyją? Wszakżeż ona ma takie same jak inni uczucia i myśli, taką samą duszę, nawet może piękniejszą i lepszą, niż wielu. Rozumié uczucia

wszystkie, myślą ogarnia pojęcia, umysłem nawet więcéj od innych pracuje, bo brakiem sił fizycznych zaostrzyły się władze jego. Jest bezczynna i prawie nieruchoma, więc w myśleniu skoncentrowała się istota jéj cała i umysł spotężniał, bo nie potrzebował się rozdrabniać na codzienne, zewnętrzne sprawy i czynności. Jednóm słowem, ma jeszcze duszę świadomą swego istnienia!

I to wszystko na szali ludzkiéj logiki przeważyć nie może jednéj jedynéj komórki mózgowéj, która się szczelnie zasklepiła i przystępu rozumowi nie daje? Wszakżeż ona tylko nad jednóm wrażeniem, obawą przestrzeni, rozumować nie może, ale miliony innych pojęć umysł jéj ogarnąć jest zdolny! I bunt przeciw światowym sądom wrzał z coraz to większą gwałtownością. Przeciw tym ludziom okrutnym, którzy dla jednego spaczonego pojęcia nie uwzględniają reszty jéj umysłu, jéj duszy świadoméj siebie, i mówią, że już niezdolna stanąć w szrankach życia i prawa do szczęścia rościć jéj już sobie nie wolno. Nie, to zbyt okrutne, wszakżeż ona jeszcze i czuje i myśli! Czemu ona taka wydziedziczona i nieszczęśliwa, czemu ona naraz takim marnym stała się prochem? Inni będą pracowali i naprzód podążą, a ona jak sprzęt niepotrzebny, nikomu nie użyteczny, na uboczu zostanie.

Teraz już nietylko bunt nią wstrząsał, ale nienawiść dla całego świata, serce i umysł zaczerniła. Gdyby mogła, byłaby w téj chwili wszystkim szczęśliwym marzenia i uśmiechy odebrała, spokój zatruła, z lubością drugim łzy wyciskała i cieszyła się ich widokiem. Jeśli ona nieszczęśliwa, niechże i oni także będą takimi. Gdziekolwiek pójść postanowiła, powiedzieć coś przykrego, i widokiem smutku oczy swe nacieszyć.

I powstać chciała. Ach! Próżne usiłowania. Trwoga przestrzeni, którą sama przebyćby musiała, do fotela przykutą ją trzyma! Bezsilna wobec wszystkich, niezdolna do żadnego czynu, tylko swoje własne serce, nienawiścią i rozpaczą na strzępy rozrywać jest w stanie. Uczucia te, tylko słowami, którychby teraz nikt nie słyszał, i łzami objawiać może. To téż po twarzy jéj łzy płynęły, ale gorzkie i gwałtowne, bo wściekłością wyciśnięte, takie, które ukojenia z sobą nie przynoszą.

Naraz wśród płaczu śmiéch ironiczny wstrząsnął nią całą. Ha! Jakaż ona naiwna! Przecież jéj do życia sił, sił brakuje, bo obawa przestrzeni nerwami ciągle wstrząsa i organizmowi wzmocnić się nie dozwala! Ach! Jakaż ograniczona! Bezsilna, a żyć i walczyć-by chciała! Ha! ha! Co ludzie winni, że ona niedołężna? Ha! ha!

Jaka naiwna, w rozpaczy i wściekłości myśléć i rozumować zapomniała!

Uczucia trochę łagodniéć a myśli porządkować się zaczynały. Przypomniała sobie, z jakiém serdecznéni współczuciem i żalem pan Edwin mówił do niéj te słowa: „Ja ciężkich obowiązków walki życiowéj na słabe pani barki nakładaćbym się nie odważył...”

Tak. Przecież ona bezsilna, czemuż więc rwie się do walki i życia? Powoli uspakajała się i przychodziła do przekonania, że ludzie i świat nic temu nie winni, iż ona nieszczęśliwa.

Dawne wspomnienia szczęścia do myśli się tłoczyły. Przypomniała sobie rozmaite sądy i zdania, które kiedyś pan Edwin wypowiadał, a które ona w zupełności podzielała. Przypomniało jéj się, jak nieraz sobie mówili, że człowiek to istota nadzwyczaj skomplikowana, jakby maszyna, składająca się z tysiąca kółek i kółeczek, oddzielnych wrażeń, uczuć i pojęć, własności umysłowych i fizycznych.

W maszynie téj wszystkie kółeczka swoją drogę zakreślać powinny, wszystkie podążać do jednego celu: wywiązania się z obowiązków, jakie na człowieka Bóg i życie wkłada. Jedność celu winna być spójnią, łączącą wszystkie te pojęcia i uczucia w jednę całość; a pojedyncze téj całości ogniwa, od siebie zależne, winne się wzajemnie dopełniać i wspomagać. Jeśli jedno ogniwo, jedno uczucie człowieka, chce wyrość ponad normalną swoją miarę, lub zmienić kierunek dążenia swego, sił do tego rozrostu potrzebuje więcéj, niż ich w sobie posiada. Musi je więc innym odebrać, musi tamte ogniwa osłabić i wycieńczyć. Gdy się chce w odmienną zwrócić stronę, będąc spojonéni z innemi, za sobą je pociąga, ich poprzedni bieg zatrzymuje i z normalnéj drogi na manowce sprowadza. I cała umysłowo-fizyczna maszyna istoty ludzkiéj, paczy się i psuje; po wytkniętéj swéj drodze dążyć nie może, dlatego tylko, że jedno jedyne jéj kółeczko, równowagę swą zatraciło! Równowaga wszystkich władz w człowieku czyni go zbliżonym do tego doskonałego typu, takiego, jakim go Stwórca pomyślał. Równowaga do szczęścia doprowadzić może i daje spokój, najpierwszy tego szczęścia warunek. Niechaj zbytnia siła fizyczna umysłu nie przygniata, niechaj umysł nie potężnieje kosztem organicznych zasobów. Życie wymaga tylko ludzi z normalnym ustrojem. Kto téj równowagi nie posiada, życia i jego celów nie zrozumié, na manowce je sprowadzi, uczyni nieszczęśliwymi drugich i siebie.

Wszystkie te rozumowania, na które niegdyś obojętnie i bezstronnie się zapatrywała, żywo i jasno w pamięci jéj stanęły. I łzy coraz to cichsze, łzy litości nad sobą samą, żalu i smutku, że nieszczęśliwa, tęsknoty za życiem i szczęściem, które już nie dla niéj, płynęły

po jéj twarzy. Z bezgranicznym smutkiem o sobie myślała, że i ona już téj równowagi nie ma, że jedno kółeczko jéj umysłowéj maszyny, maleńkie, drobne jak atom, w biegu się zatrzymało, i cała maszyna się wykoleiła i już niezdatna do życia, światu i ludziom na nic nie potrzebna.

Zakuta kajdanami obawy przestrzeni, bez sił fizycznych, bo ciągła trwoga z organizmu je wyjadła, więc nie zdolna do czynu i walki życiowéj, myślą tylko bezustannie pracować mogła. Wszyscy z otoczenia jéj, pomimo że ją bardzo kochali i byliby chcieli osłodzić chwilę jéj każdą, jednak zajęci swojemi obowiązkami, tylko jakie parę krótkich godzin, rozmową czas jéj wypełniać mogli. Nie była o tyle bogatą, żeby za garść złota módz sobie kupić względy i towarzystwo obcych i obojętnych. Była zbyt słabą i bezsilną, każda ręczna robota denerwowała ją i męczyła.

Więc myśl, niczém nie krępowana i nie przerywana mogła swobodnie w głowie najfantastyczniejsze i najbardziéj skomplikowane kreślić arabeski. I coraz więcéj umysł jéj się gimnastykował, i rozumiał kombinacye komórek swoich. Zastanawiała się nad wszystkiemi spostrzeżeniami swojemi, notowała w pamięci rozmaite, nawet najdrobniejsze wrażenia, do których dawniéj żadnéj nie przywiązywała wagi. Ale myśl sama, choćby najpotężniejsza, lecz pracą w czyn nie skrystalizowana, to dopiéro widmo i kontury dobra i piękna, lecz jeszcze nie ono samo!

Łzy żalu i smutku po twarzy panny Felicyi wciąż płynęły. Odznaczała się zwykle wielką bystrością umysłu, to też prędko pojęła, że myśl swobodna, którą jéj Bóg pozostawił, to tylko urągowisko jéj niemocy; myśl ta tylko nieszczęśliwszą uczynić ją może, gdyż daje pełną świadomość i zrozumienie położenia swego, absorbuje całą jéj istotę w jednym, swoim tylko kierunku, nerwy zbyt wrażliwemi, słabemi i delikatnemi czyni, a sił fizycznych już i teraz tak mało, to późniéj chyba nic z nich nie zostanie.

Widziała umysł swój kaléki, jakby orła ze złamaném skrzydłem. Myśl, to jedno jego skrzydło, którém ze zdwojonym wysiłkiem rwie się ku górze. Lecz próżne wysiłki i usiłowania, one tylko osłabienie dadzą. Drugie skrzydło złamane, więc tamtemu nic nie pomoże, bo i samo do lotu nie zdolne! A to skrzydło, to praca, to czyn. Dusza ludzka, gdy równowagi i spójni między myślą i czynem nie posiada, to napróżno, tak jak ten orzeł z jedném skrzydłem, myślą się szamocze, rozszarpie tylko i starga siły człowieka, a nigdy ku górze nie wzleci, tam gdzieby znalazła doskonałą harmonię treści i formy, dobra i piękna i spokój.

I zapytywała się siebie, na co jéj się teraz przyda jéj umysł zdolny do myślenia? On da jéj tylko świadomość nieszczęścia i nic więcéj.

Myśl, ta świadomość siebie, to bardzo piękny, artystyczny ornament jéj duszy, lecz zbyteczny i niepotrzebny ciężar, bo rezultatem jego jest nicość, nawet mniéj niż nicość, bo unieszczęśliwienie.

I nie spostrzegła się, jakiemi drogami doszła do kresu swoich rozumować i nagle w pamięci jéj, rozbrzmiało imię Tego, który jéj dał ten umysł i duszę, cząsteczkę Bóstwa swego, Tego, który w swym gniewie zabrał jéj moc nad jednéın jedynéın wrażeniem obawy przestrzeni... A w Jego mocy wszystko... Tak. Wszystko... Ręce do modlitwy się złożyły, łzy jeszcze płynęły, lecz były to już łzy prośby i pokory... a usta cichym szeptem Boga potężnego wzywały: „Boże! Litości! Daj jeszcze kilka chwil szczęścia lub... zabierz resztę rozumu!...

Znicz.



ŻYCIE I ŚMIERĆ

W PRZYRODZIE.

Oto dwa prawa tajemnicze, które rządzą naszym światem, a podlegać im muszą zarówno najniższe istoty, jak i najdoskonalsze stworzenia. Czém jest śmierć? Czém jest życie? Pytania te powstały tak dawno, jak myśl ludzka, a jednak nie zdolaliśmy jeszcze pojąć tych głębokich tajemnic. Być może, nigdy nie znajdziemy zupełnego wytlómaczenia owych zjawisk, ponieważ żadna nauka nie daje nam absolutnego rozwiązania, całe zadanie nauki polega na posunięciu danéj kwestyi o kilka kroków naprzód i na zlaniu jéj z problematem ogólniejszéj natury. Uogólnienie doprowadza do ułatwienia kwestyi.

Z tego względu te dwa zasadnicze zjawiska naszego bytu zawsze przykuwać będą ku sobie myśl ludzką i nigdy zaciekawiać nas nie przestaną próby rzucenia światła na życie i śmierć w przyrodzie. Próby takie niejednokrotnie już były przedsiębrane, a w ostatnich kilku latach literatura filozoficzno-przyrodnicza wzbogaconą została kilku wybitnemi pracami. Posiłkując się temi pracami, zamierzamy w niniejszym artykule zapoznać czytelników z obecném zapatrywaniem nauki na przyczyny życia i śmierci.

Oczywista rzecz, iż życie i śmierć mogą być rozpatrywane z dwóch punktów widzenia: po pierwsze, może nas zajmować tylko materya, będąca siedliskiem tych zjawisk; powtóre, badać możemy objawy duchowe, oraz prawa rządzące nimi. Ta druga kategorya ba-

dań należy do zakresu psychologii; my zaś zajmiemy się pierwszą grupą zjawisk i będziemy rozpatrywali życie i śmierć jedynie z punktu widzenia przyrodniczego. Dla lepszego zrozumienia tych zawiłych kwestyi, rozpoczniemy od badania życia w przyrodzie. Drugą część naszéj pracy poświęcimy zjawiskom śmierci.

I. Życie.

Wyrobiliśmy sobie stałe przekonanie, iż w przyrodzie istnieją dwie wielkie gromady ciał: ciała mineralne czyli tak zwana martwa materya i ciała żyjące, albo materya żyjąca. Między temi dwiema gromadami nietylko nie upatrujemy żadnego podobieństwa, ale nawet nie próbujemy czynić porównań; zżyliśmy się z tą myślą, iż martwą materyę od żywéj dzieli przepaść niezgłębiona. Czy zapatrywanie takie atoli jest usprawiedliwione? Zastanówmy się, czy materya żywa posiada coś wyjątkowego, czego nie znajdujemy w martwéj materyi? Zobaczmy, czy żywa i martwa materya nie są raczéj dwiema postaciami jednéj materyi, rozmaitemi odmianami jednego życia? Być może, dwie odmienne postaci materyi różnią się jedynie stopniem natężenia zjawisk życiowych, dających się sprowadzić do jednego mianownika. Wreszcie być może, rozdział, jaki obecnie widzimy między temi dwiema odmianami substancyi, nie zawsze istniał na ziemi i powstał wskutek tego, że znikły warunki, które stanowiły łącznik między materyą martwą i żywą. Nakoniec możemy przypuścić, że owe warunki, które niegdyś na naszéj ziemi wywołały lub téż ułatwiły przejścia materyi mineralnéj do stanu materyi żywéj, istnieją jeszcze na innych światach, będących w rozmaitych fazach rozwoju, iż istnieje tam nieprzerwany łącznik między dwiema postaciami materyi.

Na pierwszy rzut oka dziwném wydać się może, upatrywanie podobieństwa między martwym na pozór kamieniem a uorganizowaném ciałem, rośliną lub zwierzęciem. Jednakże po bliższém przyjrzeniu się i subtelnéj analizie zjawisk przekonamy się, iż absolutny rozdział nie istnieje, a przynajmniéj po ściślejszém zbadaniu rzeczy rozdział ten znacznie się zmniejszy.

Zobaczmyż teraz, jakie różnice istnieć mogą między materyą żywą a mineralną pod względem budowy fizycznéj oraz chemicznéj. Jest faktem niezaprzeczonym, że w skład żywéj materyi wchodzą te same pierwiastki, które utworzyły i mineralną. Nie ma ani jednego pierwiastka, właściwego wyłącznie substancyi organicznéj; wszystkie pierwiastki chemiczne, z których się składa materya żywa, odnajdujemy

także i w ciałach nieorganicznych. Zresztą nowoczesna fizyologia wyznaje, że nie jest w stanie dojrzéć zasadniczéj różnicy między ciałem żyjącém a martwém. Posłuchajmy, co o tém mówi Klaudyusz Bernard: „W rzeczywistości istnieje jedna tylko chemia, jedna fizyka, jedna mechanika ogólna, która obejmuje wszystkie objawy zjawisk w przyrodzie, zarówno ciał żywych, jak i martwych. Jednóm słowem, wszystkie zjawiska, które objawiają się w żyjącém stworzeniu, podlegają prawom, działającym po za niém. Pod względem fizyko-chemicznym życie jest tylko odmianą ogólnych zjawisk w przyrodzie; życie nic nie stwarza, zapożycza ono swe siły ze świata zewnętrznego i czynność ich urozmaica na tysiące sposobów."

Tak więc ogólna fizyka i chemia ciał żywych oraz martwych zasadniczo nie różni się niczém. To samo powiedziéć można o poszczególnéj fizyce i chemii tych ciał. Ciała żywe dokonywają związków chemicznych szybszym i prostszym sposobem, niż chemicy w swych laboratoryach, lecz związki te nie różnią się między sobą ani co do swéj natury, ani co do składowych pierwiastków. Zresztą nowożytna chemia odniosła tryumf, niesłychany dotąd w dziejach nauki; chemicy dochodzą w laboratoryach do syntezy takich związków organicznych, które do niedawnego jeszcze czasu uważane były za wyłączną właściwość organizmów żywych.

Porównajmy teraz objawy życia w dwóch odmianach materyi. Zasadnicze cechy materyi żywéj, mające wyróżniać ją od martwéj są następujące: wrażliwość, ruch, odżywianie i rozmnażanie się, narodziny, rozwój i śmierć. Czy znajdujemy te cechy w martwéj materyi?

Nie ulega wątpliwości, że gdy cechy te będziemy rozpatrywali w ich najdoskonalszym stopniu, objawiającym się u człowieka i wyższych zwierząt, to nic podobnego nie dostrzeżemy u minerałów, a nawet w tych warunkach nie znajdziemy żadnego podobieństwa między światem zwierzęcym i roślinnym; a jednak nauka najzupełniéj stwierdziła, że zasadnicze objawy życia są jednakowe u zwierząt i roślin, iż na najniższych szczeblach życia dwa te działy organizmów są nawet tak do siebie podobne pod każdym względem, iż dotychczas istnieją grupy istot, co do których trudno jest zdecydować, czy zaliczyć je należy do zwierząt, czy téż do roślin. Musimy przeto uciec się do innéj metody porównań i szukać w materyi martwéj nie owych udoskonalonych cech, jakiemi tylko najwyższe organizmy są obdarzone, ale przeciwnie, szukać będziemy najprostszych, pierwotnych postaci wrażliwości, oraz innych cech, właściwych materyi żywéj.

Na czém polega wrażliwość, albo inaczéj drażliwość w owéj za-

rodkowéj formie? Wrażliwością nazywają własność, dzięki któréj materya może odbiérać wrażenia, odpowiadać na daną podnietę, reagować przeciwko pewnemu podrażnieniu. Otóż ciała martwe posiadają tę pierwotną wrażliwość. Wszak wiemy, że minerał, kamień, odpowiadają po swojemu, gdy je dotykać lub uderzać; że są wrażliwe na ciepło, elektryczność, magnetyzm, światło. Nie możemy przeto przypisywać im obojętności, braku czuciowości. Ciepło wywiera wpływ na minerał, wywołuje w nim zjawiska ruchu, rozszerzania się; ciepło zmienia kształt krystaliczny, sprężystość, twardość, własności elektryczne, barwę, własności optyczne. Gdy ciepło wzmaga się bardziéj, zmienia ono jeszcze gruntowniéj stan między cząsteczkowy minerału: ciało staje się płynném; późniéj może przejść w stan lotny; nakoniec, przy jeszcze wyższym stopniu ciepła następuje dysocyacya i zniszczenie czyli śmierć.

Widzimy tedy, iż materya martwa posiada wrażliwość, wprawdzie czuje ona inaczéj niż protoplazma, jednakże jest wrażliwą na podnietę we właściwy sobie sposób. Wszakże i rozmaite organy naszego ciała w odmienny sposób odpowiadają na daną podnietę, tak np. silne uderzenie wywołuje w naszéj skórze ból; w siatkówce—-wrażenie światła, a w uchu wewnętrzném — wrażenie dźwięku; pomimo różnicy w odczuwaniu téj saméj podniety, nie odmawiamy jednak tym organom wrażliwości.

Zresztą mechanizm wrażliwości niczém nie różni się zasadniczo w materyi żywéj a martwéj, czy będziemy mieli do czynienia z żyjącą istotą, opatrzoną udoskonalonym systemem nerwowym, czy téż nie posiadającą wcale tego systemu, zawsze dana podnieta wywoła zmiany w cząsteczkach téj istoty, wskutek których nastąpią zmiany w jéj kształcie, w funkcyach i t. p.; właśnie owe zmiany przekonywają nas, że istota czuje. Tak samo powinniśmy tłómaczyć zjawiska, które objawiają się w substancyi mineralnéj pod wpływem zewnętrznéj podniety. W rzeczywistości martwa materya, tak jak i żywa, posiada wrażliwość, któréj objawy są prostsze, bezpośrednie, więcéj pierwotne, a to dlatego, że jéj działalność życiowa jest bardziéj pierwotna, cicha. Zachodzi tu różnica tylko co do stopnia i postaci, ale nie co do saméj istoty rzeczy.

Żywa materya obdarzona jest ruchem; wskutek téj własności może ona zmieniać swój kształt i miejsce, które zajmowała w przestrzeni. Chcąc badać czém jest ruch materyi żywéj, nie będziemy rozpatrywali tych wypadków, gdzie ruch odbywa się za pośrednictwem udoskonalonych i skomplikowanych narzędzi: mięśni i nerwów; jest bowiem mnóstwo niższych zwierząt, nie posiadających ani śladu owych

narzędzi, brak ich również i roślinom, które należą wszelako do materyi żywéj. Ruch w swéj najprostszéj, pierwotnéj formie powstaje w protoplazmie, będącéj podstawą życia organicznego. Ruch jest niczém innem, jak poruszeniem cząsteczek protoplazmy. Wprowadzone do organizmu pokarmy zawierają wiele węgla i wodoru, które łączą się z tlenem, czyli palą się, a wyzwolona tym sposobem energia w ruch się przekształca.

W istotach martwych, w minerałach objawia się także ruch cząsteczek, wpływający na zmianę kształtu, rozmiarów, masy a nawet na zmianę stanu fizycznego. Ruch w ciałach mineralnych może być także wynikiem przekształcenia się energii, wyzwolonéj przez utlenianie się węgla i wodoru. Między minerałem a żywą materyą istnieje atoli ta różnica, iż materyały palne zostają wprowadzone najczęściéj do wnętrza żywéj materyi i źródło energii jest wówczas wewnętrzne; natomiast w minerale źródła energii, ciepło lub elektryczność, które zmieniają stan międzycząsteczkowy i wywołują ruch, są najczęściéj zewnętrzne, nie tkwią w łonie saméj materyi. Bywają wszakże wypadki, że w minerałach powstają zjawiska podobne do tych, jakie widzimy w stworzeniach żyjących. Gdy łączą się dwa ciała chemiczne, mające jedno dla drugiego wielką sympatyę, czyli, jak przyjęto nazywać w chemii, mające silne powinowactwo do siebie, wywiązują one wówczas znaczną ilość ciepła; między cząsteczkami ich objawia się ruch, zupełnie tak, jak w protoplazmie, w któréj ciepło i ruch powstają wskutek tego, że węgiel i wodór wstępują w związek z tlenem.

Wreszcie nie należy zapominać, iż w minerałach ukrytym ruchom cząsteczek towarzyszy niekiedy ruch nader rozległy i widoczny, podobnie jak się to dzieje u zwierząt. Topienie się i ulatnianie minerałów są takiemi wyraźnemi ruchami materyi; ruchy te powstają, tak jak i w żywych ciałach, wskutek przekształcenia się energii w pracę mechaniczną, sama zaś energia powstała dzięki utlenianiu się i związkom chemicznym.

Nie zapominajmy nakoniec, iż energia, którą ciała żywe oraz martwe przekształcają w pracę mechaniczną, czerpie zawsze swe pochodzenie w słońcu, ogólném źródle wszelkiego ruchu.

Chemia dostarcza nam mnóstwo przykładów na poparcie twierdzenia, że ciała mineralne czują we właściwy sobie sposób, że są wrażliwe na wszelkie podniety zewnętrzne, że czucie objawia się u nich ruchem. Czémże właściwie jest owo powinowactwo chemiczne, jeżeli nie objawem czucia, oznaką życia pierwotnego, tkwiącego w minerałach. Niektóre pierwiastki posiadają dla siebie tak wiele sympatyi,

iż przy lada nastręczającéj się sposobności wstępują w związki chemiczne, a owa dążność bywa tak silna, iż pierwiastki opuszczają nawet związki, w które już wstąpiły poprzednio, aby połączyć się z ciałem, które dla niewiadomych nam przyczyn, więcéj je pociąga.

Natomiast inne pierwiastki pozostają względem siebie zupełnie obojętne, mogą przebywać przez długi czas w bezpośredniém zetknięciu, a związku nie wytworzą; aby je połączyć, chemicy uciekają się do sposobów sztucznych, używają, że tak powiemy, przymusu. Ale wynikłe stąd związki bywają najczęściéj niestałe i rozkładają się, gdy tylko przestanie działać przymus, lub jeżeli spotkają się z pierwiastkami, do których mają więcéj powinowactwa.

Prócz tego, właściwości pierwiastków zmieniają się stosownie do podniecających je przyczyn. Wiemy np. że jedną z najwybitniejszych cech tlenu jest jego dążność do połączenia się z wodorem, ale jeżeli tlen połączy się z potasem, dla którego czuje jeszcze większą sympatyę, wówczas powinowactwo tlenu do wodoru znika. Fosfor jest również ciekawym przykładem. Wiemy, że istnieje tak zwany fosfor biały, ciało nader niebezpieczne, jako zabójcza dla organizmu trucizna. Zapala się on płomieniem przy lada potarciu i łączy się z tlenem nawet przy zwykłéj temperaturze. Lecz jeżeli fosfor długo ogrzéwać będziemy w naczyniu szczelnie zamkniętém aż do 240° C., to własności jego zupełnie się zmienią. Barwa fosforu staje się ciemno-czerwoną; nie wywiera on już teraz żadnego działania na organizm i nie zapala się przy potarciu; powinowactwo jego do tlenu znacznie osłabło, tak, iż czerwony fosfor łączy się z tlenem dopiéro przy 240° stopniach. Te dwie odmiany są tak do siebie niepodobne, iż wzięlibyśmy je za dwa odmienne pierwiastki, gdybyśmy nie widzieli, że jedna odmiana powstaje z drugiéj.

Węgiel zwyczajny, grafit i dyament dostarczają nam podobnych przykładów przekształcenia się martwéj materyi pod wpływem działających na nią czynników. Aby własności ciał martwych objawić się mogły, potrzeba na to odpowiednich warunków. Tlen nie łączy się z wodorem przy zwyczajnéj temperaturze. Tlen i azot, zmieszane w powietrzu atmosferycznem, są dla siebie obojętne, ale łączą się pod wpływem iskry elektrycznéj. Tlen i rtęć nie łączą się przy zwyczajnéj temperaturze, ale ogrzéjmy rtęć, a natychmiast połączy się z tlenem. Lecz, jeżeli temperaturę podniesiemy, wówczas tlen opuści rtęć; rtęć metalowa odczuwa przyjaźń dla tlenu tylko między 300° i 600° stopniami, późniéj staje się dla niego nieprzyjazną, a przynajmniéj obojętną.

Widzimy więc, że ciała martwe objawiają rozmaite własności, często sprzeczne z sobą, stosownie do tego, czy ciało ogrzewamy lub oziębiamy, czy wystawiamy na działanie światła lub ciemności, poddajemy je ciśnieniu lub rozszerzamy, zamieniamy w stan ciekły lub skrzepły, elektryzujemy je elektrycznością dodatnią lub ujemną, dzielimy lub pozostawiamy w całkowitéj masie; zostawimy ciało w obecności pewnéj substancyi lub od niéj oddalimy i t. p.

Dodajmy w końcu, że według pojęć nowoczesnéj fizyki, materya składa się z cząsteczek, które są w ustawicznym ruchu. Ruch pod działaniem zewnętrznych czynników podlega zmianom co do stopnia natężenia, szybkości i kierunku. Zmiany te są oznakami wrażliwości materyi. Czyż nie to samo bowiem widzimy w ciałach uorganizowanych? Istnieją organizmy tak proste, iż poznajemy, że żyją jedynie po tém, że się ruszają. Wiemy także, że widoczne ruchy ciał żywych są wynikiem ruchu, powstającego w cząsteczkach protoplazmy; a ruch owych cząsteczek spowodowany został działaniem czynników zewnętrznych. Dochodzimy przeto do wniosku, że ruch, jako objaw wrażliwości, posiada jednakowe cechy zasadnicze w materyi żywéj i martwéj.

Przejdźmy do dalszych porównań.

Minerały, podobnie jak żywe ciała, rodzą się, rosną i umiérają. Minerał ma swoją epokę powstawania: pod wpływem przyjaznych warunków atomy poszukują się wzajemnie, grupują się i łączą; cząsteczki gromadzą i w końcu powstaje minerał ze wszystkiemi charakterystycznemi cechami, pod względem fizycznym i chemicznym; słowem, minerał zachowuje swój typ, staje się podobnym do innych kryształów, które powstały przed nim w podobnych warunkach. Urodziwszy się, minerał rośnie, zwiększa swą objętość, gromadząc dokoła siebie nowe cząsteczki; nowe kryształy zléwają się z nim i tak powstaje gromada kryształów. Wzrost ten trwa dopóty, dopóki nie znikną przyjazne warunki. Wprawdzie zachodzi wielka różnica w powstawaniu ciał żywych i minerałów, o czém pomówimy niżéj.

Minerał nietylko rodzi się, rozwija i rośnie przez dodawanie nowych cząsteczek, ale żyje, tak jak ciała żywe, w ciągłéj wymianie ze swém środowiskiém, a wymiany te w końcu sprowadzą jego zniszczenie, rozkład i śmierć. Istotnie, ciepło i zimno, wilgoć i susza, wciąż wywołują zmiany w minerale. Gazy, rozproszone w powietrzu, tlen, azot, ozon, amoniak, kwas węglany, woda, działanie żywych ciał — wszystko to wywiéra na minerał swój niszczący wpływ tysiącznemi sposobami, a minerał przekształca się, podobnie jak żywe ciało, z tą różnicą, że dzieło przekształcenia postępuje w nim tak powoli, tak nieznacznie, iż wymyka się przed naszą obserwacyą i w końcu doszliśmy

do mylnego przekonania, że ciała mineralne trwają wiecznie. Wszystkie te zmiany w minerale nie mogłyby powstać bez odżywiania się, które polega na przekształcaniu i przemianach chemicznych, a widzieliśmy, że minerał znajduje się w ustawicznéj wymianie ze swém środowiskiém, tak, jak i materya żywa.

Po odnalezieniu powyższych podobieństw między materyą organiczną a nieorganiczną należy pomówić o różnicach, jakie zachodzą w odżywianiu się i powstawaniu minerałów oraz materyi żywéj.

1) Materya żywa wciąż może naprawiać uszkodzenia, zaszłe w jéj cząsteczkach i uskutecznia to za pośrednictwem odżywiania. Nie znajduje ona jednak dokoła siebie gotowéj już protoplazmy, którąby mogła przyswoić sobie bez zmiany. Przeciwnie, istota żywa przerabia przyjęte pokarmy na swój sposób i wydobywa z nich potrzebne dla siebie substancye.

2) Zasadnicza substancya istoty żyjącéj, protoplazma, nigdy nie powstaje samoistnie, lecz pochodzi sama od innéj cząstki protoplazmy. Wyraziwszy to innemi słowy powiemy: w obecnym stanie przyrody nigdy nie spotykamy się z samorodztwem. Wszystkie istoty żywe rozmnażają się za pośrednictwem zarodków, t. j. cząstek protoplazmy, które oddzieliły się od innéj istoty, zarodek z czasem rozwinie się i stanie się istotą podobną do téj, która go na świat wydała. Słowem, istoty żywe mają zawsze rodziców, a przynajmniéj rodzicielkę.

W minerałach nie spotykamy napozór nic podobnego, tak iż w porównaniu do dwóch poprzednich twierdzeń należałoby powiedzieć: 1) Minerał dla swego wzrastania nie potrzebuje sam wyrabiać substancyi, podobnéj do jego własnéj. Znajduje on ją gotową w otaczającém go środowisku; owa substancya dodaje się bezpośrednio do jego własnéj.

2) Martwe ciała powstają drogą samorodztwa; nie mają one rodziców, nie pochodzą od zarodków. Pierwiastki chemiczne łączą się, rozkładają i t. p. pod wpływem zewnętrznych czynników, oraz naturalnego powinowactwa ciał. Tlen i wodór łączą się pod działaniem iskry elektrycznéj i powstaje woda; nie zachodzi tu potrzeba posiadania cząstki wody, dawniéj sformowanéj, aby wytworzyć nową ilość wody. Wszelako te dwie różnice między ciałami żywemi a martwemi nie są bezwzględne i przy bliższém poznaniu własności ciał mineralnych, dojrzymy w nich coś podobnego do zarodków, a także dowiemy się, że posiadają one zdolność naprawiania uszkodzeń w podobny sposób, jak żywe ciała.

Ciekawe są pod tym względem zapatrywania chemika Springa oraz biologa Armanda Sabatiera. Obaj profesorowie, niezależnie

jeden od drugiego, dostrzegli, że minerały obdarzone są zdolnością odżywiania się w zaczątkowéj formie. Sabatier cytuje kilka takich przykładów w świéżo wydanéj książce: *Essai sur la vie et la mort*. Oto są z pomiędzy nich najciekawsze. Znane jest powszechnie zjawisko przechłodzenia, polegające na tém, że dane ciało w niektórych okolicznościach może być oziębione poniżéj swego stopnia krzepnięcia, nie przechodząc w stan stały. Fosfor np. topi się około 40^0. Jeżeli rostopiony fosfor pozostawimy następnie w spoczynku i oziębimy, to temperatura jego może spaść niżéj 40^0 i nie sprowadzi skrzepnięcia. Lecz jeżeli do płynu wrzucimy kawałek skrzepłego fosforu, to cała masa w mgnieniu oka skrzepnie. W tym wypadku wrzucony kawałek skrzepłego fosforu odegrał znaczenie zarodka, pod jego wpływem skrzepła cała masa fosforu płynnego.

Następny przykład jest jeszcze ciekawszy. Między ciałami chemicznemi istnieje kwas, zwany mezowinnym, albo winnym obojętnym; składa się on z dwojakich kryształów, zwanych prawemi i lewemi, z przyczyny, że jedne z nich zwracają płaszczyznę polaryzacyi światła w prawo, a drugie zwracają tę płaszczyznę w lewo. Otóż, jeżeli weźmiemy przesycony roztwór owych kryształów prawych i lewych i wrzucimy do niego kawałek drzewa, kamień, słowem, jakiekolwiek obce ciało, to w płynie nie nastąpi żadna zmiana, płyn nie krystalizuje się; widzimy z tego, że byle jaka podnieta, byle jakie wstrząśnienie nie spowoduje krystalizacyi kwasu. Ale gdy do tegoż roztworu wrzucimy chociażby najdrobniejszy kryształek kwasu winnego, jednéj z dwóch form, to temperatura natychmiast podniesie się i w kilka minut skrystalizuje się wszystek kwas, znajdujący się w rostworze i przybierze tę postać, co wrzucony kryształ; drugi kwas pozostanie rozpuszczony. Jeżeli wrzucony kryształ był prawy, to skrystalizuje się tylko kwas prawy, lewy pozostanie bez zmiany, i odwrotnie, jeżeli wrzucimy lewy kryształ, wówczas tylko lewy kwas winny utworzy kryształy. Widzimy przeto, że uformowany już kryształ może wywołać w masie ruch krystalizacyjny. Rzec by można, że nadaje on cząsteczkom krystalizacyjnym rodzaj kierunku, nadaje taką oryentacyę, jaka istnieje w jego własnych cząsteczkach. Chemia dostarcza nam więcéj tego rodzaju przykładów.

Bywają wypadki, gdzie wpływ zarodka mineralnego jest jeszcze bardziéj zadziwiający, może on bowiem przekształcić postać ciała już skrystalizowanego i nadać mu inną formę, taką mianowicie, jaką sam posiada. Objaw taki został odkryty przez Gerneza przy powstawaniu dwóch odmian siarki, rombowéj i skośnoosiowéj. Gernez, według własnego upodobania wytwarzał tę lub ową odmianę siarki w jednym pły-

nie i przy téj saméj temperaturze, zależnie od tego, czy wprowadził do płynu zarodek siarki jednéj czy drugiéj formy. Nakoniec obiedwie odmiany kryształów mogą powstawać jednocześnie w dwóch punktach roztworu, jeżeli wprowadzić do niego jednocześnie dwa odmienne kryształy siarki. Godne jest przytém uwagi, iż do skrystalizowanéj siarki skośnoosiowéj dotknąć kryształem siarki rombowéj, to pierwsza odmiana przekształca się w drugą, począwszy od podrażnionego punktu. Ten przykład nie jest w chemii wyjątkowym. Parmentier i Amat dostrzegli podobne zjawiska w 1884 r.

We wszystkich przytoczonych wypadkach wystarcza, aby najdrobniejszy chociażby kryształek, nawet jego proszek, zawarty w powietrzu, wpadł do odpowiedniego płynu, a wywoła on krystalizacyę roztworu; powstające kryształy przybiérają taką formę, jaką posiada wrzucony zarodek kryształowy.

Odnajdujemy więc i w naturze martwéj, ów wpływ zarodka, cząsteczki, dawniéj istniejącéj, która służy niejako za przynętę do powstawania nowych kryształów.

Nakoniec kryształy posiadają jeszcze jedną niezmiernie ciekawą właściwość: mogą one naprawiać uszkodzone części swego organizmu. Jeżeli kryształ zostanie rozbity na kilka części, to każdy jego kawałek usiłuje odbudować zupełny kryształ; przypomina to nam niezmiernie zjawiska, objawiające się w świecie organicznym: gdy dzieli się komórka lub niższy jaki organizm pocięty zostanie na kawałki, to każda cząstka jego usiłuje odbudować nową komórkę, nowy całkowity organizm. Jeżeli wyjąć kryształy z roztworu rodzimego i wykoślawić je w rozmaity sposób, niechybnie naprawią one w zupełności swój kształt i znowu zaczną rosnąć, skoro włożymy je napowrót do odpowiedniego płynu. Loir zauważył, że kryształy ałunu sztucznie pokaléczone, dopiéro wówczas zaczynają rosnąć na całéj powierzchni, gdy owe wykoślawienia zostaną naprawione.

Powyższe właściwości minerałów mocno zastanowiły mineraloga angielskiego, Judda; upatruje on w tych zjawiskach wielkie podobieństwo do zjawisk, znanych w biologii. Istotnie, na najniższych szczeblach życia zwierzęcego łatwość naprawiania uszkodzeń organizmu jest nieograniczoną; u pierwotniaków, a nawet i u wyższych grup (*hydra*) malutki kawałek ciała rozrasta się i przekształca w całkowity organizm. Rośliny jeszcze częściéj okazują nam to zjawisko: pączki, cébule i gałęzie rosną częstokroć po długim wypoczynku i odbudowują kompletne osobniki. W świecie mineralnym owa zdolność odbudowywania jest jeszcze potężniejszą: nieskończenie drobne ułamki krysztal-

łów mogą przy warunkach sprzyjających przekształcić się w doskonałe kryształy. Czy ta zdolność odżywiania i naprawiania uszkodzeń w kryształach jest mniéj godną uwagi od podobnych zjawisk u roślin i zwierząt?

Nakoniec kryształy — mówi Judd — starzeją się, tak, jak i my; pod wpływem czynników zewnętrznych tracą one swe własności i wreszcie rozsypują się. Wszelako posiadają one własność odmładzania się, podobnie jak świat organiczny, o czém daléj mówić będziemy, a nowopowstałe kryształy ze starych materyałów nie zachowują żadnych śladów starości.

Dochodzimy do wniosku, że kryształy, są to organizmy, obdarzone życiem.

Z przytoczonych wyżéj przykładów widzimy, że w świecie mineralnym istnieje wpływ zarodka na masę mineralną. Wpływ ten nie jest ani tak potężny, ani tak ogólny i potrzebny, jak w materyi żywéj, przy odżywianiu się protoplazmy. Jednakże w téj zdolności kryształów wytwarzania podobnych do siebie istot, możemy dojrzéć chociaż oddalone i słabe podobieństwo do życiowych zjawisk protoplazmy. Wprawdzie żyjące istoty zawsze wyprowadzają swój początek od innéj cząstki żywéj materyi, to jest powstają jedynie z zarodków (jeżeli nadamy wyrazowi zarodek najobszerniejsze znaczenie), gdy natomiast kryształy w pewnych tylko wypadkach powstają z istniejących już zarodków; nie jest to wszakże warunek konieczny do ich powstawania. Kryształy tworzą się zwykle samodzielnie, drogą samorodztwa.

Rzućmy teraz okiem na całość zjawisk biologicznych i zadajmy sobie pytanie, czy żywe istoty zawsze i wszędzie powstawały z zarodków?

Zauważmy, że gdzie tylko sięgały obserwacye ludzkie, na całéj kuli ziemskiéj nie dostrzeżono nigdy, aby jakaś żywa istota powstała z martwéj materyi. Wszelkie usiłowania chemików nie doprowadziły ich do tego, aby wytworzyć w laboratoryach chociażby mikroskopijną kropelkę żyjącéj protoplazmy, to jest podstawy wszystkich żyjących istot. Doświadczenie nauczyło nas, że we wszystkich wypadkach, gdzie myślano, jakoby życie powstało bez zarodków, był błąd w obserwacyi; zarodki istniały, tylko nie umiano ich dojrzéć. A tam, gdzie zarodków nie było, życie się nie objawiło. Nikt nie widział, aby żywe istoty powstawały drogą samorodztwa, tak, iż obecnie każdy sumienny badacz musi przyznać, że w teraźniejszych warunkach naszéj planety życie powstaje zawsze z istniejącego zarodka.

Ale — jak słusznie mówi Sabatier — żaden sumienny uczony nie powinien iść daléj w swych wnioskach, a byłoby nadużywaniem powa-

gi uczonego twierdzić, że w życiu naszéj planety nie było nigdy takiéj chwili, aby pod wpływem sprzyjających warunków materya martwa nie mogła nabrać życia i stworzyć protoplazmę. Jeżeli taka faza istniała i znikła w życiu naszéj planety, to czyż możemy zaręczyć, że nie istnieje podobny stan przejścia martwéj materyi do żywéj na innych światach? Kto może zapewnić, że w stopniowym rozwoju ciał niebieskich nie istnieje taka chwila, w któréj warunki ciepła, ciśnienia, wilgotności, elektryczności i t. p. tak się składają, że pierwiastki chemiczne są powołane do utworzenia związków bardziéj złożonych i niestałych, więcéj czynnych, które to związki staną się następnie jedynemi zarodkami życia, gdy zewnętrzne warunki się zmienią i nowe żywe związki już nie będą mogły powstawać z materyi martwéj. Możemy przypuścić, że taką właśnie była historya powstawania żywéj materyi na ziemi, témbardziéj, że jakeśmy już poprzednio dowiedli, materya żywa oraz martwa nie są to bynajmniéj dwie rzeczy zupełnie różne, lecz przedstawiają dwie postaci jednéj materyi, różniące się jedynie stopniem, niekiedy tylko odcieniem. Tak, iż w rzeczywistości niewłaściwie używamy nazw żywa i martwa materya; racyonalniéj byłoby mówić, materya obdarzona cichém, utajoném życiem, oraz materya, mająca życie szybkie i wyraźne.

„Dlaczego [1] jednak naukowe pojęcie o powstawaniu życia na ziemi, tak naturalne i zgadzające się z logiką, znajduje tylu zaciętych przeciwników? Prawdziwa przyczyna owego oporu, wstrętu i drażliwości tkwi w tém, że przyjęcie teoryi samorodztwa pociąga jakoby za sobą negowanie ducha, oraz odrzuca istnienie Stwórcy i Jego udział w stworzeniu świata. Zachodzi tu oczywiście jakieś nieporozumienie. Wyprowadzanie pochodzenia żywéj materyi z pewnéj odmiany materyi mineralnéj, niczém nie obraża wierzeń w istnienie ducha i bóztwa. Istotnie, jakiém prawem utrzymywać będziemy, że owa modyfikacya materyi nie jest dziełem Stwórcy, że ewolucya, jaka odbywa się we wszechświecie, nie jest dziełem Jego woli, tak, iż stworzenia świata trwa w dalszym ciągu i za naszych czasów.”

Nowe pojęcie o wszechświecie nietylko nie wyklucza istnienia ducha, ale przeciwnie, dopatruje obecność jego wszędzie, bądź w zaczątkowéj formie, bądź w najpotężniejszéj postaci.

Dla uzupełnienia naszych porównań obowiązani jesteśmy teraz powiedzieć słów kilka o dziwnych stanach żywéj materyi, w których ona zbliża się do materyi martwéj i przybiera pozory takowéj. Wówczas funkcye życiowe zostają zawieszone, materya jest nieruchoma, nie-

---

[1] Sabatier. *Essai sur la vie et la mort.* 1892 r.

czuła i czynności odżywcze są zupełnie wstrzymane. Przykładów takich zjawisk mnóstwo dostarcza nam biologia. Wiele zwierząt pod wpływem obniżenia temperatury ich ciała zapada w rodzaj uśpienia, trwającego po kilka miesięcy. Nie jest to wprawdzie śmierć, ale rodzaj odrętwienia, rodzaj letargu, w który zapadają w zimie nietoperz, jeż, jeżozwierz, niedźwiedź brunatny i niektóre inne zwierzęta. Przekonano się, że sen zimowy nie zależy od pory roku, gdyż można go wywołać sztucznie w lecie, umieściwszy zwierzęta w lodowni (Pallas, Saissey) Jaszczurki, węże, żółwie i żaby w naszym klimacie spędzają zimę w zupełnem odrętwieniu i nie przyjmują pokarmu. To samo powiedzieć można o niektórych mięczakach i owadach. U niższych zwierząt pierwotniaki objawiają nader często ciekawe zjawisko otorbiania się; polega ono na tém, że gdy drobne ustroje znajdują się w niekorzystnych warunkach, to ciało ich otacza się skorupką, a czynności fizyologiczne zostają zawieszone.

Gdy życie ameby lub wymoczka jest zagrożone zimnem lub brakiem wody, w której zwykle żyją, wówczas przestają się poruszać, kurczą się, przybierają kształt kulki, otaczają się chwilowo błoną lub skorupą ochronną. W tym stanie nieruchomym nie przyjmują pokarmów i oczekują nieraz bardzo długo na przyjaźniejsze warunki życia. Gdy warunki zmienią się, wówczas żyjątka te zrzucają z siebie skorupkę i rozpoczynają dawne życie. Podobne wstrzymanie funkcyj życiowych oczywiście zbliża żywą istotę do owego powolnego i ukrytego stanu życia, który cechuje materyę martwą.

Życie i jego funkcye dochodzą do najbardziéj zdumiewającego stopnia znieczulenia w tak zwanych istotach zmartwychwstających. Znany jest fakt, że niektóre rośliny niższe, jak mchy, porosty, okrzemki i t. p. tracą wszelkie pozory życia, gdy wyschną; stają się jakby martwe, a późniéj znowu wracają do życia, gdy zmoczyć je wodą. Podobnież dzieje się z niektóremi zwierzętami, a mianowicie mikrospopijne zwierzątka wrotki, żyjące we mchu i na dachach, oraz robaczki wągorkowate, pasorzyty żyjące na roślinach. Gdy żyjątka te wyschną, to mogą przetrwać kilka miesięcy w tym stanie i znowu wracają do życia, gdy znajdą wody podostatkiem. To zjawisko zmartwychwstania, objawiające się u zwierząt, które posiadają stosunkowo wysoką organizacyę, tak bardzo zastanawiało przyrodników, że na razie nie mogli go sobie wytłomaczyć. Buffon nie wierzył nawet, aby istoty owe były prawdziwemi zwierzątkami; przypuszcza, że to są jakieś automaty, posiadające pozory życia. Co jest godne uwagi, to, że wymienione zwierzątka w wyschłym stanie znoszą wielkie zimno i gorąco (np. 100^0 i $+120^0$), które niewątpliwie zabiłoby je w stanie nor-

malnym. Spallanzani widział, że wrotki zmartwychwstały po przetrwaniu trzech lat w stanie wyschłego pyłu. Backer powołał do życia drobne robaczki, ktore przez 28 lat były nieruchome! Prócz tego zmartwychwstanie powtarzało się u niektórych osobników po kilkanaście razy.

Znane są również doświadczenia nad suchém ziarnem rozmaitego zboża; w suchym stanie poddawano ziarno działaniu nader wysokiéj temperatury, a jednak następnie mogły one kiełkować, gdy znalazły wody podostatkiem. Mrożono także dojrzałe ziarno zbożowe aż do 40^0 stopni niżéj zera i przekonano się, że zboże nie utraciło zdolności do porastania. Niektóre nasiona przechowane w suchém miejscu, w ciągu długich okresów czasu nie tracą siły do życia. Zauważono, że nasienie mimozy kiełkowało po 60 latach, fasola po 100 latach, żyto po 140 latach, nasienie pewnéj rośliny bagnistéj (*juncus bufonius*) kiełkowało po kilkuset latach istnienia. Nie mówimy o zbożu znajdowaném w grobowcach egipskich, z powodu, że wykryto liczne szalbierstwa, przedsiębrane w celu wyzyskania łatwowiernych, podały w wątpliwość starożytność tego zboża.

Widzimy przeto, że w niektórych wypadkach, materya, nie pozbywając się całkowicie życia, przybiera cechy materyi martwéj, staje się bezwładną i zawiesza swe czynności częstokroć na długi okres czasu.

Dodajmy nakoniec, że nawet i wyższe zwierzęta i rośliny mogą być poddawane niezmiernie nizkiéj temperaturze, stają się bezwładnemi kawałkami lodu, a pomimo to znowu wracają do życia, gdy zimno działać przestanie. Co więcéj, takie zamrażanie można powtarzać po kilka i kilkanaście razy, a iskierka życia, utajona w owych istotach, znowu wybucha płomieniem, gdy ciepło wraca. Wiadomości te zawdzięczamy świeżo dokonanym doświadczeniom znanego fizyka Raula Picteta. [1] Wytrzymałość na zimno niektórych zwierząt jest iście zdumiewająca, szczególniéj u zwierząt zimnokrwistych wytrwałość na zimno wzrasta w miarę niższości ich organizacyi. Złote rybki i liny żyją jeszcze, gdy zamroziwszy je w wodzie, oziębić następnie od —8^0 do —15^0 niżéj zera, pomimo, że ciało ich staje się tak kruche, iż łamie się na kawałki. Żaby nie umierają jeszcze przy —28^0, a jaja żabie znoszą zimno —60^0. Wreszcie najniższe istoty: mikroby, mikrokoki, spory, okrzemki, znosiły zimno dochodzące do—200 stopni. Naturalna rzecz, że wszystkie istoty żyjące zachowują zupełnie pozory martwych ciał, dopóki znajdują się w nizkiéj temperaturze; ale gdy stopniowo wracać im ciepło, znowu się ożywiają.

---

[1] Pictet, *Influence des basses temperatures sur la vie;* Cosmos. 1893 r.

Raul Pictet badał także, jaki wpływ wywiera zimno na ciała nieożywione, na związki chemiczne. Rezultaty, jakie otrzymał przy tych doświadczeniach są wielce ciekawe, świadczą bowiem wymownie, że ciała mineralne są wrażliwe na temperaturę w podobny sposób, jak istoty żyjące, że wszelkie zimno wstrzymuje wszelki ruch, wszelki objaw życia w chemicznych ciałach, tak samo, jak wstrzymuje objawy życia w żywych istotach. Oto kilka przykładów.

Pictet wrzuca do kwasu siarczanego, oziębionego do — 70^0 marmur sproszkowany i oziębiony do —89^0. W kwasie nie objawia się żadna reakcya, pomimo, że w zwykłych warunkach dwa te ciała mają wielkie powinowactwo do siebie. [1]) Dopiéro gdy stopniowo i bardzo powoli temperatura podnosić się zaczyna, następuje początek reakcyi przy —52^0. Jeżeli wlejemy kilka kropel niebieskiego lakmusu do kwasu siarczanego lub solnego przy temperaturze —140^0, to kwas przybiera błękitną barwę; dopiero — 110^0 objawia się charakterystyczna reakcya i kwas czerwienieje. Tym sposobem za pomocą nader nizkiéj temperatury można dowolnie stwarzać, regulować i niszczyć powinowactwo chemiczne. Pictet zauważył, iż między—155^0 i—125^0 ustaje wszelka reakcya chemiczna; przy tak nizkiéj temperaturze ciała tracą własności elektryczne; niema w tych warunkach ciał elektro-dodatnich, ani elektro-ujemnych. Słowem, życie w martwéj naturze zupełnie zostaje zawieszone.

Przekonaliśmy się, że między żywą a martwą materyą nie ma absolutnego rozdziału, że posiadają one zasadnicze cechy jednakowe, że istnieje właściwe tylko jedna materya, obdarzona życiem w słabszym lub silniejszym stopniu. Skutkiem powyższych rozumowań narzuca się pytanie: czy laboratorya chemiczne, których potęga twórcza wzrasta niemal z każdym dniem, będą mogły kiedykolwiek dojść do takiéj doskonałości, iż przekształcą materyę mineralną w żywą? Zanim odpowiemy na to pytanie, rzućmy pobieżny rzut oka na najświeższe postępy chemii.

Przez długi czas myślano, że złożone substancye, które są zasadniczą podstawą zwierząt i roślin, nie mogą być sztucznie wytwarzane w laboratoryach z materyi mineralnéj. Zdanie to między innemi podzielali Gerhardt i Pasteur. Ale najnowsze postępy chemii zadały silny cios owym proroctwom. W początkach bieżącego stulecia chemia weszła na drogę syntezy i tym sposobem wytworzyła już cały szereg związków organicznych. Pierwsza synteza organiczna datuje się od 1828 r., gdy Woehler otrzymał mocznik. Później, Berthelot i Wurtz

1) Pictet. *Nouvelle methode de synthèse chimique*. 1892 r.

otrzymali alkohol etylowy. Drogą syntezy wyprodukowano również alkaloidy pochodzenia roślinnego. Tak wielkie powodzenie podawało świetne nadzieje na przyszłość. Spróbowano tedy otrzymać najwyższe wytwory życia organicznego: cukier oraz substancye białkowe, stanowiące główną podstawę protoplazmy. Początkowe próby wypadły niepomyślnie, z czego nieomieszkali skorzystać przeciwnicy nowych teoryi.

„Chemicy dokonali syntezy kilku ciał organicznych, mówią przeciwnicy, ale są to substancye, należące do najniższéj kategoryi, do odpadków organicznych; nigdy atoli chemia nie będzie w stanie dać nam najwyższych wytworów organicznych, cukru i białka. Nikt nie zdola naśladować dzieł przyrody.“

Pomimo takich rokowań, synteza najważniejszych odmian cukru stała się już faktem dokonanym; to nadzwyczajne odkrycie w chemii zawdzięczamy Fischerowi i jego uczniom. Pozostawały jeszcze ciała białkowe. I tu chemia znajduje się na wielce obiecującéj drodze. Grimaux w 1885 r. zdołał otrzymać substancyę, która posiadała pewne cechy białka. Schützenberger wreszcie zrobił olbrzymi krok naprzód w systemie substancyi białkowych. W sprawozdaniu do akademii francuskiéj z dnia 26 stycznia 1891 r. znajduje się opis szczęśliwie dokonanéj syntezy pewnéj substancyi białkowéj, która posiada wszystkie fizyczne oraz chemiczne cechy peptonów.

Są to świetne rezultaty! Chemia w przeciągu kilkudziesięciu lat wynalazła sposoby otrzymywania większéj części związków złożonych, o których dawniéj myślano, że mogły one powstawać tylko w żywym organizmie. Nie zapominajmy wszelako, że białko, otrzymane drogą syntezy, składa się wprawdzie z takichże pierwiastków, jak białko żywe i posiada téż same cechy fizyczne i chemiczne, różni się jednak od żywego białka jedną niezmiernie ważną cechą: sztuczne białko nie okazuje charakterystycznych zjawisk życia, ponieważ nie jest w stanie odżywiać się, a zatém nie odbywa się w nim wymiana materyi. Jestto różnica nader ważna, o któréj zapominać nie należy. Pozostaje jednak faktem, że chemicy za pośrednictwem syntezy umieją stwarzać najwięcéj charakterystyczne i najwyższe wytwory życia.

Czy chemia zdoła kiedyś w przyszłości otrzymać żywe białko, które będzie mogło przyjmować i asymilować pokarmy, to jest objawiać wszelkie zasadnicze funkcye chemiczne, cechujące żywą materyę? Wydaje się to prawdopodobném. Lecz jak daleko sięgnie umiejętność chemika? Czy zdoła on stworzyć żyjącą istotę? Czy będzie mógł zrobić chociażby prostą komórkę, ziarnko mączki, włókno mięsne, słowem, jakiś zróżniczkowany pierwiastek organizmu?

Przytaczamy nader ciekawe zapatrywania na ten przedmiot Sabatiera. [1]) „Wymagać od chemika, aby stworzył bezpośrednio zróżniczkowaną istotę, a chociażby nawet włókno mięsne, komórkę nerwową, ziarnko mączki, jestto wymagać od niego więcéj niż prawdopodobnie sama natura wykonać mogła, czego ona niezdolna była przeprowadzić. Czy podobna rozsądnie stawiać takie wymagania? Czy nie dosyć będzie wymagać od chemika, aby okazał tyle potęgi, ile przyroda? Powinniśmy tedy pytanie nasze sformułować w następujący sposób: Czy chemik będzie mógł kiedyś dokonać tego, czego dokonała przyroda?

Z punktu widzenia ewolucyonisty zobaczmy, jak postąpiła przyroda. Jeżeli pewnego dnia żywa materya urodziła się pod wpływem działania naturalnych sił w przyrodzie, musiało to powstać w takiéj epoce, w któréj warunki na naszéj kuli były zupełnie odmienne od teraźniejszych; gdyż powstawanie żywéj materyi, o ile wiemy, nie odbywa się już za naszych czasów. W owych specyalnych warunkach środowiska, żywa materya ukazała się zapewne w stanie najprostszym, najmniéj zróżniczkowanym, w postaci drobniuchnych kropelek białka czyli protoplazmy. Owe kropelki protoplazmy żyły, odżywiały się, rosły i rozmnażały się przez podział na części, dopóki środowisko, w którém się znajdowały, nie podlegało zmianom. Lecz środowisko z czasem zmieniło się, jak o tém świadczy geologia i paleontologia, a możemy wnioskować, że zmiany owe objawiały się z nadzwyczajną powolnością. Drobne kropelki protoplazmy musiały również zmienić się i przystosować do nowych warunków otoczenia. Ale razem z odmianą środowiska znikły warunki, które ułatwiły powstawanie żywéj materyi z mineralnéj, znikło więc jednocześnie i samorodztwo. Coraz to nowe kropelki protoplazmy nie mogły już rodzić się bezpośrednio z materyi martwéj. Lecz dawniéj powstałe kropelki żyły i rozwijały się daléj, pod wpływem wciąż zmieniających się warunków otoczenia; nader powoli zaczęły objawiać się w nich stopniowe różniczkowania; w jednolitéj masie pojawiły się ziarenka, zgęszczenia, przegródki, siatkowanie i t. p. Słowem kropelki stały się organizmami więcéj skomplikowanemi. Były to jednak zmiany postępujące nader wolno, widoczne dopiero po długich okresach czasu, formowały się one w milionach następujących po sobie pokoleń. Jądro komórki, włókno mięsne, komórka nerwowa, ziarnko mączki, kropelka tłuszczu i t. p. powstały nie odrazu. Są one prawdopodobnie wynikiem pracy, dokonanéj w ciągu milionów lat, oraz w miliardach pokoleń. Owe miliardy po-

---

[1]) *Essai sur la vie et la mort.*

koleń żyjących kropelek albo żyjących komórek były laboratoryami, w których wyrabiało się, doskonaliło, różniczkowało włókno mięsne, ziarnko krochmalu i t. p. Przyroda zatém nie umiała odrazu zrobić pierwiastków zróżniczkowanych; stworzyła ona początkowo żywą materyę prostą, jednolitą. Materya różniczkowała się w ciągu licznych stuleci i pokoleń, aż w końcu wydała owe złożone istoty, jakie obecnie widzimy. Nie należy przeto żądać, aby chemik uczynił więcéj, niż sama przyroda. Ci, co wymagają od niego, aby bezpośrednio stworzył komórkę lub włókno mięsne, są bardziéj nierozsądni w swych żądaniach, od tych ludzi, którzy wymagaliby od prostego górnika, wydobywającego metal, aby za pomocą swych narzędzi zbudował wspaniały statek wojenny, którego zbudowanie wymaga całego zastępu różnorodnych specyalistów.

Możemy jednak mieć nadzieję, że chemik stworzy żywą materyę prostą (białko albo protoplazmę) taką, jaką stworzyła przyroda. W tém przypuszczeniu utwierdzają nas zdumiewające postępy, świeżo dokonane na drodze syntezy chemicznéj. Wprawdzie, jak już powiedzieliśmy wyżéj, synteza nie dała nam jeszcze żywego białka, lecz możliwe jest, iż jak przypuszcza Pflüger, białko nieżywe, oraz białko żywe, czynne, są ciałami izomerycznemi, to jest posiadającemi jednakowy skład pierwiastkowy, że różnią się one między sobą jedynie odmiennym układem atomów w cząsteczce. Ponieważ chemia umié wywoływać odmiany izomeryczne, możemy zatém przypuścić, że otrzymawszy białko nieżywe, chemicy wynajdą sposób wywołania w niém odmiany izomerycznéj i przekształcą je w żywe białko. Zresztą w saméj przyrodzie istnieją dwie izomeryczne odmiany białka: jedna w stanie czynnéj protoplazmy, druga w stanie biernego białka w jajku u ptaków. Dochodzimy przeto do wniosku, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa, chemia będzie mogła stworzyć w przyszłości żywą materyę.

Narzuca się teraz drugie pytanie. Jeżeli przypuścimy, że chemicy stworzą cząsteczki żywéj i prostéj materyi, jak niegdyś stworzyła ją przyroda, to czy cząsteczki owe wydadzą szereg pokoleń? Czy stworzą nową ewolucyę przy obecnych warunkach? Jestto wątpliwe, a to z tego względu, iż pierwsze cząsteczki, które przyroda stworzyła, żyły przez długi szereg stuleci wśród warunków zupełnie odmiennych od teraźniejszych. Następnie, protoplazma utrzymała się przy życiu pomimo zmiany warunków zewnętrznych, ponieważ owe zmiany następowały niezmiernie wolno i dozwoliły żywéj materyi przekształcać się stopniowo i przystosować do nowych warunków. Chemik chociażby sztucznie stworzył warunki, w jakich dawniéj materya żyjąca powstała, to wątpliwém jest, czy będzie mógł podtrzymywać te warunki przez

długi przeciąg czasu, lub czy będzie mógł zmieniać je z wystarczającą powolnością, aby nowo stworzona żywa materya miała czas przystosować się i wejść w stosunki z teraźniejszą przyrodą. Gdy uprzytomnimy sobie, jakich to nieskończenie długich okresów czasu użyła przyroda, aby ulytwić owe przystosowanie się, to zrozumiemy, iż naśladować w tym względzie przyrodę przechodzi możność człowieka. Przeto jeżeli człowiek stworzy pewnego dnia żywą materyę, to będzie on musiał ograniczyć się na obserwowaniu i badaniu jéj czas jakiś i następnie zniewolony będzie skazać tę materyę na śmierć, gdyż niepodobna dostarczyć jéj odpowiednich warunków do zachowania życia.

Streśćmy teraz poprzednie nasze wnioski o życiu. Ten pobieżny rzut oka na martwą materyę przekonywa nas, że posiada ona w zarodku wszystkie wybitne cechy, jakie zwykle przypisujemy tylko materyi żywéj. Materya mineralna jest także żywą; objawia ona życie w sposób powolny i cichy, jakby nieśmiały, ukryty dla powierzchownego rzutu oka, niemniéj jednak tkwi w niéj potęga życia, która oczekuje tylko przyjaznéj chwili, aby się głośno objawić i stać materyą żywą. Téj cudownéj przemiany nasze laboratorya nie dokonały jeszcze dotąd; ale przemiana taka odbywa się wciąż przed naszym wzrokiem w laboratoryach naturalnych, jakiemi są organizmy żywe. Istotnie, materya martwa sama staje się żywą, gdy spotka się z materyą żyjącą; czyż nie mamy codziennie dowodów, że rośliny czerpią z powietrza i ziemi pierwiastki mineralne i wytwarzają z nich żywą protoplazmę. Przekształcenie takie odbywa się dzięki przemianom chemicznym w każdéj komórce, ale komórka sama przez się nic nie stwarza; czynność jéj polega na odmiennem ugrupowaniu atomów, między pierwiastkami, w skutek tego życie, które było utajone w każdym atomie materyi mineralnéj, żaczyna bić żywszém i wyraźniejszém tętnem, tak iż objawy jego stają się widoczne dla każdego. Gdyby atomy mineralne były trupami, istotami bez życia, roślina nie zdołałaby wykrzesać z nich iskry życia. W przyrodzie nie ma raptownych przeskoków: wszystkie zjawiska objawiają się w niéj nader stopniowo i logicznie. Życie najsłabiéj drga w tak zwanéj materyi martwéj, nieco silniéj w roślinach, a najsilniéj w świecie zwierzęcym. To też materya martwa, aby stać się wyraźnie żywą, musi wpierw przejść przez rośliny, tylko rośliny umieją pociągnąć ją za sobą w wartki prąd życia; zwierzęta nie są w stanie obudzić energii, gdyż za bardzo oddaliły się od niéj w swéj doskonałości, aby zrozumieć ją mogły.

Życie możemy porównać do rzeki. Gdy płynie ona w równém i jednostajném łożysku, bieg jéj jest spokojny, powierzchnia wody tak gładka, że obserwatorowi wydać się może, jakoby ona była nierucho-

mą, stojącą. Trzeba się blizko przyjrzeć, by dostrzedz nieznaczne, lecz stałe poruszenie wody. Jestto obraz życia w martwéj przyrodzie. Lecz niechno rzeka napotka spadek gruntu, łożysko jéj nachyli się, a natychmiast fale przyśpieszą biegu i popędzą gwałtownie. Spokojna rzeka stała się bystrą; pędzi ona teraz kipiące swe nurty, unosi ziemię i skały nadbrzeżne. Spokojna rzeka i rwący potok są dwiema odmiennemi chwilami jednéj rzeki; życie materyi martwéj a żywéj są znowu dwiema postaciami życia.

Życie przeto znajduje się wszędzie, zarówno w tak zwanéj martwéj, jak i w żywéj materyi. Wszystko nietylko żyje, ale, jak się Fouillée i Delboef wyrażają, wszystko czuje. W każdéj cząsteczce materyi duch istnieje.

II. Śmierć.

W poprzednim rozdziale dowiedliśmy, że wszystko żyje w przyrodzie, że nawet to, co nazywamy materyą martwą, żyje i czuje po swojemu. Właściwie tedy mówiąc, śmierć nie istnieje. Są tylko dwie fazy życia; martwa materya, przechodząc do żywych organizmów, staje się żywą; codziennie jesteśmy świadkami takiego jéj przekształcania się, a żywa materya po pewnym czasie staje się materyą mineralną. To przejście żywéj materyi do stanu mineralnéj nazywamy zwykle śmiercią.

Po co jednak takie przejście z doskonalszego stanu do mniéj doskonałego? Dlaczego zwierzęta, znajdując się w środowisku, które dostarczyło im materyałów do rozwoju i podtrzymania życia, zmuszone są prędzéj czy późniéj podlegać starości i śmierci? Dlaczego zwierzęta i rośliny nie żyją wiecznie, wszak środowisko, w którém żyły, nie sprzeciwia się temu, aby owe organizmy wciąż rosły, a przynajmniéj, aby do nieskończoności podtrzymywały swe życie na jednakowym stopniu. Dlaczego umieramy? Jestto jedno z najtrudniejszych pytań do rozwiązania. Śmierć może być rozpatrywaną z dwóch punktów widzenia. Świeżo zmarły człowiek, lub zwierzę, zwykle podlega tak wybitnym zmianom, że nie wahamy się powiedzieć, że śmierć tu nastąpiła; serce bić przestaje, płuca nie oddychają, ciepło wewnętrzne znika; w krótkim czasie ciało sztywnieje. Zniknął łącznik, który jednoczył między sobą organy, ustało życie wspólne, stowarzyszenie uległo rozwiązaniu. W rzeczywistości jednak, żaden organ po uzyskaniu swobody nie natychmiast żyć przestaje; rozmaite narządy i tkanki żyją niekiedy długo jeszcze po śmierci całego organizmu i każdy niemal

organ umiera w innym czasie niż jego towarzysze. Ta niezależność organów dziwić nas nie powinna, gdy to zważymy, że każdy wyższy organizm jest w rzeczywistości kolonią, złożoną z niezliczonéj ilości niższych istot, zwanych komórkami. Każda komórka jest skończonym organizmem: odbywa ona samodzielnie na małą skalę wszystkie funkcye fizyko-chemiczne, właściwe organizmom złożonym. Prócz tego wiemy, że rozmaite komórki różnią się wielce między sobą; istnieją komórki mięsne, nerwowe, tłuszczowe i t. p. Jednakowe komórki, łącząc się między sobą, stanowią tkanki, które uważać możemy również za kolonie, złożone z istot zupełnie podobnych do siebie. Każda tkanka w wykonaniu swych funkcyi obdarzona jest pewnego rodzaju niezależnością od innych tkanek tegoż organizmu. Każda tkanka umiéra niezależnie od śmierci całego organizmu, pomimo harmonii, która jednoczy wszystkie organy w żywéj istocie.

Owa solidarność a zarazem niezależność organów dały powód Van Benedenowi do wypowiedzenia w akademii brukselskiéj śmiałego i oryginalnego zapatrywania: „Przeszkody natury praktycznéj sprzeciwiają się temu, aby serca i mózgi, a témbardziéj głowy przenosić można było od jednego zwierzęcia do drugiego, i aby całkowicie zbudować zwierzę za pośrednictwem organów, odjętych szeregami, rozmaitych innych zwierząt, ale właściwa komórkom żywotność nie sprzeciwia się w teoryi takiemu odbudowaniu zwierząt.”

Nie brak obecnie dowodów ściśle naukowych, że tkanki i komórki żyją po śmierci zwierzęcia, a najciekawszych danych w téj kwestyi dostarczyły nam świeże badania Gautiera i Landi'ego [1]) Prace tych uczonych rozwiązały niezmiernie ciekawe zagadnienia z chemii biologicznéj, jak to późniéj zobaczymy i wywołały nawet przewrót w ustalonych dotąd pojęciach o fizyologii. Gautier i Landi za pośrednictwem doświadczeń dowiedli, że gdy zabić zwierzę, będące w pełni zdrowia, to chociaż ogólne funcye śmierć raptownie wstrzymała, jednakże żadna tkanka nie przerywa swéj ewolucyi, każda komórka żyje daléj samodzielnie. Dzięki organizacyi i zawartym w nich fermentom, komórki przekształcają nagromadzone w nich materyały, zużywają one zapasy i wyrabiają takież same produkty dezasymilacyi, jakie wyrabiały za życia.

„O trwaniu życia w tkankach po śmierci zwierzęcia i o autonomicznéj ich funkcyi po śmierci posiadamy liczne dowody, mówi Gautier. Wiemy, że świeżo odjęte zwierzęciu mięśnie, przez jakiś czas wchła-

---

[1]) *Sur la vie résiduelle et les produits du fonctionnement des tissus séparés de l'être vivant;* Gautier i Landi. (Comtes rendus de l'Académie, Paris. 1892 r.).

niają tlen i wydzielają kwas węglowy, oraz wrażliwe są na podnietę elektryczną. Nawet gdy sztywność trupia już się rozpoczęła, mięśnie jeszcze drgają raptownie, lub komórki kurczą się i wydłużają". (Brown-Séquard *Archives de Physiologie* 1890 i 1892 r.). „Co się tyczy gruczołów, to wiemy, że glikożen po śmierci znika w wątrobie, tak samo, jak się to działo za życia i że w trzustce, wydartéj żywemu zwierzęciu, wyrabia się powoli ferment trzustkowy, którego ilość, nieznaczna prawie za życia, wciąż wzrasta jeszcze we 24 godzin po śmierci".

Gautier i Landi w pracy swéj dochodzą do wniosku, że każda tkanka, a zwłaszcza tkanka mięsna, oddzielona od zwierzęcia i zabezpieczona od wpływu bakteryi, żyje częstokroć długo po owem oddzieleniu, dezasymiluje i wydziela już przy 20^0 stopniach ciepła znaczną ilość płynu białkowego i innych substancyi, które nie istniały w tkance w chwili rozpoczęcia doświadczenia. Doświadczenia prowadzone były w następujący sposób: jedną część mięśni o określonéj wadze i ochronioną od bakteryi, włożono do naczynia, z którego wypompowano zupełnie powietrze; w tym stanie przechowywano mięśnie w ciągu 33 dni w temperaturze od + 2^0 do + 40^0 stopni. Druga część mięśni przechowaną była przy takichże warunkach przez 93 dni w temperaturze od + 2^0 do + 25^0 stopni. Analizując następnie zawartość tych mięśni Gautier i Landi zauważyli, że mięsień zakonserwowany, który żyje i dezasymiluje bez powietrza i bez współdziałania bakteryj, wytwarza między innemi substancyami znaczną ilość alkaloidów, takich samych jak za życia zwierzęcia. Jestto najważniejszy rezultat pracy Gautiera, po raz pierwszy bowiem przekonano się o tym fakcie za pomocą doświadczenia. Ilość tłuszczu nie tylko nie wzrasta w zakonserwowanym mięśniu, lecz przeciwnie zmniejsza się, to znaczy że tłuszcz zostaje zużyty.

A zatem fermentacya mięśni, pozostawionych własnym siłom, przechodzi przez takie same reakcye, jak w mięsie świeżem z tą różnica, że zjawiska te objawiają się w zakonserwowanych mięśniach z większą energią, niż w życiu normalnem. Prace te rzuciły nowe światło na znaczenie tlenu w gospodarce żywych tkanek; przekonywamy się, że tlen nie odegrywa pierwszorzędnéj roli w życiu komórek, ponieważ one mogą żyć i odżywiać się bez tego pierwiastka. Przeto znaczenie tlenu w gospodarce biologicznej jest podrzędne: służy on głównie do oczyszczania tkanek i porywania nieczystości w postaci ptomainów, które nagromadziły się w tkankach wskutek przemian chemicznych. Odkrycie to stanowi przewrót w naszych teraźniejszych pojęciach o fizyologii.

Wkrótce po ogłoszeniu pracy Gautier'a, gdyż w r. 1893, Arsonval podał do akademii paryskiéj komunikat, w którym mówi o życiu

tkanek po śmierci zwierzęcia [1]). „Nerwy i mięśnie są wrażliwe na podnietę znacznie dłużéj, niż zwykle przypuszczamy”. Daléj autor dowodzi, iż sposób, którego zwykle używają do zbadania widocznéj kurczliwości mięśnia, pozostawia wiele do życzenia. Skurcz bowiem mięśnia, widoczny dla oka, poprzedzają zwykle ruchy, których nie jest w stanie wykryć nawet myograf. Arsonnal używa do badań mikrofonu specyalnie w tym celu urządzonego. Tym sposobem ruchy mięśnia rozróżnić można nie wzrokiem, lecz słuchem; nie widzimy, że mięsień kurczy się, ale za pomocą mikrofonu słyszymy jego najdelikatniejsze ruchy, niepochwytne dla oka. Za pomocą tego przyrządu Arsonnal przekonał się, że nerw ruchowy działa na mięsień nietylko przez kilka minut po śmierci, jak zwykle przypuszczano, lecz przez kilka godzin; nerw działa nawet i wówczas jeszcze, gdy mięsień jest już zesztywniały.

Przytoczone powyżéj przykłady są wystarczającemi dowodami na poparcie twierdzenia, że życie pojedyńczych organów trwa daléj po śmierci zwierzęcia prawdopodobnie dopóty, dopóki nie zostaną wyczerpane zapasy nagromadzone w tkankach. To, co nazywamy zwykle śmiercią u istot żyjących, jest tylko rozwiązaniem stowarzyszenia, w skład którego wchodziły wszystkie organy i oddziaływały na siebie wzajemnie. Wprawdzie po śmierci niektóre organy oddziaływają jeszcze na siebie przez jakiś czas, lecz wkrótce wpływ ten zmniejsza się stopniowo; każda komórka żyje przez pewien czas istnieniem niezależném, nie wywiérając wpływu na swe towarzyszki, aż wreszcie każda z nich z osobna umiéra. Przeto w trupie napozór nieruchomym i nieczułym jak kamień, istnieje jeszcze ruch i życie; niezliczone miliardy maluczkich istot toczą jeszcze walkę o byt i po owéj pozornéj śmierci zwierzęcia z kolei umiérać musi z osobna każdy organ, każda tkanka, każda komórka; a właściwie mówiąc, one nie umiérają, tylko przechodzą w stan materyi mineralnéj, aby prowadzić daléj życie mniéj doskonałe, aż do chwili, w któréj żywa materya znowu powoła do siebie materyę mineralną i udzieli jéj bodźca do energiczniejszego życia.

A teraz przechodzimy do rozpatrzenia pytania, dlaczego żywe istoty umiérać muszą? Zobaczmy, jak zapatrują się na tę kwestyę nowocześni uczeni, a między innymi Ehrenberg, Weismann, Goette, Bütschli, Maupas, Delboeuf i Sabatier.

Ehrenberg, głośny ze swych poszukiwań, dokonanych nad wymoczkami, wyraził zdanie, że owe mikroskopijne żyjątka, „dzieląc się do nieskończoności na nowe części, żyją niezliczoną ilość lat i zacho-

---

[1]) „Revue scientifique“, 8 czerwca 1893 r.

wują wieczną młodość" (*Die Infusionsthierchen*, 1838 r.). Czyli, innemi słowy, wymoczki, zdaniem Ehrenberga, są nieśmiertelne.

Podobne przekonanie wygłosił i Weismann w swéj znakomitéj mowie (*Ueber die Dauer des Lebens*, w 1881 r.), wygłoszonéj na kongresie przyrodników i lekarzy niemieckich w Salzburgu. Nietylko same wymoczki są nieśmiertelne — mówi Weismann — ale przywiléj ten posiadają wszystkie stworzenia jednokomórkowe, rozmnażające się za pośrednictwem podziału. Pierwotniak dzieli się na dwie istoty, z których każda z kolei rozdzieli się także na dwie części i tak bez końca; tym sposobem u pierwotniaków nigdy nie bywa trupów. Ale inaczéj przedstawia się sprawa u wyższych zwierząt, których ciało składa się z komórek różnorodnych. U tych zwierząt życie trwa dopóty, dopóki nie wydadzą one potomstwa dla zachowania swego gatunku; po spełnieniu tego przeznaczenia, osobnik staje się niepotrzebny i dlatego natura, nie lubiąca bawić się w rozrzutność, usuwa go z liczby żyjących. Dla téj przyczyny większość zwierząt umiéra po zapłodnieniu i złożeniu jaj. Zwierzęta wielokomórkowe skazane są na śmierć (*Ueber Leben und Tod*), atoli nie wszystko w nich umiéra; posiadają one nieśmiertelną cząstkę ciała — są to komórki, przeznaczone do rozpłodu; reszta ciała jest śmiertelna. Tak więc, według Weismanna, śmierć nie wypływa z wewnętrznéj potrzeby organizmu, jest to tylko pożyteczny i ekonomiczny sposób usuwania niepotrzebnych stworzeń, gdy już dopełniły swego przeznaczenia. Goette idzie jeszcze daléj od Weismanna i twierdzi, że zwierzęta umiérają dlatego, że wydały na świat potomstwo. Tu tkwi przyczyna ich śmiertelności.

Widzimy, że w teoryi Weismann'a i Goette'go jest jeden punkt wspólny. Dopatrują oni obaj związek, istniejący między śmiercią i zdolnością rozpłodową. Powyższe teorye posiadają atoli wiele stron słabych. Przedewszystkiém zapytujemy, dlaczego istota, która wydała na świat potomstwo, musi umiérać, ponieważ przestała jakoby być pożyteczną? Przecie mogłaby ona innym sposobem stać się pożyteczną dla swego gatunku lub innych gatunków. Wszak żyjąca istota odegrywa pewną rolę w doborze naturalnym, walczy z innemi gatunkami, pomaga zapłodnieniu roślin i roznosi ich nasiona; wpływa na zwiększanie się lub zmniejszanie liczby innych gatunków zwierzęcych wywiéra doniosły wpływ na nowe pokolenia swego gatunku i t. p. powody te wystarczyłyby dla zachowania zwierząt przy życiu. Zresztą czyż nie mamy dowodów, że istnieją społeczeństwa zwierzęce, jak pszczoły i mrówki, zawiérające osobniki, które utraciły zdolność do rozpłodu, a jednak są one niezmiernie pożyteczne dla swego gatunku.

Tém bardziéj nie zgadzamy się z Goette'm, według którego stwo-

rzenia umiérać muszą dlatego, że wydały potomstwo. Wprawdzie często bardzo zwierzęta i rośliny umiérają po wydaniu na świat potomków; licznych przykładów w tym względzie szczególniéj dostarczają nam owady. Jednakże ileż to spotykamy przykładów, przeczących powyższemu twierdzeniu. Naprzykład między bezkręgowemi zwierzętami skorupiaki, mięczaki i pierścienice znoszą jaja co roku w określonych epokach, a pomimo to żyją przez wiele lat. Między kręgowcami ryby żyją bardzo długo, a niektóre z nich rosną prawie nieograniczenie, jakkolwiek co roku składają nieograniczoną liczbę jaj. Wreszcie ptaki, ssawce i ludzie nie umiérają natychmiast po wydaniu potomstwa.

Bütschli, prof. z Heidelberga, wydał w 1882 r. pracę *(Gedanken über Leben und Tod)*, w któréj wyraża przekonanie, że wyższe zwierzęta wielokomórkowe noszą w sobie pierwiastek niszczący i w skutek tego skazane są na śmierć. Natomiast u pierwotniaków, a zwłaszcza u wymoczków naturalna śmierć nie istnieje, ponieważ one nie zawiérają w sobie zarodka śmierci, mogą umiérać tylko wskutek jakiegoś przypadku. Aby wytłómaczyć, dlaczego wyższe zwierzęta umiérać muszą, Bütschli wygłasza hypotezę dosyć oryginalną, ale nader chwiejną w swéj podstawie. Przypuszcza on, że w komórce znajduje się pewna substancya, działająca jako ferment, pod którego wpływem powstają reakcye chemiczne, będące źródłem zjawisk fizyologicznych. Pewna ilość tego fermentu żywotnego, złożona jest w każdem jajku, lecz wciągu życia ilość owéj substancyi zmniejsza się stopniowo, aż w końcu nadchodzi chwila, gdy fermentu zbraknie i wówczas śmierć nastąpić musi.

U pierwotniaków, rozmnażających się za pośrednictwem dzielenia, dzieje się inaczéj. Posiadają one także ów ferment życiodajny *(Lebensferment)*, lecz obdarzone są zdolnością odnawiania fermentu, w czasie tak zwanych małżeństw, to odnawianie broni je od śmierci. U wyższych zwierząt odnawianie fermentu odbywa się także, ale jedynie w komórkach, służących do rozpłodu i dlatego owe komórki rodzajne narówni z wymoczkami obdarzone są nieśmiertelnością.

Hypoteza Bütschli'ego przedewszystkiém wywołuje ten zarzut, iż ferment życiodajny, który ma być przyczyną życia i śmierci u zwierząt, nie został jeszcze odkryty. Nie wiemy wcale, czy ferment taki istnieje; należałoby go wpierw odkryć i zbadać jego własności, tak, jak zbadano inne fermenty. Wreszcie nasuwa się pytanie, dlaczego same tylko komórki rodzajne miałyby być obdarzone zdolnością odnawiania fermentu, a inne komórki pozbawione tego przywileju. W teoryi Bütschli'ego nie znajdujemy odpowiedzi na to pytanie.

Dotychczas, jak widzieliśmy, wszyscy autorowie, pomimo różnic, istniejących w ich poglądach na przyczynę życia i śmierci, zgadzali się mniéj więcéj co do jednego punktu w biologii: widzieli oni z jednéj strony istoty jednokomórkowe, obdarzone nieśmiertelnością, wiecznie młode, nie znające śmierci naturalnéj, która wypływa z zużycia mechanizmu, z drugiéj strony zwierzęta wielokomórkowe, śmiertelne. Te dwa królestwa zwierząt dzieliła przepaść niezgłębiona. Na czém oparty był ów podział stworzeń na śmiertelne i nieśmiertelne? Na zacieka niach umysłu przeważnie, nie gruntował się bowiem na dostatecznéj znajomości przyrody. Dlatego też cierpliwe i wytrwałe doświadczenia jednego tylko przyrodnika wystarczyły, aby podkopać w zasadzie tak dowcipną teoryę Weismanna o nieśmiertelności pierwotniaków. Dokonały tego prace Maupas'a z Algieru, które ukazały się w 1888 i 1889 r. Ponieważ zawiérają one wyniki badań, które są obecnie ostatnim wyrazem nauki, w zajmującéj nas kwestyi, przeto zapoznać się musimy z temi pracami nieco bliżéj.

Maupas badał rozmnażanie się u wymoczków, zwanych orzęskami [1]), oraz ich odmładzanie się za pomocą odnawiania jądra (karyogamia). W pracy Maupasa po raz pierwszy spotykamy się z doświadczalną demonstracyą, że zwierzęta jednokomórkowe, na równi z innemi, podlegają śmierci i że istnieje u nich konieczna potrzeba odnawiania protoplazmy, za pomocą zléwania się dwóch istot, czyli za pomocą tak zwanych małżeństw. W doświadczeniach swych Maupas zauważył, że wymoczki mnożą się przez podzielenie wielką ilość razy. Wszystkie istoty powstałe tą drogą, są dobrze zorganizowane, rosną i rozmnażają przez dzielenie i wszystkie są podobne do siebie; aż w końcu nadchodzi chwila, gdy pokolenia, powstałe drogą rozmnażania się bezpłciowego, podlegają zwyrodnieniu, które jednocześnie ogarnia wszystkie osobniki, należące do jednego cyklu.

Potęga rozmnażania się bezpłciowego jest zdumiéwającą u wymoczków. Maupas wyliczył, że mikroskopijny wymoczek *Stylonichia pustulata*, dzieląc się pięć razy w ciągu jednéj doby, przy ciepłocie 25°, może wydać 10 milionów osobników w końcu piątego dnia, a w połowie siódmego dnia 10 bilionów, to znaczy, że jedna stylonichia może wyprodukować jeden gram protoplazmy w pięć dni niespełna, a jeden kilogram w ciągu sześciu i pół dni. Jednakże owa potęga życiowa wyczerpuje się w końcu i zjawisko zwyrodnienia objawiać się zaczyna. Najczęściéj ciało wycieńczonych wymoczków staje się coraz drobniej-

[1]) Maupas. „Recherches expérimentales sur la multiplication des infusoires ciliés." Arch. de zool. expérimentale et géner. 1888.

sze, a jednocześnie rzęski i jądra ulegają przekształceniu. Jestto starość, sprowadzająca w końcu śmierć naturalną. Maupas doprowadził sześć kultur rozmaitych gatunków wymoczków aż do zupełnego wyczerpania i śmierci; zauważył on, że pierwotna kultura wymarła po 215 podziałach, druga po 316, a trzecia po 660 podziałach.

Doświadczenia te wykazały, że u wymoczków orzęsków, tak jak i u innych istot żyjących, być może nawet u wszystkich, organizm niszczy się i zużywa sam przez się, wskutek długiego wykonywania swych funkcyi. Jestto śmierć naturalna, czyli śmierć ze starości. Zatém wymoczki, a prawdopodobnie i wiele innych pierwotniaków, nie są nieśmiertelnemi w ścisłém tego słowa znaczeniu, ponieważ bywają u nich trupy, tak jak i u większości zwierząt; są one nieśmiertelne tylko w swych gatunkach. Jednakże wymoczki mają sposób oddalenia starości i śmierci, a to za pośrednictwem odmładzania się, powtarzanego do nieskończoności; to odmładzanie dokonywa się u nich za pośrednictwem małżeństw. Już dawniejsi obserwatorowie zauważyli, że wymoczki zmarniałe i zdrobniałe wskutek długiego dzielenia się, zlewają się parami, że następują wtedy pewne wymiany między ich jądrami, że gdy następnie dwie istoty rozdzielą się, to każdy wymoczek odzyskuje dawną siłę dzielenia na części, słowem, nastąpiło odmłodzenie funkcyi życiowych.

Maupas [1]) za pomocą swych kultur dowiódł drogą doświadczalną, że owe łączenia się parami u wymoczków koniecznie powtarzać się musi w pewnych okresach, aby uchronić wymoczki od starości i śmierci. Ciekawy jest fakt, iż owe małżeństwa następują dopiéro wtedy, gdy wymoczki mają mało pożywienia; gdy zbraknie pokarmu, wówczas szybko tworzą się pary, zatém taki sposób odmładzania się zastępuje im niejako pokarm. Natomiast można przeszkodzić powstawaniu małżeństw, umieściwszy wymoczki w płynie obfitym w pożywienie. W takim razie wymoczki mnożą się w ciągu pewnego czasu przez dzielenie się, lecz nie okazują zupełnie ochoty do zawierania małżeństw, w końcu dochodzą do starości i umiérają. To ostatnie zjawisko powtarzało się, bez wyjątku w czasie hodowania wszystkich kultur. Jest to godne uwagi, że zapłodnienie u wymoczków ma za cel ostateczny tylko odnowienie jądra w obu osobnikach, nie zaś wydanie na świat nowéj istoty, bowiem rozmnażanie się u nich powstaje drogą bezpłciową, przez podział; zapłodnienie i rozród nie są bynajmniéj zjawiskami ściśle z sobą związanemi, przeciwnie u wymoczków dwa te

---

[1]) „Le rajeunissement karyogamique chez baciliés“. „Arch. de zool. experimentale“, 1889 r.

zjawiska znajdują się w sprzeczności ze sobą: obfite odżywianie jest dla nich niezbędnym warunkiem do rozmnażania się, a głód sprowadza potrzebę zapłodnienia, które jest tylko odmienną postacią odżywiania. U wyższych zwierząt zapłodnienie napozór ma za zadanie stworzyć nową istotę, lecz jestto złudzenie; w rzeczywistości u wyższych zwierząt, tak jak u wymoczków zapłodnienie ma za cel odmłodzenie dwóch komórek, a rozmnażanie się, podobnie jak u wymoczków, jest bezpłciowe i powstaje drogą podziału w jajku.

Widzieliśmy, że post zmusza wymoczki do wstępowania w związki małżeńskie, a obfitość pokarmu zniechęca je do tego. Zjawisko to zdaje się być dosyć rozpowszechnione w naturze. Wiemy, że u drobnych skorupiaków, zwanych rozwielitkami (*Daphnia*) powstaje kilka pokoleń, składających się tylko z samic, które przychodzą na świat drogą dzieworództwa. W pewnych okresach pojawiają się na czas krótki samce, potém znowu rodzi się kilka pokoleń tylko samic. Prof. Karol Vogt dokonał ciekawych doświadczeń nad wymienionemi skorupiakami, mianowicie hodował on przez kilka lat rozwielitki, dając im obfite pożywienie. W tych warunkach dobrobytu samice nie wydawały wcale na świat samców; K. Vogt wyhodował kilkanaście pokoleń rozwielitek, między któremi nie było zgoła samców. Nie wiemy, jakie są późniejsze rezultaty téj kultury i czy samice rozwielitek przy pewnych warunkach mogłyby do nieskończoności wydawać potomstwo drogą dzieworództwa, lecz już dotychczas otrzymane rezultaty są wielce ciekawe.

Oto nowe przykłady. Botanicy i ogrodnicy oddawna zauważyli, że rośliny, zbyt dobrze odżywiane, wydają zawiele drzewa i liści, a spóźniają się z wydaniem kwiatów, lub rodzą za mało owoców. Aby zaradzić złemu, ogrodnicy odcinają część korzeni albo nacinają szeroko pień, zmniejszając tym sposobem przybywający pokarm, wywołują zwiększenie się ilości kwiatów i owoców.

Z tego faktu, że dla podtrzymania życia u wymoczków wypływa potrzeba zapłodnienia, wnioskować nie należy, że owa zasada stosuje się do wszystkich pierwotniaków. Nasze teraźniejsze wiadomości są zbyt szczupłe, abyśmy mogli rozstrzygnąć tak zasadniczą kwestyę i najrozsądniéj jest, mówi Maupas, abyśmy tę kwestyę pozostawili tymczasowo na uboczu. Powiedzmy raczéj wraz z Sacksem, mistrzem fizyologii roślinnéj, że nie mamy żadnych podstaw do twierdzenia, jakoby wszystkie organizmy podlegać musiały koniecznie zapłodnieniu.

„W obecnym [1]) stanie wiadomości biologicznych, nie możemy

[1]) Maupas.

również twierdzić, że wszystkie istoty są śmiertelne; być może na najniższych szczeblach życia, a nawet między wyższemi roślinami istnieją gatunki, które nie znają starości i śmierci. Musimy jednak zaczekać z ostatecznym wnioskiem, dopóki badania i doświadczenia nie wyświetlą nam téj kwestyi." W każdym razie doświadczenia Maupasa popchnęły naprzód biologię i fizyologię ogólną, oraz wskazały drogę do nowych doświadczeń, gdyż wymoczki są wyjątkowo doskonałym materyałem do podjęcia różnorodnych badań.

Przechodzimy teraz do poznania dwóch najnowszych prac, których autorowie rozstrząsają przyczynę śmierci. Są to prof. Delboeuf i Sabatier. Delboeuf wprawdzie już w r. 1884 ogłosił pracę *(La matière brute et la matière vivante)*, w której rozbiéra obszerniéj pochodzenie śmierci. Zgodnie z Weismannem przypuszczał on, że pierwotniaki jednokomórkowe są nieśmiertelne, że do nieskończoności mogą rozmnażać się, nie podlegając starości i śmierci. Lecz doświadczenia Maupasa nad wymoczkami wpłynęły na zmianę poglądów Delboeufa, jak to widać z jego nowéj pracy *(Pourquoi mourouns nous?* 1891 r.). Filozof belgijski nie wierzy, aby żywa materya miała kiedykolwiek pochodzić od materyi mineralnéj, gdyż jest on w zasadzie przeciwnikiem teoryi samorodztwa. Mniema on przeciwnie, że w zaraniu świata istniała tylko żywa materya, z któréj powstała materya martwa. W pojęciu tém Delboeuf zgadza się z Preyerem. „Istniały tylko żywe atomy, czujące, obdarzone wolą i swobodą, to jest obdarzone ruchem i świadomością co do swego ruchu lub spoczynku." Następnie owe atomy zaczęły tworzyć przypadkowe i niestałe związki, które rozpoczęły między sobą walkę o byt, rozumniejsze związki stawały się zwycięzcami do chwili, w któréj, pokonane przez rozumniejsze od siebie związki, zniknąć musiały jako organizmy żyjące i przekształciły się w materyę martwą. Taki jest początek materyi mineralnéj, która wciąż wzrastała i wzrasta kosztem żywéj materyi, tak iż w przyszłości cały świat przekształci się w materyę mineralną.

Widzimy, że Delboeuf burzy istniejącą w nauce hypotezę o powstawaniu ciał żywych. Odrzuca on przyjętą powszechnie teoryę samorodztwa, to jest powstania życia z martwéj materyi, a odrzuca dlatego jedynie, że nauka dowiodła, iż w obecnym stanie przyrody nigdzie żywe istoty nie powstają z materyi martwéj, lecz zawsze pochodzą tylko z zarodków. Atoli teorya Delboeufa nie daje nam zadawalniającéj odpowiedzi na pytanie: co to jest śmierć; prócz tego, Delboeuf przeczy niekiedy sam sobie, jak to zaraz zobaczymy; czém są jego atomy żyjące, czujące, wolne, lecz nie obdarzone zdolnością rozmnażania się, jeśli nie związkami nieorganicznemi? Zresztą Delboeuf sam mówi

w jednėm miejscu, że był czas, kiedy „protoplazma powstawała bez współudziału innėj protoplazmy, dawniėj istniejącėj". Jeżeli protoplazma powstawała z owych żywych atomów, nie posiadających zdolności rozmnażania się, to, jak powiedzieliśmy wyżėj, owych atomów nie możemy uważać za co innego, jeno za cząsteczki materyi mineralnėj. Zresztą Delboeuf utrzymuje, że owe atomy tworzyły z początku coś w rodzaju istot pseudo-żyjących, późniėj dopiėro okazały się istoty prawdziwie żyjące, zdolne wydawać potomstwo. Widzimy więc, że w gruncie rzeczy teorya Delboeufa o powstawaniu żywych stworzeń nosi na sobie wyraźne cechy teoryi samorodztwa, pomimo że autor chciał stworzyć teoryę zupełnie odmienną.

Co się tyczy śmierci u istot wielokomórkowych *(metazoa)*, Delboeuf daje następujące objaśnienie: organizm jest niczėm innėm tylko machineryą, która przez pracę zużywa się i niszczy, w ten sposób następuje starość i śmierć. Prócz tego rozwija teoryę, że żywa niestała materya wskutek ciągłych przemian chemicznych nieustannie dąży do przejścia w stan materyi mineralnėj, z powodu tego nagromadzenia się nieruchomėj materyi organizm starzeje się i w końcu musi umrzéć.

Jeżeli porównamy wszystkie hypotezy o przyczynie śmierci naturalnėj, z któremi poznaliśmy się dotąd, to łatwo się przekonamy, że autorowie ich, właściwie mówiąc, nie dają nam żadnego tłómaczenia w czėm tkwi przyczyna śmierci. Ogólnikowe twierdzenie: „Umiėramy dlatego, że się popsuł mechanizm, że się zestarzał, jest raczėj stwierdzeniem samego faktu śmierci, niż jego wytłómaczeniem. Oczywista rzecz, że gdy mechanizm zużyje się, to śmierć nastąpić musi; ale skądinąd wiemy, że żywe organizmy różnią się od martwych mechanizmów tėm, że obdarzone są cudowną siłą ciągłego odnawiania się i naprawiania uszkodzeń w przeciągu mniėj lub więcėj długiego czasu, niekiedy w ciągu dziesiątek i setek lat. Powstaje tedy pytanie: dla czego organizm traci w końcu umiejętność odnawiania siebie? co jest niezbędnym warunkiem życia. Prof. Sabatier, poddawszy krytyce istniejące dotąd teorye o śmierci, wyłuszcza następnie swe zapatrywania na przyczynę śmierci i rzuca nowe światło na tę zagadkę biologiczną, szuka bowiem przyczyny w samėj organizacyi żywej materyi.

Aby zrozumiéć dlaczego organizmy są śmiertelne, Sabatier sięga aż do początków życia na ziemi. Jeżeli przyjrzymy się ewolucyi teraźniejszych istot żywych, począwszy od najniższych, a skończywszy na najwyższych, to zobaczymy, że bez wyjątku ewolucyą rządzi zawsze jedno prawo niezłomne. Każda istota rozpoczyna swój rozwój od naj-

prostszéj fazy i stopniowo tylko dochodzi do doskonałości, właściwéj swemu gatunkowi. Nawet człowiek, najwyższa istota pod względem ewolucyjnym, zawsze rozpoczyna swe istnienie w postaci protoplazmy, z któréj powstają stopniowo liczne komórki, tkanki i narzędzia, tak różnorodne i skomplikowane.

Daléj wiemy, że na najniższych szczeblach życia organicznego znajdują się stworzenia o zadziwiająco prostéj budowie. Ciało niektórych pierwotniaków jest tylko mikroskopijną kropelką białka, na pozór zupełnie niezróżniczkowanego, chociaż owe kropelki białka w ciągu niezliczonych wieków uległy prawdopodobnie zmianom i, w porównaniu do pierwotnéj protoplazmy, zróżniczkowały się znacznie. Możemy przypuścić, że pierwsi rodzice owych pierwotniaków posiadali jeszcze prostszą budowę. Jest to zdanie dosyć rozpowszechnione między teraźniejszymi biologami, że pierwsze organizmy bardzo podobne były do naszych pierwotniaków najniższych i że powstać one musiały ze związków nader zbliżonych do związków organicznych. W danéj chwili jest dla nas obojętném, czy pierwsze organizmy powstały na naszéj ziemi, czy téż, według teoryi Thomsona, przeniosły się do nas z innéj sąsiedniéj planety.

Jeżeli myślą cofniemy się do początków historyi naszéj planety, to dochodzimy do przekonania, że ziemia przechodziła niegdyś przez takie fazy, podczas których życie organiczne pod żadną postacią istniéć na niéj nie mogło. Późniéj musiał nastąpić taki okres, w którym życie objawiło się na ziemi, jakkolwiek nie jesteśmy wstanie ani dowieść tego faktu, ani pochwycić owéj chwili, bowiem odbyło się to w epoce, gdy nie było ani obserwatorów, ani możności badania. Przypuszczamy tedy, że żywe organizmy ukazały się na ziemi o budowie najprostszéj, jaką tylko znamy, to jest pod postacią białka albo protoplazmy, która dotąd stanowi podstawę życia roślinnego i zwierzęcego. Lecz pierwotna protoplazma posiadała jeszcze prostszą budowę od teraźniejszéj protoplazmy, w któréj mikroskop odkrywa nam liczne zróżniczkowania i rozmaitość budowy. Każda obecnie istniejąca komórka jest organizmem nader złożonym, udoskonalonym, który kształcił się przez długie wieki, zanim doszedł do teraźniejszego stanu. Logicznie jest przypuścić, że protoplazma ukazała się w postaci substancyi nawpół płynnéj, galaretowatéj, zupełnie jednorodnéj i bez jądra. Przybrała ona wygląd drobniuchnych kulek ruchomych, uzdolnionych do wymian chemicznych. Dodajmy nawiasem, że przyrodnicy znaleźli kilka przykładów takiéj pierwotnéj protoplazmy w niektórych organach zwierzęcych; protoplazmę tę uważać można za zabytek

starożytnego pochodzenia. Z pierwotnéj protoplazmy powstała teraźniejsza, drogą powolnéj i długiéj ewolucyi.

Pierwotna protoplazma, jak każda żywa istota, rosła i rozmnażała się; jeżeli było kilka odmian protoplazmy, co jest prawdopodobne, to ocalały tylko te gatunki, które mogły rosnąć i wydawać potomstwo. Rozmnażanie odbywało się najprostszym sposobem, jaki jest nader rozpowszechniony i obecnie na najpierwszych szczeblach życia: każda kropelka rozpada się na dwie części, które żyją potém niezależnie i z kolei podzielą się także na części i tak do nieskończoności. Wprawdzie widzieliśmy, że ten sposób rozmnażania się u wymoczków nie może trwać bez końca, ponieważ sprowadza starość i śmierć, jeżeli nie nastąpi odmłodzenie się za pomocą zapłodnienia. Lecz, jak już powiedzieliśmy wyżéj, nie możemy w obecnym stanie nauki twierdzić, że takie odmładzanie niezbędne jest dla wszystkich organizmów, a powtóre zapłodnienie, z punktu widzenia morfologii, jest zjawiskiem nader skomplikowaném, nie mogło zatém objawić się w pierwotnéj prostéj protoplazmie.

Mnożyła się tedy ona przez dzielenie się do nieskończoności i była zarazem obdarzona nieśmiertelnością, gdyż każda cząstka jéj żyła w następujących po sobie pokoleniach. Powoli, z biegiem czasu i pod wpływem zmieniających się na ziemi warunków fizycznych, zaczęły objawiać się w żyjących kropelkach różniczkowania, które w końcu doprowadziły do utworzenia się jądra; takiemu wyższemu organizmowi możemy dać miano komórki. Następnie w rozmaitych komórkach różniczkowanie protoplazmy szło daléj; komórki powoli otoczyły się błonami, a w łonie samych komórek pojawiły się rozmaite wytwory protoplazmy, jak substancya kurczliwa albo mięśna, substancya nerwowa i t. p. Powstały także w komórkach rozmaite zapasy pod postacią tłuszczu i mączki, albo téż twarde substancye, stanowiące szkielet, np. substancya kostna, chrząstkowa i celuloza. Wreszcie stopniowo owe pierwiastki organizmów komórkowych osiągnęły jeszcze wyższy stopień specyalizacyi pod względem budowy, oraz funkcyi. Rozmaite nowo-powstałe pierwiastki stały się w końcu specyalnemi komórkami; tak powstały komórki nerwowe, mięśne, komórki wydzielające płyny i t. p. Powyższemu różniczkowaniu się nie uległa tylko jedna kategorya komórek — to komórki rodzajne, w prostocie swéj budowy zachowały one wierny prawie obraz komórki pierwotnéj.

Różniczkowanie i specyalizacya komórek jednocześnie oddaliły je od pierwotnego typu protoplazmy; komórki uzyskały umiejętność wykonywania nowych funkcyi, nieznanych pierwotnéj protoplazmie,

mogły wykonywać bardziéj udoskonaloną pracę, ale zarazem utraciły one dawną energię do szybkiego rozmnażania się i odżywiania. Twierdzenie takie oprzéć można na podobieństwach, istniejących w teraźniejszym świecie zwierzęcym: widzimy, że najniższe istoty, takie, w których jądro jest najmniéj zróżniczkowane, obdarzone są największą energią do rozmnażania się. Wiemy, z jaką nadzwyczajną szybkością mnożą się bakterye, algi i niższe grzybki. W miarę doskonalenia się komórki, podział jéj na części dokonywa się z większą powolnością, komórka składająca się z protoplazmy i jądra nie może z równą szybkością odnawiać swych części za pomocą odżywiania. Jądro, utraciwszy nadzwyczajną szybkość odnawiania się, jaka cechowała pierwotną protoplazmę, wskutek tego musiało stopniowo zbliżać się ku starości i w końcu groziła mu śmierć niechybna. Ale natura zaradziła téj ostateczności i wynalazła sposób wprowadzenia zmiany w dawnym sposobie odżywania komórki, nowa zmiana polegała na zbliżaniu się i zmieszaniu dwóch substancyi komórkowych. Tak powstało zapłodnienie. Dwie komórki zléwają się ze sobą, mieszają swe protoplazmy i jądra, odrzucają niektóre części zużyte i gdy następnie rozdzielą się, to każda komórka w téj wymianie soków odzyskała dawne siły i znowu posiada zdolność wydawania potomstwa za pomocą dzielenia się na części. Taką wymianę materyi między dwiema komórkami widzimy obecnie już na najniższych szczebłach życia u najprostszych roślin i pierwotniaków.

Najdaléj posunięte zróżniczkowania dostrzegamy w komórkach zwierząt wyższych; nietylko w protoplazmie ich powstały jądra, ale nadto komórki wyprodukowały rozmaite substancye drugorzędne, które tak się rozrosły, że zaćmiły sobą prawie zupełnie pierwotną komórkę, w któréj powstały; za przykład służą nam komórki mięśne, nerwowe i t. p. Wskutek tych nowych zmian odżywcza energia, to jest zdolność do odnawiania się, osłabła w specyalnych komórkach jeszcze bardziéj, niż u pierwotniaków. Nowe substancye, które weszły w skład dawnych komórek zróżniczkowanych, obecnie tworzą mięśnie, nerwy, kości i t. p.; substancye te nie mogą odnawiać same siebie, odżywiane są one przez komórkę, która je utworzyła i podtrzymuje ich życie. Lecz ponieważ substancye owe rozrastają się, jak pasorzyty, kosztem saméj komórki-karmicielki, która wciąż zanika, przeto owe substancye zróżniczkowane skazane są na zagładę; one to właśnie stanowią ów mechanizm, który zużywa się wskutek pracy i wreszcie umiéra, gdy zbraknie pierwiastku, który go żywił i odnawiał.

Jest to godne uwagi, że tkanki u człowieka i u wyższych zwierząt dorosłych w bardzo słabym stopniu zachowały zdolność ponowne-

go odrastania. Jeżeli przyjrzymy się rozmaitym tkankom zwierzęcym, to dojdziemy do wniosku, że im doskonalszą jest budowa tkanki, to znaczy—im daléj odbiegła ona od pierwotnego typu, tém trudniéj naprawiać może zrządzone w niéj uszkodzenia; np. w ośrodkach mózgowych, które przedstawiają najwyższy stan zróżniczkowania, odradzanie się komórek nerwowych nie odbywa się wcale, gdy zarasta powstała rana, dzieje się to bynajmniéj nie dlatego, że komórki nerwowe rozmnożyły się i zapełniły powstałą próżnię, lecz zarastanie rany powstaje za pośrednictwem blizny, to jest za pośrednictwem tkanki łącznéj. W mięśniach prążkowanych naprawa odbywa się także jedynie za pomocą blizny. Mięśnie gładkie, które są niższym typem, odrastają niekiedy i to tém łatwiéj, im młodszą jest tkanka. Widzimy więc, że u wyższych zwierząt odrastanie tkanek i członków ciała jest rzadkie i ograniczone; jednakże odrastanie tkanek jest tém łatwiejsze, im zwierzę jest młodsze, a tkanki jego mniéj oddaliły się od fazy zarodkowéj w któréj obdarzone były wielką potęgą rozrastania się. U płazów odcięte członki i ogon odrastają ponownie. U mięczaków i robaków oderwane części ciała odrastają bardzo łatwo.

Na najniższych szczeblach życia zwierzęcego potęga naprawiania tkanek uszkodzonych jest, że tak powiemy, nieograniczona. U roznóżków *(Rhizopoda)* i innych niższych grup z małego kawałka ciała odrasta cały organizm.

Nakoniec wiemy, że u roślin, które posiadają tkanki znacznie mniéj zróżniczkowane, niż u zwierząt, odrastanie tkanek jest nader łatwe i częste; bywają rośliny (mchy), w których jedna jakakolwiek komórka może odtworzyć całkowitą roślinę, ale i u roślin naprawa tkanek jest łatwiejsza w młodym wieku, niż u roślin dorosłych.

Tak więc specyalizacya i różniczkowanie się komórek w organizmie doprowadzają do wykonywania funkcyi coraz lepiéj, doskonaléj; lecz wskutek tego udoskonalenia pierwotne funkcye komórki zostały zasadniczo zmienione, wewnętrzna jéj budowa musiała uledz poważnym zmianom. Protoplazma przybrała odmienną postać od téj, jaką posiadała z początku. Stawała się ona coraz mniéj uzdolnioną do odnawiania się, do naprawy siebie saméj, tak iż mechanizm, pierwotnie zbudowany w ten sposób, że nie ulegał zniszczeniu, staje się powoli mechanizmem podlegającym zużyciu i zniszczeniu. Mechanizm, który pierwotnie wytwarzał życie, to jest który cudownie uzdolniony był do asymilacyi, dezasymilacyi, czucia, ruchu i t. p. stopniowo tak się zmienił, iż zaczął wytwarzać tylko ruch, albo tylko czucie, tylko wydzielanie i t. p. Utracił on zdolność do odżywiania się, które go naprawiało

i zaczął ulegać starości. Histologiczna przyczyna śmierci tkwi w różniczkowaniu się protoplazmy.

Jednakże nie wszystkie komórki w organizmie skazane są na śmierć; zawiéra on grupę komórek, które zachowały nieśmiertelność, są to komórki rodzajne, przechowały one i przekazały nam życie od najdawniejszych czasów. Komórki rodzajne nie zróżniczkowały się, zachowały one pierwotną swą budowę i dlatego, podobnie jak wymoczki, posiadają zdolność do ciągłego odnawiania się, umiejętność zachowania młodości nieograniczonéj. Gdy mówimy, że organizm uległ śmierci, to nie wyrażamy się z odpowiednią ścisłością; w rzeczywistości nie cały organizm uległ zniszczeniu, lecz zmarła tylko część jego, wprawdzie największa, zmarł ów mechanizm, który wytwarzał niezliczoną ilość prac za życia. Lecz organizm ten pozostawił na świecie żyjącą i najlepszą cząstkę siebie, pozostawił zarodki, które odtworzą znowu całkowity złożony mechanizm, ale nadto znowu przekażą życie i nieśmiertelność następnym pokoleniom.

Owa żywa [1]) i nieśmiertelna materya złożoną została w jajniku; on tylko zachował pierwotny sposób rozpłodu i wieczną żywotność. Macierzyństwo jest nigdy niewyczerpaném źródłem, z którego bez przerwy tryska życie. Samica wydaje na świat nietylko istoty swéj płci, ale także rodzi samców, którzy rozpraszają się po świecie, zachowując pozory niezależności; lecz w gruncie jestto złudzenie. Pchani ślepym instynktem, zjawiają się oni na skinienie swéj rodzicielki i zwracają jéj depozyt niegdyś od niéj otrzymany i udoskonalony. Samiec jest satelitą samicy, od niéj oderwanym i krążącym koło niéj nieustannie. U pszczół zapładnia on królowę i wkrótce potém umiéra śmiercią naturalną albo gwałtowną. U owadów często samcy nie posiadają nawet przewodu pokarmowego, urodzili się oni tylko dla miłości, a po spełnieniu swego przeznaczenia natychmiast umiérają. U innych gatunków zwierzęcych, jak u niektórych skorupiaków, samica zawsze nosi z sobą samca, którego budowa bywa niekiedy tak zredukowaną, iż w rzeczywistości przestał on być osobnikiem i stał się tylko narzędziem. U ryb samiec idzie wszędzie w ślad za samicą i ulega wszelkim jéj kaprysom. U ptaków jest on na usługi samicy wysiadującéj jaja, czaruje ją swym śpiewem, odbywa polowanie, aby ją wyżywić. Między ssawcami często samiec bywa opiekunem i obrońcą matki i dzieci. Lecz niezależnie od znaczenia, jakie samiec posiada w rodzinie, niezależnie od praw, które sobie rości, niezależnie od despotyzmu, który usiłuje wywierać na samicę,

---

[1]) Delboeuf. „Pourquoi mourons nous?“ („Revue philosoph.“, 1891 r.).

lub istotnie wywiera, racya bytu samca tkwi w jajku, z którém łączy go nić niewidzialna, ponieważ otrzymał on misyę popiérania ewolucyi jajka.

Zróbmy wreszcie olbrzymi skok i przyjrzyjmy się rodzajowi ludzkiemu i jego rozmaitym rasom najbardziéj ucywilizowanym. Mitologia, legenda i historya malują nam zawsze kobiétę, jako królowę świata. Bezpośredni jéj wpływ jest wprawdzie nieznaczny, lecz doniosłość wpływu pośredniego nie da się nawet obliczyć.

Kobiéta jest nieustającém źródłem życia; Ewa nie powstała z żebra Adama [1]), a pierwszy mężczyzna był synem pierwszéj kobiéty; żył on wpierw w jéj łonie i urodził się dla niéj. Kobiéta jest matką wszystkich ludzi, od niéj pochodzi życie całéj ludzkości.

Bruksella, w marcu 1894 r.

M. Stefanowska.



[1]) Delboeuf.

Z DZIEJÓW SZTUKI.

„L'art français au temps de Richelieu et de Mazarin", przez Henryka Lemmonnier. Paryż, Hachette, 1893.

Tytuł zapowiada dzieje sztuki francuskiéj, i to wyłącznie sztuki plastycznéj za rządów dwóch kardynałów, ale dla wytłomaczenia cech jéj właściwych, wypadło autorowi wskazać czynniki wpływające na twórczość artystyczną i skreślić zadanie saméjże sztuki, by dowieść, że owe czynniki współdziałają wszystkie razem, acz nie w równéj mierze, na urobienie indywidualności jednostki i charakteru epoki.

W chwili szczególniejszego zamętu pojęć o literaturze i sztuce, gdy się piszą cudackie elukubracye dekadentów i malują impresyonistyczne dziwolągi, jasne wypowiedzenie trzeźwego sądu, opartego na niepośledniéj znajomości przedmiotu i na sumiennych długich studyach, jest pożądaną niezmiernie rzeczą. Wprawdzie niektórzy mniemają, iż „człowiek co ma oczy i rozsądek" jest dostatecznie wykwalifikowanym w téj kwestyi, bo mając oczy i rozsądek, który przez te oczy odbiera jakieś (nieraz bardzo żywe i silne) wrażenie z dzieł sztuki, a przez ten rozsądek dochodzi i wié, dlaczego jedno dzieło wprawia go w zachwyt a drugie w rozdrażnienie, taki człowiek jakieś zdanie o sztuce mieć musi, choćby sam nie wiedział i nie chciał", ale bodaj, że zdanie opierające się tylko na rozsądku o przedmiotach, które pozostały nietylko z rozsądku, ale z talentu i studyów fachowych, będzie rzeczywiście jakiemś zdaniem (jakiém-takiém) nie wiele wartém, zwłaszcza

gdy ten, który je posiada, „posiada je choćby sam nie wiedział i nie chciał". Rozsądek, przymiot szacowny, nawet niezbędny, bo bez niego najprzedniejsze władze umysłu tracą na wartości, wystarczyć sam jeden zdoła zaledwo w powszednich sprawach żywota i to w bardzo ograniczonym zakresie. Żeby się nie dać oszukać na gatunku i cenie towarów płóciennych, wełnianych, jedwabnych, potrzeba przynajmniéj praktycznego obznajmienia się z wyrobem, a cóż dopiero z dziełami sztuki, które z pięknem plastycznem łączą wykształcenie fachowe, studya sobie właściwe, będące dla rozsądku bez nauki zagadką. Nikt nie odmówi rozsądku Ludwikowi XIV-mu, a jednak on to wyrzekł do pokazujących mu arcydzieła holenderskiéj szkoły: „weźcie mi precz z oczu te bohomazy" *ôtez moi ces magots*. Osiński też był rozsądnym człowiekiem, przecież nie poznał się na Mickiewiczu, i poważnemu gronu akademików, wyrokującemu, że wynalazek Fultona dyabła wart, nie brakowało rozsądku, tylko... rozsądek za wszystko nie starczy, wszystkiemu nie podoła, nie zastąpi nauki, studyów specyalnych, koniecznych i w dziedzinie piękna; przywłaszczając zaś sobie prawo ferowania dekretów bez należytego przygotowania się, jest sądem ślepego o kolorach.

Nie znaczy to wcale, aby sąd specyalisty czy znawcy miał być nietykalnym dogmatem lub jakiémś niewzruszoném, *à la* Kepler lub Archimedes, prawem; ale już dlatego, że nie jest powierzchowną krytyką, ma swe znaczenie, chociażby w pewnych punktach był, albo wydał się profanowi błędnym. Autor wymienionego wyż dzieła należy do przeciwników Horacyuszowskiego *ut pictura poësis*, który to aforyzm stał się niby hasłem wielu z pisarzy, w tak drobiazgowe się wdają sprawozdania z wdzięku natury, malowniczości krajobrazu, tła i innych akcesoryów podrzędnych, otaczających bohaterów i bohaterki. Zdaje się nawet, jakoby autor nietylko różnicę lecz sprzeczność widział między literaturą a sztuką, bo powiada wyraźnie, że celem pierwszéj jest myśl, drugiéj, forma (*Le fond de la littérature c'est l'idée, le fond de l'art, la forme*), że piękno malarskie jest odmienném od literackiego, bo polegając na kształtach i na kolorycie, może być niezależném od myśli i uczucia; „podziwiamy rysunek dla mistrzowskiego jedynie wykonania, dla siły ołówka lub pióra, obraz po za treścią, dla kolorytu i wykonania. Doświadczamy rozkoszy na widok właściwości lub delikatności barw, szczęśliwego ruchu w pozie posągu, wdzięku konturu i t. p. W tém leżą zasadnicze żywioły sztuki. Myśląc, że je można odrzucić lub pominąć, nie byłoby warto badać praw filozoficznych lub historycznych jéj (sztuki) rozwoju, bo w takim razie sztuka nie istniałaby wcale". Prawidła owe wynikają według autora z saméj

istoty rzeczy. Artysta wyraża swą myśl czy uczucie za pomocą plastyki, która przedewszystkiém przemawia do wzroku, pisarz zaś wypowiada to co ma w głowie lub sercu, bezpośrednio: malarz, rzeźbiarz, budowniczy muszą długoletnią pracą zdobywać technikę, dla pisarza mowa jest narzędziem przyrodzoném, którém włada od dzieciństwa.

Choć piękno „ma pewne prawa ogólne i stałe", jednak zastosowanie ich zmienia się zależnie od kraju i ducha czasu, bo artysta odbiéra swe wrażenia z zewnątrz i „tém silniéj, że po za obrębem swéj sztuki, pozostaje biernym". „Nie wywiera on żadnego wpływu na pochód cywilizacyi, nie wytwarza idei, poglądów, uczuć, tylko je wypowiada właściwemi sobie środkami". A jak każda epoka i każdy naród ma pewien odrębny sposób bycia, pojmowania i odczuwania, tak znów każda z trzech sztuk plastycznych w innéj mierze odbiéra i wyraża cywilizacyę. Architektura najbardziéj z nich abstrakcyjna, najbardziéj na nauce oparta, bo niepodobna postawić domu bez znajomości matematyki i mechaniki, ale też najwięcéj praktyczną stronę życia mająca na celu, najbardziéj poddaje się teoryi i wymaganiom swéj chwili. Budowniczy musi się liczyć z upodobaniem i potrzebami publiczności. [1]) Świątyni nie przystałyby formy roskosznego, do światowych uciech przeznaczonego pałacyku, a w salonach wesołego towarzystwa z XVIII wieku nie umieszczonoby obrazów poważnéj albo religijnéj treści. I dlatego bezpośredniego zetknięcia się architektury z rzeczywistością odbijają się w niéj znamienne rysy czasu.

Malarstwo, przedstawiając wszystko, co podpadło pod oczy, nie tworzy swych form abstrakcyjnie, jak architektura, lecz je zapożycza od świata zewnętrznego; urozmaicone bardziéj co do treści, nie wymagające takiéj naukowéj podstawy jak budownictwo, nie oddające swych pomysłów za pomocą kombinacyi czysto umysłowych, zostawia zresztą swobodę indywidualności artysty. Nadto malarstwo posiada własność „odzwierciedlenia epoki, odtwarzając ją. Jest to téż rodzaj odrębny: aktualności." Może wprowadzić w swe ramy tyle urozmaicenia, ile go znajduje w społeczeństwie. Rzeźba, biorąca kształty dla swych pomysłów, podobnie jak malarstwo ze świata zewnętrznego, nie przedstawia takiéj rozmaitości jak ono, bo materyał, którym się posługuje, dozwala na odtworzenie tylko pewnej strony życia.

---

[1]) Opowiadają, że margrabina de Rambouillet zmieniła plany swych budowniczych, na zasadzie, że potrzebuje salonów do przyjmowania gości, urządzenia apartamentów w pewien odpowiedni téj potrzebie sposób. Może być to „anegdotą" przechowaną przez tradycyę, „która jednakże, jak wszystkie tradycye, opiera się na logice rzeczy".

To są „zasadnicze i powszechne reguły, odnoszące się do wszystkich czasów", lecz w zastosowaniu swém podległe duchowi epoki i indywidualności artysty, na którą znów oddziaływają: warunki geograficzne, etnograficzne, polityczne, społeczne i szkoła, któréj autor wielkie przypisuje znaczenie.

W epoce omawianéj przez prof. Henryka Lemonnier, rozdzielonéj na dwa okresy, (zaczynając pierwszy przed rządami Richelieu'go, doprowadzając drugi do połowy panowania Ludwika XIV-go, mianowicie od 1610 do 1660 i od 1660 do 1670, z zastrzeżeniem, że to są raczéj przybliżone niż matematycznéj ścisłości daty) idzie nie tyle o dzieje właściwe sztuki, wcześniejsze od osobistych rządów króla-słońca, ile o jéj rozwój i charakterystykę: o wyświetlenie, „co ona zawdzięcza swym czasom i do jakiego stopnia wytłómaczyć je zdoła", dlaczego „wydaje razem Vouet'a, Poussin'a, Le Sueur'a", a dlaczego późniéj rozpościera się pewna jednostajność tam, gdzie niedawno było tyle rozmaitości. Badając jednocześnie sztukę i dzieje, czyli wzajemny ich stosunek do siebie, odgadnąć łatwo, że epoka, łącząca upodobanie w przepychu z pewną powagą filozoficzną i szczerą w gruncie religijnością", może „wydać razem Vouet'a, Poussina i Le Sueur'a", ale gdy za samowładnego Ludwika W. „Francya żyje życiem i myśli głową swego króla, sztuka staje się bardziéj jednolitą. „Architektura zatém i malarstwo odzwierciedlają swą epokę, tylko, że pierwsza skupia, a druga rozpuszcza jéj promienie. Nie należy przeto badać ich zupełnie jednakim sposobem, jeśli pragniemy się dowiedzieć, czy rzeczywiście mają one łączność z dziejami swego czasu".

Niepodobna w szczupłych ramach notatki iść krok w krok za autorem, zdawać sprawę ze wszystkich szczegółów dzieła, rozbierać zdania i t. p. Trzeba poprzestać na głównych rysach, dających miarę omawianéj książki. Zaznaczyć tu potrzeba sumienną ścisłość; tak naprzykład świetny wiek Ludwika XIV, wiek złoty literatury francuskiéj, prof. Lemonnier sądzi bez zaślepienia; nazwa wiek Ludwika XIV — powiada on—sfałszowała historyę, wszystko odnoszono do Francyi, zwłaszcza do jéj króla; wszystko przypisywano nam a nie reszcie Europy". Tymczasem Europa nie była pogrążona w barbarzyństwie; do owéj bowiem epoki należą takie imiona jak Shakespeare (1564—1616), Franciszek Bakon (1561—1626), Hobbes (1588—1679), Milton (1608—1674), Kepler (1571—1631), Rubens (1577—1640), Van-Dyck (1599—1641), Rembrandt (1607—1669), Cerwantes (1547—1616), Lope de Vega (1562 — 1635), Kalderon (1600—1681), Velasquez (1599—1660), Murillo (1616—1642), bracia Carracio (1555—1619), Dominikin (1581—1641), Guido Reni (1575—1642), Bernini (1598-1680).

Autor nie chce na nowo rozbierać i oceniać dzieła Ludwika XIV, tylko chce je postawić „na właściwém miejscu“. Nie wszystko światło płynęło z Francyi, jak widać z przytoczonych wyżéj imion, nie wszystko i we Francyi stało się za inicyatywą jego. „Rzućmy okiem na spis nazwisk ludzi, którzy się odznaczyli w literaturze i sztuce w XVII wieku, a spostrzeżemy, że wielka ich liczba znikła z widowni około 1660 r. Kartezyusz zmarł w 1650, Gassendi w 1655, Pascal w 1662, Vouet 1649, Le Sueur 1655, Le Mercier 1654, Sarrazin w 1660, Poussin w 1665, Franciszek Mansart w 1666”, to jest przed lub w krótki czas po objęciu steru państwa przez młodego króla, który do śmierci Mazaryniego, zaszłéj w 1661 r. nie odgrywał żadnéj roli. (dosłownie: *il fut (Louis XIV) jusqu'a la mort de Mazarin, en 1661, effacé et annulé autant qu'homme l'a jamais été*). Streszczając w kilku słowach bilans ówczesnych cywilizacyjnych czynników, mówi: „co się tyczy wojny i polityki, Francya dała więcéj niż otrzymała (choć trudno wojnę uważać za czynnik dodatni), ale co do myśli, zwłaszcza co do sztuki, otrzymała więcéj niż dała. Ludwik XIV zaś, jeśli umiał podniecać działalność ludzi, za to „skierował ją ku swoim widokom; do swéj woli i upodobań naginał ludzi i rzeczy...., tłumił wszelką swobodę, inicyatywę osobistą, niezależność umysłową i moralną. Z pomocą Colberta, umysłu podobnegoż pokroju, wszystko sprowadził do siebie, wszystko uregulował i ujednostajnił.”

Jaką była sztuka francuska około 1610 r., jakie wpływy zagraniczne a swojskie, co i od kogo wzięła? opowiedziano jasno, zwięźle, żywo, pouczająco dla profanów i nawet dla specyalistów (mowa o artystach); niespecyalistów zajmie rozdział zatytułowany: „Wpływy historyczne i narodowe” i następny: „Położenie społeczne artystów”, na podstawie nieznanych lub bardzo mało znanych ogółowi źródeł napisany. Wpływ założonéj wówczas akademii sztuk pięknych, „która zmodyfikowała nietylko ów stan społeczny, ale nawet sztuki saméj”, popiera zdanie autora co do wielkiego znaczenia szkoły. Ocena i dzieje ówczesnéj sztuki, wybiegające nawet po za granice Francyi, ale mające ścisły związek z przedmiotem, zamykają tę bardzo pouczającą (trzeba powtórzyć wyrażenie) i dostępnie, z prawdziwą znajomością rzeczy opracowaną książkę. Choć można się spierać z autorem, a przynajmniéj pewne zastrzeżenia porobić do kilku punktów w pojęciach estetycznych, trzeba mu przyznać poważną wiedzę, trzeźwość sądu, bezstronność zdania, i oprócz paru drobnych sprzeczności, które może raczéj są wynikiem czasami trochę niejasnych wyrażeń, zgodność założenia z dowodami, nie według tendencyjnie *a priori* ukutego systematu, lecz wniosków wynikłych z badań i obserwacyi. *Litawor.*

HORDA PIERWOTNA.

(Odczyt na międzynarodowym zjeździe folklorzystów w Chicago).

Mac-Lennan wprowadził do nauki termin: „horda pierwotna". Od tego czasu posiada on prawo obywatelstwa w socyologii, jako wyraz, oznaczający organizacyę społeczną szczepu ludzkiego w najodleglejszym czasie przeszłości, kiedy nasi przodkowie znajdowali się na możliwie niskim poziomie kultury. Raz stworzona nazwa pozostała, lecz nic do niéj nie dodano w dalszych dziesięcioleciach. Jedynie biologowie usiłowali rzucić nieco światła na to zagadnienie w swoich poszukiwaniach nad społeczeństwami zwierzęcemi. U folklorzystów spotkałem jedną tylko notatkę o hordzie pierwotnéj: Gomme'a w pamiętniku londyńskiego towarzystwa antropologicznego. A jestem tego zdania, że jedynie folklorzyści, na podstawie materyału etnograficznego, zdołają wyjaśnić i rozwiązać kwestyę pierwocin społecznych. Trzymając się metody statystycznéj, któréj tak piękny wzór dał Tylor w swojéj rozprawce, poświęconéj rodzinie pierwotnéj, porównywałem pomiędzy sobą niektóre zwyczaje grup dzikich rodu ludzkiego. Tutaj zamierzam wyłożyć ogólne wnioski, do których doprowadziły mnie te studya.

Pomiędzy wyspiarzami oceanu Spokojnego, jak zresztą w wielu innych okolicach globu ziemskiego, znajdujemy w całéj swojéj mocy szczególny zwyczaj, że płci obie żyją odrębnie od siebie; kobiéty po większéj części w rodzinnym domu, mężczyźni zaś zorganizowani w pewnego rodzaju czysto męskie kluby. „Bałwochwalstwo — powiada W. Ellis — wywarło przemożny a głęboki wpływ nietylko na każdą

chwilę ich (t. j. polinczyjczyków) bytu ziemskiego, lecz też na każdą cząstkę życia i swojemi demoralizującemi i nie-społecznemi wymaganiami zniszczyło wszelkie delikatniejsze uczucie i wszystkie uciechy stosunku domowego. Ojciec i matka, jako jedna szczęśliwa para społeczna z dziećmi, nigdy nie obsiądą tam ogniska domowego, lub zebrani pod wdzięcznym cieniem gaju nie korzystają pospołu jako rodzina z dobroci Opatrzności. Zwyczaj, związany ze czcią bóstw Oro i Tana, nieubłaganie mówi, że żona nie będzie jadła tego pokarmu co mąż, oraz że nie będzie spożywała w tém samém miejscu i przygotowywała swego jadła przy tym samym ogniu. Zakaz ten stosuje się nietylko do żony w stosunku do męża, ale do wszystkich przedstawicielek płci żeńskiéj, od przyjścia na świat aż do chwili śmierci. W chorobie i dolegliwości i we wszelkim innym wypadku, w jakim znaleść się mogą matka, żona, siostra i córka, zwyczajowi temu stać się musi zadość... Ognisko, przy którém mężczyźni gotują potrawy, uchodzi za świętość, kobiétom nic wolno z niego użytkować; koszyki, w których prowizya mężczyzn leży, i dom, w którym jedzą, są równie święte, t. j. niedostępne dla kobiét pod surową karą" [1]). Albo przejdźmy do archipelagu Nowohebrydzkiego w Melanezyi. „Chłopiec nadziewa *malo* (miejscowy ubiór męski), kiedy rodzice postanowią, że już malec wyrósł"—czytamy u Codringtona. „Do tych czas żył on w domu rodzicielskim, teraz zaś jada i sypia w *gamali* (dom klubu męskiego). Od téj chwili poczyna się ten dziwny i pełny wstrzemięźliwości stosunek względem siostr jego i matki. Wolno mu udać się do domu ojcowskiego po jadło, lecz jeżeli siostra jest obecną, musi odejść, zanim cokolwiek spożyje. Jeżeli przypadkiem brat z siostrą spotkają się na drodze, ucieka ona lub kryje się... Powściągliwość w stosunku pomiędzy synem a matką wzmaga się w miarę tego jak malec dorasta; kiedy rozmawiają ze sobą, matka siedzi w pewnéj odległości i odwraca się, albowiem wstydzi się swego dorosłego syna" [2]). Na wyspie Św. Krzyża „odrębność pomiędzy płciami w życiu codziennem zaszła daleko, mężczyźni z kobiétami nigdy nie pracują pospołu, ani nie tworzą jednéj gromadki". Na pobliskiéj wyspie Nutilile „odosobnienie jest kompletne, mężczyźni i kobiéty nigdy nie są razem".

Wzięliśmy parę przykładów z terytoryów oceanu Spokojnego, gdzie owa odrębność pod niektóremi względami wydała nader jaskrawe wzory. Ale spotykamy ów zwyczaj wszerz i wzdłuż globu ziemskiego i cała różnica polega jedynie na stopniu jego napięcia. Kobié-

---

[1]) Ellis. „Polynesian Researches." London, 1830.

[2]) Codrington. „The Melanesians", str. 232.

tom nie wolno dotykać broni męskiéj, imać się ich pracy, przestępywać progów świątyni lub mieszać się podczas zabawy z zastępem męskim. Swojskie przesądy o tém, że spotkana po drodze baba wróży myśliwemu niepowodzenie, szwajcarski obyczaj, że kobiéty nie idą za pogrzebem, lub żydowski, że w bóżnicy obie płci zajmują odrębne miejsca, wszystko to są objawy szczątkowe, pochodzące z tego samego źródła. Dodajmy nawiasowo, że owo wyodrębnienie bynajmniéj nie znosi takich związków małżeńskich, które posiadają na sobie charakter zbiorowy. Nawet u Australczyków, wśród których Howitt odnalazł jeszcze tak pierwotne a bezładne obcowanie małżeńskie, nie spotykamy takiego stosunku towarzyskiego pomiędzy kobiétą a mężczyzną, jaki u nas istnieje. Prawo zwyczajowe ściśle określa chwilę, oraz sposoby zbiorowego małżeństwa i jeszcze ściśléj trzyma mężczyzn zdala od kobiét. Odrębność ta stwarza tam obozy męskie, w których żyje każdy mężczyzna jeszcze nie żonaty. Na wyższych szczeblach organizacyi społecznéj z tych obozów powstają kluby, pochłaniające w sobie życie każdego mężczyzny, który bywa jedynie gościem w domu żony. Np. Pelauzczyk w domu żony swojéj jest tylko gościem, nocą śpi w domu ogólno-męskim, bo tak zwyczaj każe, w chacie teściów nie dzieli nawet łoża z żoną, lecz musi udawać się do stojącego na ustroniu szałasu. Życie gromadzkie zabiéra mu czas cały i pochłania jego istotę, byt indywidualny rozpływa się w społecznym. A dzieje się to dopóty, póki własność indywidualna nie rozsadzi zupełnie pierwotnéj solidarności komunistycznéj.

Odosobnienie poczyna się z chwilą, kiedy ukazują się pierwsze oznaki dojrzałości męskiéj.

Z tym okresem życia łączą się pewne obrzędy, znane w etnografii pod nazwą wtajemniczania wyrostków w męzkość, a których znikomym i mocno przekształconym szczątkiem jest nasze bierzmowanie. Ceremonia wtajemniczenia posiada rozmaitą fizyognomię w odmiennych okresach ewolucyi społecznéj. Im poziom kultury jest wyższy, tém obrządek mniéj jest dzikim i krwawym. Na najwyższych szczeblach rozwoju ma on na widoku jedynie cele religijne, jest aktem przymierza z bogiem plemiennym i utracił swoje krwawe rysy. Ale na najniższych przeraża nas wprost swoją dzikością. Howitt i inni badacze bytu australskiego zebrali w téj mierze bardzo obfity a pouczający materyał. Okrucieństwo i surowość przechodzą wszelkie wyobrażenie. Wszerz i wzdłuż lądu australskiego ci, którzy mają być wtajemniczeni, bywają ciężko doświadczani. „Podczas trwania ceremonii młodzieniec przebywa ciężkie próby, lecz nikt nie okazuje mu współczucia. Odprowadzają go do naznaczonego miejsca i tam golą włosy

zaostrzonym krzemieniem, następnie głowę obmazują gliną... Zostaje odziany strzępami skóry oposuma, które pokrywają jedynie środek ciała; tułów zostaje oblepiony gliną, mułem, popiołem i błotem. A chociaż ceremonia odbywa się zwykle podczas zimy, kiedy bywa bardzo chłodno, przecież młodzieńcowi nie wolno okryć się skórą. Pod ramieniem trzyma on koszyk, zawierający w sobie glinę, popiół i błoto. W takim stanie błąka się on po obozie dniem i nocą, wołając głośno: *tib - bo - bo - but.* Idąc, zbiéra błoto. Nikt nie odzywa się do niego, nikt nie wyraża swego współczucia, wszyscy stronią od niego. Kiedy ktoś wychodzi z *miamu*, rzuca on nań błotem, lecz nie może wejść do żadnego szałasu, ani nie wolno mu obryzgać kobiéty, dążącéj po wodę. Kobiéty i dzieci wrzeszczą, kiedy go zobaczą i uciekają, by schować się do szałasu" [1]).

Słowem, młodzieniec jest jakby wygnańcem z własnego społeczeństwa. Ale wtajemniczenie, powyżéj skreślone, o ile mi się zdaje, uległo już niejakiéj zmianie pod wpływem warunków, jakie nastały w Australii z najazdem białego człowieka. W większości wypadków bowiem ceremonia jest daleko boleśniejsza, wygnanie zaś surowsze. Młodzieniec w ciągu siedmiu lub ośmiu miesięcy żyje w stanie zupełnego odosobnienia, spożywa jedynie nakazany a nader skąpy pokarm, jest wyłączony od wszelkiego stosunku z plemieńcami, za wyjątkiem starców, którzy nad nim czuwają. Wybicie zęba i inne cięższe rany przyuczają go do cierpliwego znoszenia bólu, posty do powściągliwości. Owa samotność jest bardzo surową próbą; gdyż znane są wypadki, że młodzieniec, po przebyciu doświadczeń, był bez sił i niekiedy napół martwy.

Znając w ogólnych rysach charakter wtajemniczania, winniśmy obecnie zaznaczyć pewną właściwość téj ceremonii. Mianowicie duch ceremonii w każdorazowém jéj ukształtowaniu stoi w pewnéj zawsze sprzeczności z rytuałami. Cele, jakie ceremonia zamierza osiągnąć, odznaczają się silną zmiennością i są różne na różnych szczeblach rozwoju społecznego, w przeciwieństwie do strony obrzędowéj, która stanowi stateczniejszą a trwalszą część wtajemniczania. Rozpatrując się w téj, bardziéj zachowawczéj dziedzinie, znajdujemy w niéj sporo absurdów, t. j. szczegółów, które są albo bez żadnego racyonalnego wytłómaczenia lub zgoła nie potrzebne — z punktu widzenia celów ceremonii. Objaw to, powszechnie znany w nauce folklorystycznéj. Dlaczego, nie będziemy wyjaśniali, dość, że mamy zupełne prawo spoglądać na te absurdy, jako na szczątki dawniejszego okresu, kiedy cere-

---

1) Brough Smyth. „Aborigines of Victoria", t. I, str. 60.

monia posiadała inne znaczenie. Zrozumiałe a racyonalne ongi, szczegóły te z biegiem czasu, w miarę jak wtajemniczanie otrzymywało inne cele, stawały się mniéj lub więcéj niedorzecznemi. Podobne sprzeczności, chociaż inaczéj wyglądające, spotykamy w obchodzie ceremonii przez Australczyków. Ceremonia owa winna przyuczyć młodzież męską do wytrzymałości i wstrzemięźliwości, natchnąć ją szacunkiem dla przepisów moralności plemiennéj. Z tego punktu widzenia pojmujemy samotność i posty, są one w zgodzie z przeznaczeniem obrzędu. Ale, obok zrozumiałych rytuałów, napotykamy tam rysy zgoła zbyteczne i wprost niedorzeczne z punktu widzenia celów ceremonii; są one właśnie objawami szczątkowemi jeszcze wcześniejszego okresu, kiedy inne cele miano na oku. Przyjrzymy się tym rysom niedorzecznym w ceremonii australskiéj. Staną się one kluczem, który otworzy nam tajemnicę rodowodów ceremonii, oraz powyżéj skreślonéj odrębności pomiędzy płciami. Polegają one na rysach następujących:

1) Młodzież zostaje oddzieloną od swego plemienia, t. j. od kobiét i dzieci. Żadnéj kobiécie nie wolno widziéć ceremonii, ani wtajemniczonego młodzieńca. A ta niechęć, aby płeć żeńska dowiedziała się czegokolwiek o świętym obrządku, jest tak silna, że jeden z wodzów kurnajskich rzekł do Howitta: „gdyby kobiéta zobaczyła lub podsłuchała cokolwiek z téj nauki, jaką udzielamy chłopcom, zabiłbym ją". Mniemam, że my w Europie wiemy więcéj o obrzędzie wtajemniczania niż australki. Każda rzecz, należąca do młodzieży, w tym okresie jest dla kobiéty świętością. Ptak, zabity przez ich *waddy*, i kanguru, położony ich dzirytem, są zakazane kobiécie, nawet gdyby ktoś inny nie zaś młodzieniec użył broni. Młodzież jest przyjęta z powrotem do społeczeństwa dopiéro po wielu miesiącach; chociaż dopuszczona do plemienia przez starców, nie powraca do dawnych stosunków, żyje nie w tym samym obozie co rodzice i siostry, ale w innym, czysto męskim.

2) Młodzieńcy są wystawieni na głód i ciężkie doświadczenia. Jest to jeszcze zrozumiałém, gdyż zgadza się z celami obrządku. Ale zgoła niedorzeczne są operacye dokonywane nad nimi; odcinania stawów u ręki, wybijania zębów, obrzezania. Zwłaszcza obrzezanie jest bardzo powszechne i posiada bardzo ciężki charakter, forma, w jakiéj ono jest właściwe synom Izraela, wygląda bardzo łagodnie w porównaniu ze zwyczajami australskiemi.

3) Młodzież nic nie wié o chwili wtajemniczania. U plemion z nad rzeki Darlinga o wschodzie słońca rozpoczyna się pozorna bitwa celem ściągnięcia młodzieńców, wtedy ich łapią i niosą w zarośla. W środkowéj Australii znowu, na dany znak, wyrostek powinien krzy-

cząc uciekać z obozu i chować się w gąszczach. W ciągu bardzo wielu miesięcy jest on wygnańcem ze swego społeczeństwa.

4) Symbolizm obrzędowy wymaga, aby kobiéty oburzały się na porwanie młodzieńców przez starców. W plemieniu Dyjarów udają one smutek i lamentują, biją się ze starcami i bronią młodzieńców, rzucając na nich żar z ognisk dopóki nie zostaną odpędzone do *miamów* i zmuszone tam pozostać. Po téj pozornéj bitwie starsi wiekiem mężczyźni w ciągu nocy praktykują, jak powiadają naoczni świadkowie, najohydniejsze zwyczaje, wówczas kiedy kobiéty i dzieci, wyrzucane z obozu, uderzają o ziemię kijami i wydają okrzyki gniewu.

5) Jedynie starsi wiekiem mężczyźni kierują obrządkiem wtajemczania i widują młodzieńców. Znajdujemy tam szczególne i musimy dodać nadzwyczaj niedorzeczne — z punktu obecnych celów wtajemniczania — ceremonie. U plemienia z okolic portu Linkoln, podczas obrzezania starcy wpadają w gniéw, podrzucają kurz w powietrze, tupią nogami, rzucają się na młodzież z taką wściekłością, jak gdyby chcieli ich zdusić, chociaż jednocześnie zapewniają wyrostków, że im nie uczynią nic złego [1]). Pomiędzy plemionami Parkunijów i Burgyarlejów równie spotykamy pozorną bitwę pomiędzy starszém pokoleniem mężczyzn a wyrostkami; rzucają oni wzajemnie na siebie piaskiem, wreszcie młodzieńcy powalają starców o ziemię, którzy proszą łaski. Bitwa kończy się ogólnym tańcem [2]). W pobliskim znowu zakątku Australii starcy odwiedzają obóz wyrostków, którzy ustawiają się w rząd i wydrwiwają przychodzących. Na to starcy wpadają w gniéw, rzucają piaskiem na własną twarz, dzirytami zaś i bumerangami do młodzieńców, którzy zasłaniają się tarczami. Późniéj starcy walczą z młodzieżą, która powala ich na ziemię. Zwyciężeni wtedy cofają się z powrotem do obozu, ale po upływie pewnego czasu znowu przychodzą, godzą się i na dowód zgody tańcują z wyrostkami.

6) W ciągu trwania obrzędu, młodzieży są wpajane zasady dyskrecyi względem kobiét, nie spoglądania za cudzą żoną, nie korzystania z kobiéty spotkanéj w ustroniu i t. d.

Tak wyglądają fakty, wnioski zaś same rzucają się w oczy. Czyż te pozorne bitwy pomiędzy starcami z młodzieżą, znajdujące się w sprzeczności z dzisiejszym duchem ceremonii, nie są szczątkiem istotnych zapasów? czyż te obrzezania, ucinanie palców, wybijanie zębów i inne krwawe zwyczaje nie przedstawiają łagodnego objawu

---

[1]) C. W. Schürmann, str. 230, w „Native tribes of South Australia".

[2]) Bonneu. „On some customs of the Aborigines of the Darling River" w J. of Autsr. Institute, tom XIII.

szczątkowego po ranach poważniejszych? i po co ten płacz kobiét, sekrety i tajemnice przed niemi? Ceremonia wtajemniczania posiadałaby znaczenie i dopięła swoich celów bez tego wszystkiego! Otóż ogół faktów, które udało mi się nagromadzić, skłania mnie do wniosku, że kiedyś, w odległéj i zamglonéj przeszłości był okres, kiedy starcy tolerowali w hordzie jedynie obecność małoletnich przedstawicieli płci męskiéj. Kiedy malcy podrastali i kiedy z oznakami dojrzałości ukazywały się męskie instynkty, wówczas starcy zaczynali prześladować podrastających współzawodników i wypędzali ich z hordy. Niektóre z pośród blizn plemiennych, będących w użyciu pomiędzy dzikiemi szczepami, pochodzą z takiego źródła i są w teraźniejszości szczątkowym objawem po półzwierzęcéj dzikości, np. obrzezanie. Ceremonia ta posiada w wielu razach bardzo krwawą postać, w południowéj Afryce, jest połączona z utratą jednego *testiculum*. W środkowéj Australii jest tak ciężką, że nawet wojownicy wylewają łzy na widok cierpień młodzieńca; niektórzy zaś autorowie twierdzą, że wielu z pośród obrzezanych Australczyków nie są zdolni do posiadania dzieci, chociaż mogą spełnić obowiązki małżeńskie. Znajdziemy analogiczne fakty, kiedy będziemy badali społeczeństwa niektórych ssaków. Np. samcy guanaków wypędzają młodych samczyków z trzody, kiedy ci poczynają zbliżać się do samic; takimi téż musiały być zwyczaje ludzkiéj prahordy. A zatém ceremonia wtajemniczania powstałaby już w późniejszym okresie i byłaby kompromisem pomiędzy walczącymi samcami, obozy zaś męskie i kluby zostały powołane do życia, jako instytucya, która umożliwiała młodzieży pobyt w społeczeństwie, lecz jednocześnie regulowała jéj stosunki z drugą płcią w sposób korzystniejszy dla starego pokolenia.

Ludwik Krzywicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Na schyłku wieku”. Studyum przez Teodora Jeske-Choińskiego. Warszawa, 1894. Str. 267 in 8-o min.

Tytuł książki nic nie mówi o tém, coby się w niéj mieściło. Mógł go autorowi nasunąć francuski *fin de siècle*. Książka nie ma wykazu rozdziałów, ani przedmowy, któreby pozwalały lekkodusznym krytykom poprzestać na streszczeniu przedmowy i kilku pochwałach lub naganach. Jestto figiel autorski i łapka na krytyków, jak gdyby piszący chciał zmusić do czytania tych, co radzi przestają na bobrowaniu w cudzém mieniu. Więc czytaliśmy ją od deski do deski, chociaż, co prawda, w deski już dawno książek nie oprawiają.

Jest tedy książka p. T. J. Ch. krytyką literacką, przynajmniéj chce nią być; obejmuje zaś wzmianki o wielu celniejszych i mniéj celnych, zmarłych niedawno, lub żyjących autorach francuskich, angielskich, niemieckich, włoskich, skandynawskich, ruskich i nieco o polskich. P. Choiński jest zawziętym wrogiem pozytywizmu, ewolucyonizmu, materyalizmu i wyrazy te powtarzają się w książce jego na każdéj niemal stronicy. Daléj, jest p. Choiński niechętnym burżoazyi, semitom, a szczególniéj Żydom, ceni zaś idealizm, spirytualizm, umiarkowany konserwatyzm i t. d.

Od ogółu trzeba przyjść do szczegółów.

Książka, o któréj mowa, zawiéra trzy części zatytułowane: Przyczyny, Skutki, Reakcya. Rozdziałów oznaczonych liczbami rzymskiemi jest VII i Zakończenie.

Zobaczmy, co każdy z rozdziałów mieści: I-szy traktuje o pozytywizmie francuskim, ewolucyonizmie angielskim i materyalizmie niemieckim. Tu się zatém czyta nazwiska: A. Comte'a, E. Littré'go, Karola Darwin'a, Moleschott'a, Vogta, Büchnera, Haekla i dowodzi się że pozytywizm, ewolucyonizm i materyalizm mają wspólne zasady. Zdaniem p. Choińskiego, dzieła tych autorów stanowią przyczyny wszystkiego zła, jakie wynikło tak w literaturze, jak i w stosunkach społecznych na schyłku naszego wieku. Na ocenienie ich poświęcono stronic 16.

Rozdział II-gi traktuje o moralności niezawisłéj, mianowicie stają przed sądem autora: Littré, Spencer, Ferri, Lombroso, Buckle, Taine, Renan, Flaubert, Zola. Jedni z nich nabroili w etyce, drudzy w prawie karném, inni w historyi, w krytyce literackiéj, estetyce. Ocenie tych autorów poświęcono stronic 38. Jakkolwiek cała książka roi się paradoksami, w niniejszym II-im rozdziale zauważyliśmy parę ciekawszych, np.: „intuicya ma być to samo, co „prawa objawione i wrodzone" (19); jest to tłómaczenie ciemnego przez niejasne. Ganiąc Taine'a, że stosował metodę nauk przyrodniczych do przedmiotów z zakresu nauk humanistycznych, autor czyni takie refleksye: „Zarówno głupi jak mądry uczony (bywają i głupi uczeni) musi policzyć musze tyle nóg i skrzydełek, kwiatkowi tyle słupków i listków, jakiéj bryle kruszcu tyle ciężkości gatunkowéj, ile ich w istocie posiadają. Czy to będzie chemik utalentowany, albo też zwykły osieł uczony..." i t. d., ci mogą dojść do jednakowych rezultatów, posługując się tą samą metodą; ale usposobienia, cele, ideały człowieka, narodów, ludzkości — możnaż i te zjawiska poddać niezmiennéj metodzie badania?—pyta autor (37). Czemuby nie? Ale wyważać drzwi otwartych nie będziemy. Podobają nam się szczególniéj głupi uczeni i osieł uczony. Daj ich katu. „Trzeba być baranem—mówi p. Ch.—aby nie pomyśléć też czasem, co spowodowało wszechświat, skąd ta cudowna maszyna idzie i dokąd zmierza" (53). W istocie, osły i barany nie pytają o początek wszechświata.

Na tém się kończy część I-sza, a zaczyna część II-ga; tam była mowa o przyczynach, tu będzie o skutkach. Przyczynami złego były dzieła, które spłodzili rodzeni bracia: pozytywizm, ewolucyonizm i materyalizm. Jest to już ograna śpiéwka, któréj nie grywają obecnie, jakoby literaci sprawiali rewolucye. Tymczasem p. Ch. pisze: „Bez encyklopedystów francuskich nie byłoby t. zw. wielkiéj rewolucyi, niemieccy zaś piewcy wolności przygotowali pogrom Francyi w r. 1870" (83). Stanowią pisma niezawodnie jedną z wielu przyczyn, ale twier-

dzenie, że bez encyklopedystów nie byłoby rewolucyi francuskiéj, jest paradoksem, jeżeli nie gorzéj. Tak samo przypisywanie współczesnym autorom niedoli schyłku naszego wieku nie wytrzyma najpobłażliwszéj krytyki.

Ale oto część II-ga, a rozdział III-ci.

Zobaczmy skutki pozytywizmu. Najwięcéj odczuła je literatura piękna. Posługując się metodą pozytywistów, romansopisarze zamiast idealizować życie, podnosić człowieka do ideałów, zbiérali „dokumenta ludzkie", to jest występki, zbrodnie; zamiast psychologii, posługiwali się fizyologią. W rozdziale niniejszym tłómaczą się przed sądem pana Choińskiego Karol Bleibtreu, Henryk Ibsen, Teofil Gauthier, Karol Baudelaire, Teodor de Banville, Zola, Katul Mendès i pani Zapolska, czyli materyaliści, obiektywiści, naturaliści i parnasiści, tłómaczą się ze swoich powieści, dramatów, wogóle z utworów pięknych. Tłómaczenie się tych winowajców było słabe, gdyż tak na nich jak i na uczonych, których metodę naśladowali, padł werdykt potępienia, *guilty*. Wiadomo, że Zola uchodził dotychczas za ojca powieści naturalistycznéj; p. Ch. utrzymuje, że Flaubert. „Madame Bovary" Flaubert'a jest pierwowzorem kobiét naturalistycznych" (62). Nie znając się na tym fachu, nie wiemy, kto był pierwszym, Flaubert, czy Zola. Wogóle sąd p. Choińskiego o romansopisarzach, naturalistach francuskich ostatnich czasów jest ujemny; najsurowiéj jednak wychłostano Zolę. U nas autor ten znalazł naśladowczynię w p. Gabryeli Zapolskiéj, która „walała się bez wstrętu w kale materyalistycznym" (68).

W rozdziale IV-ym traktuje autor ten sam przedmiot. Naukę spółczesną, literaturę i prasę czyni odpowiedzialnemi za wszystkie łotrostwa ludzkie. To, co pisze o burżoazyi, mógłby podpisać Lassalle lub Marx (od str. 92—96). „Szumowiny wszystkich stanów spłynęły do kasty, zwanéj burżoazyą" (94). Żydzi dostają jeszcze tęższe cięgi (od str. 97—98). „Żyd stał się najgorliwszym pachołkiem nowéj nauki, wtargnąwszy gromadnie do prasy europejskiéj, opanowawszy główniejsze redakcye Warszawy, Berlina, Wiednia, Paryża i miast innych, siał na wszystkie strony zatrute ziarno negacyi... On to urządził chytrze powrzechną wyprawę przeciw chrześciaństwu..." (97). P. Choiński musi wiedziéć, że Aryusz, Gnostycy, Hus, Wiklef, Luter, Kalwin, Knox, Voltaire nie z Żydów pochodzili.

Oskarżenie to prowadzi autora przez asocyacyę idei do Brandesa (Izydor Kohn) estetyka duńskiego, który, „ilekroć się odzywa o szkołach, wcielających reakcyę uczucia przeciw rozumowi, tylekroć pieni

się z gniéwu" (99). Już-to nasz autor nie lubi rozumu i traktuje go w całéj książce jak „psa zdechłego"; reaguje przeciw temu ladaco zapomocą uczucia. Krytyka Brandesa, jak wiele innych krytyk autora, zdaje się pochodzić z innéj ręki, z *Revue des deux Mondes* (102). W takim razie mówi się: ten a ten ma słuszność; ja podzielam jego zdanie.

W rozdziale niniejszym, t. j. IV-ym uderzył nas paradoks następujący: „Ciężkiego grzechu przeciw idei postępu dopuszcza się nauka, oddając człowieka na łaskę i niełaskę praw natury" (85). Nie nauka poddaje człowieka prawom natury, tylko on się takim już rodzi. Żyje, rozrasta się i umiéra według praw natury. Z pod praw natury ten tylko mógłby się wyłamać, ktoby umknął po za naturę.

Przyjąwszy dobrowolnie na się posłannictwo krytyka literatury, p. Ch. jednak najbieglejszy zdaje się być w literaturze pięknéj, jéj bowiem najwięcéj stosunkowo do innych działów poświęcił miejsca i uwag w swojéj książce. Piąty jéj rozdział (V) traktuje o dekadentyzmie i jego przedstawicielach w literaturze spółczesnéj. Mamy tu więc króciutkie sylwetki takich autorów, jak: Karol Baudelaire, Anatol Baju, Paweł Verlaine, Maurycy Rollinat, Jan Richepin, Huysmans, Stendhal, Maurycy Barrès. Są to przedstawiciele francuskiego dekadentyzmu. Filozofem niemieckiego jest Fryderyk Nitsche. U nas dopiéro się zaczyna dekadentyzm; autorowie téj barwy (Ign. Dąbrowski, Leo Belmont, Zygm. Niedźwiedzki, Gabryela Zapolska) nachylają się już w stronę „fosforescencyi zgnilizny" (166). W Anglii reprezentuje ten kierunek Swinburne, a we Włoszech Józef Carducci modlący się do szatana (i t. d.).

U nas — mowi autor — „tracą nakazania moralne zgasłych pokoleń z każdym prawie rokiem na sile i wartości. Staczamy się z takim rozpędem z góry na dół, że nie rodzice, lecz starsi bracia młodszych zaczynają nie poznawać" (i t. d.). Trochę za czarno! Na ten lamentacyjny ton ciągnie się cała karta druku do str. 168. „I oto zbankrutował znów rozum ludzki" (i t. d.). Prawda! trzykroć, czterykroć prawda!

U p. Ch. rozum jest „pysznym buntownikiem, bo wszystkich doktryn materyalistycznych rodzicem jest pycha, a u dowcipkujących inteligentników warszawskich cynizm siedzi na cynizmie i pogania cynizmem" (i t. d.). Tak jest, mamy dekadentów, jak same te wyrazy świadczą. O dekadentach, parnasistach i tym podobnych istotach niech będzie dosyć. Przytoczymy tylko konkluzyą: „Chyba teraz czas nawrócić, jeżeli inteligencya współczesna nie chce się przenieść groma-

dnie do domów obłąkania lub do klinik kryminalnych" antropologów włoskich" (170). Widoki dla dekadentów niewesołe; ale jeżeli prawdą jest, co o nich pisze nasz autor i co zresztą łatwo poznać, z przytaczanych wyjątków rymowanych francuskich poetów ostatniéj chwili, należy się z nim zgodzić, że ludzie ci kwalifikują się do zakładu obłąkanych. Autor jednak nie zgodziłby się z nami, iż te majaki są wynikami lekceważonego rozumu.

Jesteśmy tedy w części III-éj, zatytułowanéj Reakcya. Przeciw zgniłym owocom pozytywizmu, ewolucyonizmu, materyalizmu, to jest przeciw prasie zżydzonéj i romansom dekadentów podniosła się reakcya w postaci spirytyzmu, neobuddyzmu czyli teozofizmu, okultyzmu, neochrześcianizmu i symbolizmu. Taki jest inwentarz rozdziału VI-go. Mówi się w nim o Allanie Kardec'u, Olcocie, *madame* Blawackiéj, panu Mallarmé, Janie Moréas, Karolu Morice i Maeterlincku.

Spirytyzm dostał się z Ameryki do Europy w r. 1852. Przy téj okazyi, ni stąd ni zowąd, dostaje cięgi Ameryka, ziemia „kupców, geszeftsmanów, robigroszów, w znacznéj części potomków przeróżnéj hałastry (!), która zbiegła za ocean przed sprawiedliwością starego kontynentu" (174). Co za znajomość Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj! Byliżby ci hultaje utworzyli takie państwo, które dzisiaj prześcigło stary kontynent? Trochę zastanowienia, a byłby autor nie napisał takiego nonsensu. Wiadomo tym, co się historyi uczyli, że głównie prześladowania religijne w Anglii za Henryka VIII-go, Maryi i Elżbiety zmuszały ludzi szukać siedzib za oceanem. Nie była to hałastra.

Wracamy do reakcyi, któréj pierwszym heroldem był spirytyzm. Pukające to głupstwo nie znajduje u autora łaski i słusznie; tylko przypisywanie go powodzeniu ewolucyonistów i pozytywistów jest mylne. Spirytyzm starszy jest o całe wieki od pozytywizmu, chociaż wówczas nazywał się inaczéj, trudnili się nim magowie, Chaldejczycy.

Drugim objawem reakcyi ku lepszéj przyszłości ma być neobuddaizm czyli teozofizm — nie w tym sensie, jakoby p. Choiński był obrońcą starego lub nowego buddyzmu, tylko że widzi w nim pragnienie czegoś wyższego — i sprawiedliwie dodaje, że chrześciaństwo wystarcza do wzmocnienia uczuć religijnych (197). Tymczasem *madame* Bławacka, matka nowéj teozofii, postawiła na czele swoich teoryi zdanie: „nie ma religii wyższéj nad prawdę". Otóż téj prawdy, zdaniem teozofów, nie daje chrześciaństwo, lecz buddyzm. Teozofia buddyjska szerzy się podobno niesłychanie szybko, wnosząc z ilości dzienników i stowarzyszeń, służących jéj za organa propagandy. Opisawszy bud-

dystyczne dążności, autor potrąca o krewniaków buddyzmu, okultyzm i mistycyzm w ogóle, a w końcu o źródle tych zboczeń umysłowych tak pisze: „Szukając światła współczesnego spirytyzmu, teozofizmu, okyltyzmu i mistycyzmu wogóle, należy nieco rozszerzyć definicyę człowieka, daną przez naukę pozytywizmu. Mędrcy drugiéj połowy bieżącego stulecia, począwszy od Comté'a, usiłowali okuć potomka legendowych tytanów w kajdany rozumu, jedynego według nich, prawowitego władcy na ziemi. Popełniwszy ten sam błąd, jakiego się encyklopedyści dopuścili, zbiérają obecnie te same owoce. Bo prawdą nie jest, aby rozum zadawalniał wszystkie potrzeby człowieka. Serce — świat uczuć, wyobraźnia dekoratorka smutnéj zawsze walki o byt — mają w życiu istoty myślącéj niemniejszy udział od niego" (189). Uwaga to słuszna, tylko nie będąca w związku z rzeczą, o któréj się mówi. Uczucia, wyobraźni nauka nie zaprzecza, tylko pragnie udział ich w pismach i życiu zredukować. Autor jednak zawziął się na naukę i rozum, a sam chce być „szampionem" uczucia. Wolno mu to, jak innym być szampionami rozumu; gniéwać się na nich za to, że chcą być rozumnymi, nie wypada.

Reakcya przeciw oschłości rozumu objawiła się téż symbolizmem w literaturze pięknéj. Ale czém jest symbolizm, autor nie może odgadnąć i twierdzi, że na to trzebaby być wróżbitą (192). Sami zaś symboliści mają się za braci rodzonych dekadentów *(symbolistes-decadents)* a za naczelnika szkoły uchodzi Verlaine. Jeden z symbolistów mówi, że pisarz powinien dawać tylko aluzye, sugestyonować przedmiot; drugi utrzymuje, że trzeba ludziom dać pamięć czegoś, czego nigdy nie widzieli; Maeterlinck głosi, że należy przywiązywać wagę tylko do tego, z czego nie możemy sobie zdać sprawy i t. d. Powtarzamy te błyskawiczne orzeczenia za autorem i dodajemy, że się rozum takich maniaków reakcyjnych nie obawia. W dramacie Maeterlincka „Siedm księżniczek czytamy" taki dyalog: Król. To on, to on. — Królowa. Gdzie on, gdzie on? Czy to on? Czyś to ty, czyś to ty? Chodź na górę, chodź na górę, chodź na górę... Och, och, och! Coś ty pomyślał, coś ty śmiał pomyśléć, Marcellusie, Marcellusie? Prędko, prędko, pójdź prędko i t. d.

Zaprawdę i w szopkach nie grają takich dramatów. Ma racyę, a nawet dwie racye p. Ch., że nie ma tu czego tak bardzo wielbić.

Siódmy (VII) rozdział obejmuje w dalszym ciągu uwagi o reakcyi na polu literatury pięknéj przeciw dawnym bogom materyalizmu i ewolucyonizmu. Z autorów zaś mamy wzmianki o takich mężach chwili obecnéj, jak: Alf. Daudet, Rabusson, Bourget, Leon hr. Tołstoj,

Melchior de Vogüé, Secrétan, Desjardins, Rod i Nordau, który chociaż-nie romansopisarz, ma niejakie względy u naszego krytyka z powodu negatywnych swoich sądów o niektórych zjawiskach literackich i społecznych.

P. Ch. widzi objawy reakcyi ze strony umysłów „jasnych" nieobałamuconych chorobliwym mistycyzmem, przez który rozumie spirytyzm, teozofizm i t. d. Jakież są tedy te umysły jasne, reagujące przeciw zwyrodnieniu literatury pięknéj? Najprzód Alfons Daudet reaguje w sztuce „Walka o byt", gdzie autor „usiłował zohydzić egoizm", a czego nie czynili „uczeni artyści".

Był to jawny protest przeciw zasadom całego kierunku (216). Rabusson w powieści „Człowiek dzisiejszy" wskazuje w swoim bohaterze „nieszlachetność egoizmu" — nietylko go ukarał, ale i ośmieszył (218). Bourget sympatyzuje z dekadentami na początku literackiego zawodu, nagle odmienił się w powieści „Uczeń". Chwali go p. Ch. za to, że naukę czyni odpowiedzialną za ludzkie przewrotności, twierdząc, że może być „zbrodniarką" (220). Szczególniéj podoba się naszemu krytykowi przedmowa Bourget'a do książki „Uczeń", która przynosi zaszczyt głowie i sercu Bourget'a" (223). Pisze w niéj Bourget: „Nauka chwili obecnéj, nauka szczera, skromna przyznaje, że po za granicami jéj analizy rozciągają się dzierżawy niepoznawalnéj" (i t. d.). Po „Uczniu" napisał Bourget „Fizyologię miłości nowoczesnéj" i okazało się, że jego nawrócenie było niestałe, gdyż „duszy w téj książce szukaliśmy daremnie".

W dziele „Ziemia obiecana", znów się poprawił i wnet się zepsuł w „Cosmopolis".

Krytyk ze smutkiem opuszcza beletrystykę francuską i zawraca na wschód Europy — przejście do téj wędrówki stanowi kilkanaście wierszy charakteryzujących pisarza. Oto one: „Zdaje się, że światło, które ogrzeje znów ludzkość na czas pewien, wróci jéj świéżość, młodość tym razem już nie we Francyi zabłyśnie. Złożą się na nie prawdopodobnie (słuszna ostrożność) inne ludy europejskie, może Słowianie do współki z Germanami". Co za radość dla nas. „Francya wypalona, wystudzona przez analizę, przesiąkła nawskroś egoizmem burżoazyi... nie może się zdobyć na programat dodatni" (224—5). Te nawet przebłyski, jakie dają się w niéj postrzegać, zawdzięcza wpływowi autorów ruskich, głównie Tołstojowi. Więc następuje kilka uwag o tym autorze i porównanie z francuskim Flaubertem, mianowicie „Anny Kareniny" z „panią Bovary". Obie upadają, ale autorowi więcéj podoba się upadek Anny (229). „Etyczna wyższość autorów ruskich nad

francuskimi, wyrównała Dostojewskiemu i Tołstojowi drogę nad Sekwaną" (231). Wpływ Tołstoja odbił się i w Anglii i w Niemczech, ale najmocniéj we Francyi. Mówią o nim dekadenci i symboliści, neochrześcianie i neokatolicy, czerpią z jego „Spowiedzi" i „Religii" prawie wszyscy młodzi beletryści paryscy" (246). Francuzom literaturę ruską dał poznać wice-hrabia de Vogüé w dziele *Le roman russe*, 1886. Temu autorowi znanemu p. Ch. poświęcił kartkę druku; innym, jak Sécretan, Rod, Desjardins, jeszcze mniéj. Oczywiście, kto na raz mówi o tylu autorach musi się ograniczać; ale téż i czytelnik mniéj ich poznaje.

Powrotna fala (t. j. reakcya)—mówi autor — ogarnia powoli nie samą tylko ojczyznę Voltaire'a i Comte'a. Bunt przeciw doktrynie pozytywno-ewolucyonistycznéj, przeciw bałwochwalstwu rozumu, wiedzy, ciała, przeciw panowaniu złotego cielca i bezczelności egoizmu odzywa się na całéj linii europejskiéj, tu słabiéj, tam silniéj" (253). Oj, ten rozum, ten rozum! Oj, ta wiedza, ta wiedza! Płatają one autorowi ciągle figle.

W tym nowym ruchu najmniéj udziału biorą Niemcy; u nich moralna reakcya przybrała nazwę antysemityzmu. Więc antysemityzm jest według naszego autora moralną (?) reakcyą? Kto chce być chrześcianinem, spirytualistą, możeż być razem antysemitą, lub podnosić antysemityzm, jako obudzenie się w chrześcianach zmysłu moralnego?

Na polu literackiém znalazł autor u Niemców tylko dwie książki mające dowodzić „powrotnéj fali" reakcyi: „*Rembrandt als Erzieher von einem Deutschen*", książka licząca w ciągu dwóch lat kilkadziesiąt wydań, oraz „Kłamstwa konwencyonalne" przez Nordau i tegoż „Zwyrodnienie". Ów „Rembrandt" ma być napisany c h a o t y c z n i e i nie wiadomo czego pragnie dla jutra (254). Pocóż go zaliczać do zwiastunów moralnéj reakcyi? Nordau jako pozytywista-lekarz — dlatego właśnie, że jest pozytywistą „rozumié przejściowość chwili, ale nie umié odkryć przyczyn tego straszliwego położenia" (255). Zresztą Nordau „jako Żyd (węgierski) nie chciał dostrzedz w mgławicach mistycznych i w neochrześcianizmie śladów nowego, dodatniego światopoglądu" (256). Musimy przyznać się do nieznajomości zasad neochrześcianizmu i nieudolności pojęcia, w czém ten mniemany nowy światopogląd jest dodatnim.

U nas reakcya moralna ma być wyraźniejsza niż u Niemców. Wyprzedziła nawet ruch francuski, mianowicie od r. 1880, gdy po-

wstał dwutygodnik „Niwa”, organ stronnictwa młodozachowawczego, noszącego nazwę reakcyonistów warszawskich (254). Autor pełnił w tém kole obowiązki „polemisty i krytyka”, jak sam nas o tém informuje. Teraz nie chce wojować, tylko godzić i dźwigać ludzkość z obecnego upadku.

Rzućmy jeszcze okiem na przebieżoną drogę. Autor, dając książce tytuł „Na schyłku wieku”, miał na myśli fałszywy pogląd, wyznawany i przez innych pisarzy, mianowicie, że żyjemy w epoce przejścia, któréj schyłek nacechowany zupełnym upadkiem literatury i obyczajów; że to epoka na wzór upadającego pogaństwa, reformacyi religijnéj lub rewolucyi francuskiéj; że po niéj ma się zjawić jakieś nowe odkupienie. Epoki są w książkach i to nie jednakowe dla wszystkich autorów; w rzeczy saméj historya nie odcina się tak wyraźnie, lecz rozwija powoli. To, co autor uważa za symptomata reakcyi moralnéj, za lat sto nie zwróci niczyjéj uwagi, a widziane z takiéj perspektywy będzie się nazywało nie epokową, ale zwyczajną reakcyą, tak jak i teraz się nazywa.

Pobudki autora uważamy za szlachetne. Bronić spirytualizmu, duszy ludzkiéj, moralności, słabych czyli jak p. Ch. nazywa motłochu, znaczy to bronić spraw szlachetnych. Ale natrząsać się z nauki, z rozumu, niepospolitych uczonych, jak Berthelot, traktować jako „żaczka szkolnego”, to rzecz mniéj szlachetna.

Język książki jest dość poprawny, żywy, czasami ordynarny, może to dla efektu, dla tężyzny. Wolelibyśmy nie spotykać takich wyrażeń, jak: uczony osieł, takich słów, jak: wykluczać, przydzielić, zwątpionych, nie wyjąwszy i t. d. *K.*

E. Renan. „Histoire du peuple d'Israël”, t. V, Paris, 1894.

Piąty tom historyi narodu żydowskiego stanowi zakończenie wielkiego dzieła Renana, rozpoczętego w r. 1887, konkluzyę epopei poczynającéj się od niewoli babilońskiéj i wiążącéj się łańcuchem historycznym z epopeą początków chrześciańswa, którą tenże autor dawniéj już w siedmiu tomach zobrazował.

Tom ten z dwóch składa się części: w pierwszéj — autor opi-

suje ostatnie lata samoistnego bytu Żydów, w drugiéj przedstawia ich pod panowaniem Rzymian, odtwarza postać Heroda, daje obraz szkoły Aleksandryjskiéj i środowiska, w którém urodził się Jezus. Gdy w pierwszych czterech tomach fantazya Renana rozsnuwała malowniczo przeszłość żydowską, opiérając się często na przypuszczeniach wskutek braku faktów, w tomie ostatnim mniéj hypotez, więcéj faktów pewnych, więcéj dokumentów.

Nic tak dobrze nie pokazuje, jak „Historya Żydów" Renana, czém jest siła idei, jak potężnie walczą one z wszelkiemi przeszkodami, stawianemi im przez bieg wypadków i przez wrogo usposobionych ludzi. „Naród wybrany", będący w czasach odległéj starożytności gromadą koczujących pasterzy, bojaźliwych, zagrażanych ustawicznie przez burze, deszcze i przez napady bandytów azyatyckich, żył głównie ideą, ideą wyrażoną w księdze Mądrości i wiążącą się z pytaniem: w czém leży źródło czynów moralnych, skąd wypływa pobudka do praktykowania cnoty? Izrael krążył około tego problematu i to stanowi jego sławę i wyższość nad innemi ówczesnemi narodami. Dalszy ciąg istnienia ludzkiego po śmierci zdaje się być potrzebny człowiekowi, zdaje się być prawdą *a priori*, lecz z drugiéj strony koniec jednostki z chwilą śmierci jest prawie oczywisty, jest prawdą *a posteriori*. Falujący pomiędzy dwoma temi prawdami i obdarzony najintensywniejszém poczuciem moralném Izrael, nie miał pod tym względem aż do czasu Machabeuszów spoczynku. Dzieła dawnych proroków są tylko ustawiczném szemraniem na niesprawiedliwość Jahweha, który nakazuje cnotę, obiecuje wszelkie nagrody, a nie wynagradza nikogo. Daniel znalazł rozwiązanie zagadki w zmartwychwstaniu. Autor księgi „Mądrości" widzi je w separacyi substancyalnéj duszy i ciała. Nie ma on pod tym względem żadnéj zupełnie wątpliwości.

Autor księgi „Mądrości" był osobistością pierwszorzędną w historyi religii. Zaznaczył on ważny zwrot w rozwoju religijnym. Pisarz ten pierwszy wygłosił w tłómaczeniu żydowskiém wyraźnie doktrynę nieśmiertelności duszy. Zmartwychwstanie i sąd ostateczny stały się akcesoryami bez wielkiego znaczenia, umieszczonemi na końcu czasów. Piekło zostało ustanowione i dzięki piekłu jedynie wyciągnąć można było z ludzkości pewien stopień moralności.

Z chwilą, gdy Judea dostała się pod panowanie Rzymu, była ona miejscem zesłania dla urzędników cesarskich, będących w niełasce, bez przyszłości. Do takich ludzi należał Herod, który sam nazwał się

wielkim. Stary ten Arab silny, wytrwały, inteligentny, niewolnik wdzięków kobiécych, w ciągu 39 lat swego panowania, zajmował się budowaniem fortec, świątyni żydowskiéj, kupowaniem niewolników, mordowaniem mieszkańców ujarzmionego kraju. Wznosił przytém ołtarze cezarowi i „bogini Romie". Żadna wyższa nie kierowała nim pobudka. Twardy, okrutny, namiętny, nieugięty, taki, jakim trzeba być, ażeby miéć powodzenie w zdemoralizowaném środowisku, widział we wszystkiém jedynie osobisty swój interes. Zdolny był do wszelkich poniżeń nawet, gdy chodziło o zadowolenie jego ambicyi. Był on, jedném słowem, bardzo ładném zwierzęciem, lwem, który budzi podziw swą szyją szeroką i gęstą grzywą, a którego nikt się nie pyta o poczucie moralne. Zabił swą żonę i swą teścię, kazał spalić kilku studentów za to, iż zerwali orła cesarskiego, umieszczonego nad wejściem do świątyni przez niego zbudowanéj, skazał na uduszenie dwóch swych synów, w chwili zaś śmierci polecił swemu katowi zabić syna najstarszego.

Śmierć Heroda nie dała pokoju ni bezpieczeństwa Palestynie. Archelaus i tetracha Antypas lubili upijać się i wznosić wówczas szubienice, pale i krzyże. Żaden z urzędników nie oburzał się na to, każdy jak Piłat „umywał ręce" od wszystkiego. Taki stan moralnego upadku i teroru przyśpieszył przesilenie stanowcze w narodzie żydowskim, wyczerpanym z cierpliwości, nie mogącym już dłużéj cierpiéć i płakać. Prześladowania nie ustawały. W październiku 29 r. po narodzeniu Chr. uwięziony został Jan Chrzciciel za ganienie konkubinatu Antypasa i Herodyady. Prześladowania nie uspokajały jednak chciwych męczeństwa Izraelitów.

Smutném było społeczeństwo żydowskie w czasie, gdy napisaną została księga: „Wniebowzięcie Mojżesza". Świątynia Salomona była wówczas miejscem handlu i intryg. Korupcya moralna doszła do najwyższego stopnia. Nie było już poetów, ani proroków. Doktorowie biblijni prowadzili bez końca czcze dyskusye ze swymi uczniami, z czego wytworzyła się pod nazwą „Halacha", prawdziwa scholastyka żydowska, która zajęła miejsce Biblii i stała się Talmudem.

Idee moralnego odrodzenia i rojenia apokaliptyczne stanowiły wówczas główne zajęcie tych, którzy uporczywie wierzyli w przyszłość. Już przed przyjściem Chrystusa utworzył się mały kościół z ludzi czujących przedsmak chrystyanizmu, przygotowywał się grunt dla przyjęcia oczekiwanego posiewu. Stary świat pogański zmęczony swym kultem zdawał się odczuwać jakąś nadzieję lepszych czasów.

Jakiś mesyanizm niejasny ogarniał umysły i serca. Wszyscy niezadowoleni i wszyscy idealiści kołysali się w swych marzeniach o lepszéj przyszłości. Sybilla aleksandryjska wyrzekła: „Bóg pośle ze Wschodu króla, który położy koniec wojnie nieszczęsnéj na całéj ziemi. Z nieba słodka spłynie rosa miodu wyśmienitego... Rozmnożą się wszędzie stada tłustych wołów, owiec i kóz... Wilki zmęczone razem z jagniętami skubać będą trawę górską..." Jakiś jasnowidzący wygłosił po grecku: „Ci, co czczą Boga prawdziwego i wiecznego, żyć będą w dziedzictwie; przez wieczność całą mieszkać będą w ogrodach kwiecistych raju i słodkim chlebem nieba gwiaździstego karmić się będą..." Widziano czas, gdy „łagodni ziemię posiędą". Na 50 lat przed narodzeniem Chrystusa religijne społeczeństwo, oczekujące zbawcy, gotowe było słuchać „Słowa". Jezus mógł się zjawić.

Ostatni rozdział „Historyi Żydów" nosi tytuł: *Finito libro, sit laus et gloria Christo* i stanowi syntezę całego dzieła, poświęconego przez autora chwale Chrystusa, będącego ośrodkiem obu testamentów: koroną starego i podstawą nowego. Rozdział ten tak pięknie jest napisany, że nie możemy go streścić inaczéj, jak przytaczając w całości główniejsze jego ustępy.

„Przerywamy tu nasze opowiadanie. Dalszy ciąg wypadków historyi Żydów do czasów Marka Aureliusza przedstawiony został w siedmiu tomach naszéj „Historyi początków chrześciaństwa". Historya judaizmu tak jest nieodłączną od historyi chrystyanizmu w ciągu dwóch pierwszych wieków naszéj ery, iż nie można opowiadać jednéj bez opowiadania drugiéj.

„Chrystyanizm jest wypadkową, mówiąc zaś w sposób cokolwiek antropomorficzny, celem judaizmu. Gdy chrystyanizm powstaje, judaizm trwa jeszcze, lecz jako pień uschły o jednéj gałęzi płodnéj. Odtąd życie uleciało z niego. Historya jego, choć bardzo jeszcze ciekawa, ma znaczenie jedynie drugorzędne, z ogólnego punktu widzenia...

„Nic nie ma w tém zdaniu, coby mogło zasmucać duszę izraelską najbardziéj przekonaną...

W całéj swéj pracy o początkach chrystyanizmu i o mozaizmie, od pierwszéj aż do ostatniéj kartki „Historyi Żydów", Renan pozostaje jednakim w swym sposobie widzenia. Sprzeczność jego umysłu widnieje w całém dziele. Staje on zawsze na dwóch krańcach swéj myśli, zostawiając pośrodku próżnię, jak gdyby chciał wstrząsnąć czytel-

nikiem przez uderzenie wynikające z zetknięcia się dwóch zdań przeciwnych. Dzieło Renana nie przestaje być pomimo to wielkiém. Na podstawie erudycyi filologicznéj i historycznéj wznosi się budowa lekka i kapryśna, piękna i pociągająca swym artyzmem niezwykłym, budowa ta jednak nietrwałą okazać się może w przyszłości i z całego gmachu podstawa jedynie pozostanie.

Dr. Antoni Złotnicki.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Antoni Małecki.* **Ludność wolna w księdze henrykowskiéj.** — Na 18-ém zebraniu miesięczném t. r. „Towarzystwa historycznego" wygłosił prof. Małecki odczyt pod powyżéj podanym tytułem, poczém odczyt ten został umieszczony w „Kwartalniku", III, 1894. Autor zajmuje się jako historyk ciekawemi kwestyami początków społeczeństwa polskiego, a w szeregu rozpraw, które tym studyom zawdzięczamy, staje teraz „Ludność wolna" — rozprawa tém ciekawsza, że zajmuje się, o ile to wogóle możliwe, pierwotną historyą chłopa polskiego. — Badania swe opiéra profesor Małecki głównie na t. zw. „Księdze henrykowskiéj", pochodzącéj z XIII w., w któréj odnajduje jednak kilka charakterystycznych śladów, rozświetlających prastare położenie społeczne części chłopów polskich. Są to t. zw. *heredes*, *liberi*, lub także *rustici ducis.* Między nimi a ludnością poddaną zachodzi wielka różnica społeczna; są to bowiem chłopi osiedleni na gruntach własnych, mający prawo dowolnego przesiedlania się i sprzedaży swych posiadłości — więc „ludzie wolni". — Wśród lasów lub pustek powstają jeszcze w XII w. wsi, jak Głąbowice, kolonia jakiéjś pobliskiéj osady wolnych chłopów, założona przez Głąba i ród jego. Podobnie Kwiatkowice, kolonia Głębowic, założona przez Kwiatka, wnuka Głąba; nad wielkim kompleksem pól i lasów, na którym późniéj aż 4 osady wiejskie powstały, „panował" ongi stary *rusticus ducis* Kołacz i siedział w grodzie po za rzeką Oławą; od niego to nosi nazwę wieś Kołaczowicowie i t. p. Wcale pokaźny szereg takich wolnych osad chłopskich przytacza prof. Małecki w swéj rozprawie, a pewnie—im daléj wstecz było ich daleko więcéj; w XIII w. jednak już są ci wolni chłopi objawem szczątkowym, natomiast zaludniają ich

wsi wyludnione, chłopi do gleby przywiązani, — poddani, częstokroć wychodźcy niemieccy; wszyscy z mniejszemi lub większemi obowiązkami wobec szlachty. — Wolni chłopi, o których istnieniu w pierwotnéj Polsce piastowskiéj miano dawniéj wcale niejasne wyobrażenia, występują w rozprawie prof. Małeckiego wyraźniéj, plastyczniéj niejako; szkoda, że autor ograniczył się na wyzyskaniu tylko źródeł polskich, a raczéj jednego z nich, stanowczo zaś zerwał z wszelką analogią z ościennymi krajami. Godzimy się z autorem na to, że wyrażenie *rusticus ducis* oznaczało nie chłopa, poddanego w dobrach księcia, ale chłopa, który był wolnym człowiekiem, a poddanym księcia nie w większéj mierze aniżeli drobny szlachcic—*miles;* godząc się zaś na to, mimowolnie przychodzą nam na myśl podobni chłopi w Niemczech — *reichsfrei,* z których opozycyi przeciw poddaństwu wyrasta powoli pierwotna, czysto chłopska Szwajcarya. Podobny obraz społeczny przedstawiają ówcześni chłopi wolni w Anglii; we Francyi *Jaquerie* jest wyraźnie ruchem chłopskim, a Dalekarlijczycy szwedzcy nader są podobni do niemieckich Szwajcarów. — Rozprawa prof. Małeckiego wykazuje, że „dziedzictwa tych chłopów wolnych w Polsce były dziedzictwami całych rodów, w których posiadaniu poszczególne wsi wolne znajdowały się. Zewnętrznym, pewnym wyrazem takiego wspólnego posiadania było to, że nikt z osady nie mógł części swéj bez zezwolenia „krewnych”, t. j. współrodowców, odprzedać lub darować; istniały jeszcze nawet wspólne gospodarstwa, ale tylko w obrębie bliskiéj rodziny, np. braci. — Stan taki, — który swoją drogą był w XIII w. już anormalny i wolni chłopi z biédy lub konieczności wsi swe sprzedawali, opuszczali, lub stawali się poddanymi okolicznéj szlachty i duchowieństwa — jest, zdaniem naszém, ostatnim szerszym wyrazem nie polskiéj, ale wogóle wszechludzkiéj organizacyi społecznéj plemiennéj z charakterem wspólnowładnym; fakt zaś, że organizacya ta w Polsce doszczętnie i wcześnie już w ostatnich swych resztkach zanika—nie przemawia, zdaniem naszém, za rodzimém pochodzeniem polskiéj szlachty, która nawet w „Księdze Henrykowskiéj” wygląda jakby żywioł napływowy, panujący i rozkładający do reszty plemienny ustrój pierwotnéj Lechii. Bez kwestyi czynniki rozkładowe istniały już w XII i XIII w. i po za działalnością szlachty i kleru; leżały one głównie w rozprzęganiu się pierwotnego wioskowego komunizmu i na inne, feudalne tory (feudalne w ogólnym tego słowa znaczeniu) spychały rozkład wolnych wsi i zanikanie wolnego chłopstwa. Prof. Małecki, który jest zwolennikiem rodzimych początków szlachty polskiéj, nie mógłby podobno tego zdania swego w pełni utrzymać,

gdyby był zechciał w omawianéj przez nas rozprawie wejrzéć — choćby tylko w obrębie „księgi henrykowskiéj" w przyczyny zanikania wolnego chłopstwa w Polsce XII i XIII w. Jest to z naszéj strony uwaga uboczna niejako, bo zresztą rozprawa „Ludność wolna" odznacza się zarówno ścisłością krytyczną, jak i dokładném wyczerpaniem przedmiotu, tyle dla dziejów społeczeństwa polskiego ciekawego.

K. J. Gorzycki.

= **Codex epistolaris** saeculi decimi quinti. Tomus III. Collectus opera dr. *Anatolii Lewicki.* Kraków, nakład Akademii umiejętności, 1894, in 4-to, str. LXXX i 665. — Dla lepszego poznania dziejów XV wieku przedsięwzięto jeszcze w r. 1876 osobne wydawnictwo, tak zwany „Kodeks listów", którego tom I-szy opracowali wtedy dr. August Sokołowski i Józef Szujski. Śmierć Szujskiego wywołała dłuższy zastój w téj publikacyi; zaledwie w piętnaście lat po pierwszym tomie ukazał się (1891 r.) tom drugi pod redakcyą prof. Anatola Lewickiego, który téż opracował i świéżo wydany tom III-ci, obejmujący okres czasu od 1446 do 1501 roku w 478 numerach, oraz „Dodatek" dokumentów przeważnie wcześniejszych, których się 109 nazbiérało w czasie pracy nad tomem niniejszym. Zgromadzone tu materyały czerpano w 22 archiwach krajowych i zagranicznych, a prof. Lewicki dla uzupełnienia ich sam odbył podróż do Drezna, Gdańska i Królewca, i obfity plon stamtąd przywiózł. Dzięki gorliwym zabiegom wydawcy, tom III-ci „Listów" przynosi mnóstwo rzeczy ważnych lub ciekawych, jak np. list Jana Husa do Jagiełły z r. 1429. Jedne zabytki uzupełniają dotychczasowe wiadomości nasze o powstaniu Świdrygiełły lub o staraniach celem zapewnienia korony czeskiéj dla młodszego Jagiełłowica; inne świadczą o istnieniu lennictw na Rusi Czerwonéj lub o konfederacyi szlachty tamtejszéj z r. 1436, która to konfederacya nie była dotychczas znana. Długie panowanie Kazimierza Jagiellończyka najbogaciéj, oczywiście, jest tu uposażone: szczegóły dotyczące wstąpienia jego na tron, potwierdzenie przez niego przywilejów, z którém się wcale nie śpieszył; stanowisko, jakie zajął względem ówczesnego rozdwojenia w kościele zachodnim, spory o rozdawanie biskupich infuł, kroki dążące do ograniczenia sądownictwa rzymskiego, poselstwo Goślubskiego do kuryi papieskiéj — oto sprawy, co do których mamy nowe wskazówki. Historya trzynastoletniéj wojny z Krzyżakami, jakkolwiek nie została pominięta, mniéj obficie jest tu reprezentowana, ze względu, że uczeni pruscy wiele już do niéj materyałów ogłosili, a inne także opublikują. Natomiast okres późniejszy, od ro-

ku 1467 do 1492, słusznie uczony wydawca uwzględnił w daleko znaczniejszéj mierze, gdyż do tego, mało znanego okresu, podaje listów i dokumentów 274, wielce ważnych. Dotyczą one sprawy biskupa Mikołaja Tungena, antagonizmu Macieja Korwina z królem Kazimierzem, stosunku do Czech, Krzyżaków, ces. Fryderyka i papieża Sykstusa IV. Następnie (r. 1476) działalność królewska uwzględnia bardziéj inne strony, inne sprawy. Wielki Nowogród i boje z Tatarami, rosnąca groźnie potęga Turków, pochłaniają jego uwagę. Okazuje się z naszych źródeł, że ową wielką wyprawę Olbrachta przygotowywał już ojciec jego, Kazimierz, który z tego powodu próbował dokonać zwrotu w swych planach dyplomatycznych. W związku z tém okazują się zawikłania pruskie, które się od r. 1489 aż do śmierci króla przeciągały. Wreszcie występuje kwestya objęcia tronu węgierskiego po śmierci Macieja Korwina. Oprócz tych ważnych faktów, które znalazły odbicie w obszerniejszych wiązkach dokumentów, nie mało tu jeszcze pada drobniejszych promieni światła na inne wypadki ówczesne. Wspomniano wyżéj o liście Husa, owóż do życia innego reformatora — Jana Ostroroga, autora znanego memoryału, mianowicie do jego uwięzienia w państwie Korwinowém, jest także przyczynek. Są ciekawe listy Jana, księcia mazowieckiego, weneckiego doży Jana Mocenigo, oraz korespondencya w sprawie krzyżaka Lichtenhayna, co, uciekłszy z dzierżaw Zakonu, szukał opieki u króla Kazimierza. Z aktów dyplomatycznych zaznaczamy tu traktaty mazowiecko-krzyżackie i akta rozejmów z sułtanem Bajazetem. — W krótkiéj notatce bibliograficznéj nie mogliśmy mieć zamiaru dotknięcia choćby jedném słowem każdego wypadku, o który ten bogaty zbiór dokumentów potrąca; poprzestaliśmy na wzmiance o tych tylko, na które sam dr. Lewicki w przedmowie, położonéj na czele, pewien nacisk kładzie. Z pomiędzy 587 numerów, olbrzymia większość, bo 500 z górą, nie była dotąd drukowana wcale. Uszykowane są one chronologicznie, dla niedatowanych, wydawca wskazuje datę prawdopodobną lub przybliżoną i dołącza potrzebne objaśnienia. — Korzystanie z dzieła ulatwiają wielce: spis chronologiczny dokumentów, indeks miejsc i osób wzmiankowanych w tym tomie, rejestr dygnitarzy i urzędników, wreszcie *Index rerum*. Wydanie jest bardzo staranne i poprawne. Zaznaczyć tu nie zaszkodzi, że dokument Jana Olbrachta, zamieszczony pod N-rem 404 w nowożytnéj pisowni czeskiéj, wydrukowany już był przed siedmiu laty w czwartym tomie *Cod. dipl. Pol.* przez dr. Mikołaja Bobowskiego (str. 190—192) według oryginalnéj pisowni tego zabytku.

= Dr. *Antoni Małecki.* **Studyum** nad bullą Inocentego II-go z roku 1136, wydaną dla arcybiskupstwa gnieźnieńskiego. Poznań, 1894, 8-vo, str. 53. — Najdawniejszy ten zabytek archiwalny, dochowany w oryginale, zajmuje nadzwyczaj ważne, wyjątkowe, rzec można, w dyplomatyce naszéj stanowisko, chociaż spisany został daleko za granicami kraju, bo we włoskiéj Pizie. Nie dziwić się przeto, że tak poważny badacz, jak dr. A. Małecki, poświęcił mu osobne a bardzo interesujące studyum. Autor uważa, że bulla powtórzyła dosłownie materyały przesłane z kraju do kancelaryi papieskiéj, — i rozkłada one na dziesięć osobnych części, wyróżniając przytém cztery ustępy, które, według p. Małeckiego, w niewłaściwe dostały się miejsca. — Potém następują obszerne uwagi, odnoszące się do całych ustępów lub do objętych niemi szczegółów. Zastanawia się tu autor nad znaczeniem wyrazów *plenariae decimationes*, i początkowe ukształtowanie ciężaru dziesięciny obszernie roztrząsa. Podobnież poddane zostały szczegółowemu rozbiorowi inne wyrażenia techniczne, jak np. *juriditio* i *jurisdictio*, co do których być może krytyka zrobi jakie zastrzeżenie. Ciekawe są wywody co do charakteru władzy arcybiskupiéj i terytoryalnego jéj zakresu w kasztelaniach Żnińskiéj i Łowickiéj. Nie mogąc się wdawać tu w szczegółowy ich rozbiór, zaznaczymy mimochodem, że tekst przywileju z r. 1210 nie mówi wyraźnie o wsiach Łowickich (słowa bowiem tam użyte mogłyby się stosować również do wsi arcybiskupiéj w Łęczyckiém lub na Kujawach), układ zaś zawarty w r. 1359 (Kod. W., Nr. 1402) „*super quibusdam articulis*" nie dotyczy saméj własności wsi, lecz główszczyzny i kary za gwałty, daléj klątwy i interdyktu, wolnego handlu i przejazdu, wreszcie zbiegłych poddanych, krótko mówiąc, akt ów da się porównać do traktatów międzynarodowych, regulujących jurysdykcyą pograniczną; z tego jednak nie wypływa wprost, żeby w obrębie kasztelanii Łowickiéj znajdowały się wsi książęce i rycerskie. Wielkie lasy, otaczające niegdyś kasztelanię, karczowane z obu stron, w ciągu trzech z górą wieków, zmniejszyły się, a miejscami całkiem znikły. Trzebienie jednak, nie ujęte żadną regułą posuwało się w puszczę niejednomiernie: tu siekiera rycerstwa okazała się czynniejszą, tam znowu arcybiskup, jak np. Jarosław, okazał wielką zabiegliwość w osadnictwie nowych wsi (o czém mówi Janko, patrz MPh., II, 673), gdzieindziéj wreszcie kmiecie książęcy wrębywali się w puszczę głęboko, a krok w krok za tą trzebieżą wyciągały się obszary własności tego lub owego pana. W ten sposób granica kościelnéj kasztelanii (Łowickiéj czy Żnińskiéj), pierwotnie zamknięta zaokrąglonym mniéj więcéj zielonym wiankiem puszczy, przybrać mogła po latach wielu kierunek

dziwaczny, jaki obecnie, badając tę rzecz na dzisiejszéj mapie, spostrzegamy. Oczywista, że w tak zbliżoném sąsiedztwie spory różnego rodzaju musiały się mnożyć i że za pomocą układów, podobnych do zawartego w r. 1359, koniec im położyć usiłowano. Tak się kwestya ta przedstawia piszącemu, który przecież przeczyć w całości wywodom d-ra Małeckiego nie zamierza, owszem, doniosłość onych wielką uznaje.

= *Jozef Jankowski.* **Siostra Łucya i inne poemaciki** (T. H. Nasierowski). — Józef Jankowski w generacyi dzisiejszych poetów odznacza się jako naśladowca Heinego. W jego pierwszym zbiorku *Staccato* znajduje się kilka strofek tak zręcznych, że i sam Heine-by się ich nie powstydził.

46. Anioła zesłał pan na ziemię,
By zbadał ocznie sam —
Czy miłość kwitnie między ludźmi,
I czy jest szczęście tam.
I gdy przed Pana wrócił jasny,
Spełniwszy zleceń kres —
Bez słowa zakrył twarz skrzydłami
I spłynął w potok łez.

47. Perłę zgubiło dziewczę swawolne,
Więc płacze rzewnie po niéj
I szuka wszędzie:—z modrych oczu
Za łezką łezkę roni...
Dziewczyno moja! to widzę, głowę
Straciłaś w tym kłopocie.
Perełki jednéj szukasz maleńkiéj
A gubisz — pereł krocie...

Pominąwszy niektóre bardzo drobne usterki techniczne, sądzę, że zacytowane ośmiowiersze dobrze wróżą o poecie. W téj małéj książeczce objawia się on niemal cały: jest to jakby powiedział Libelt — talent żeński, tkliwość połączona z ironią, dosyć ciasny zakres natchnienia, głównie w sferze erotycznych zawodów zamknięty, wreszcie ciągłe czerpanie z rozmaitych źródeł obcych; forma elegancka, pieściwa, wygładzona, lecz nikła i niewyrazista. Pięć drobnych poemacików: „Smutny rycerz", „Siostra Łucya", „Kamienne serce", „Chore dziecko", „Śpiąca królewna"—składają się na nowy tomik J. Jankowskiego. — „Smutny rycerz" i „Kamienne serce" przypominają manierę Heinego, „Śpiąca królewna" — to niby Asnykowska „Baśń tęczowa", „Chore dziecko" — to akord z „Pielgrzymki do Kevlaar." Ten brak samodzielności zdaje mi się głównym zarzutem, jaki poecie uczynić można; wszystko u niego wypływa z jakiéj rzeczy dawniejszéj, znanéj i gotowéj w książkach; krępuje to swobodę Jankowskiego i powstrzymuje rozmach jego fantazyi, znać téż u niego wszędzie pewne jakby umyślnie miarkowanie uczuć — i niedomawianie myśli. — Najoryginalniejszym utworem wydaje mi się „Siostra Łucya", jest to historya młodéj siostry miłosierdzia, którą kiedyś opuścił narzeczony i z któ-

rym znów po 10-ciu latach spotyka się dziewica w szpitalu, gdzie ten — poeta z zawodu — przebywa jako chory na zapalenie mózgu. Kiedy wreszcie doszedł do przytomności i spojrzał na siostrę Łucyę, nagle cała przeszłość w nim odżyła i w jednéj chwili wpadł w obłąkanie. — Rzecz cała opowiedziana wierszem śpiewnym i spokojnym, jakby religijnym; pierwiastek ironii, stały u poety, w tym poemaciku prawie nie występuje; tu raczéj autor cały się pogrążył w tkliwéj stronie swéj duszy i wiele uczucia wlał w swoje rymy. — W „Smutnym rycerzu" i pozostałych utworach niemało téż znajduje się rzeczy pięknych i wogóle cała książeczka czyni wrażenie nadzwyczaj miłe i czyta się bardzo przyjemnie. J. Jankowski jest to przedewszystkiém liryk uczuć łagodnych i cichéj, zrezygnowanéj melancholii; ziarnko sceptycyzmu i ironii stanowi sól i przyprawę tego nastroju: wybuchów gwałtownych, siły potężnéj nie znajdziesz u niego. Jest natomiast wiele pierwiastków sympatycznych i odczuwanie cierpień serdecznych czy to dziewczyny, którą opuścił kochanek, czy téż matki, która dziecko straciła. — Najwdzięczniejszém wydaje mi się „Chore dziecko" i pozwolę sobie dla charakterystyki autora streścić ten utwór. Mała dziecina leży chora w łóżeczku, kołysząc się ciągle nadzieją, że wyzdrowieje; matka jednak wątpi i pomimo wiosny, pomimo odrodzonego w majowém słońca życia — obawia się, że śmierć jéj dziecko zabierze; dlatego zasyła gorące modły do Najświętszéj Panny.

Nad ranem przyszli do izdebki
Śnieżyści dwaj anieli —
I u wezgłowia stron obu
Zasiedli przy pościeli.
I błyszcząc skrzydły srebrzystemi
W pomroce ranka ciemnéj
Na oczy dziecka rozemknięte
Zwiewali sen przyjemny.
A gdy usnęło, wraz zwinęli
Swój namiot śnieżnopióry —

I duszę dziecka z pieśnią cichą
Unieśli, hen — do góry...
Gdy do łóżeczka przyszła matka
O rannym dzionka świcie —
W pokoju wiecznym uśmiechnięte
Leżało martwe dziécię.
Twarzyczka tylko nieco zbladła
I usta posiniały...
Zasnęło, marząc o kwiateczkach
I o sukience białéj...

Wydanie zbiorku jest w całém tego słowa znaczeniu gustowne: papiér piękny, druk czysty, forma wdzięczna, winietki ze smakiem dobrane w złotych i złoto-zielonych kolorach wyciśnięte. *A. L.*

= *Fr. Coppée.* **Poezye** (Warsz., 1894, Nasierowski).—Coppée jest Wiktorem Hugo małomieszczaństwa, a narodził się on z tego nerwu

ojca poetów francuskich, którym wielki marzyciel odczuwał cierpienia maluczkich. Tylko że Wiktor Hugo był to olbrzym i patrzał na wszystko maleństwo przez szkło powiększające i ogniem bengalskim je oświecał, a choć wychwalał zdrowy rozsądek „tego boga, co jeździ na osiołku", to jednak, zdaje się, sam mało go posiadał. I pod tym względem właśnie Coppée przewyższył Wiktora Hugo; gdyż on stale osiołka wybrał sobie za rumaka; dlatego też ogromność Wiktora Hugo u Coppéego przeszła w stan trzeźwéj, łagodnéj, miłéj, dobrodusznéj małości. W jednym ze swych poemacików Coppée, opisując parę poczciwych staruszków, powiada: *ils boivent du cassis, innocente liqueur*. Takim niewinnym likierem jest cała poezya Coppée'go. Czuł widocznie poeta ową niewinność swych utworów i chcąc je nieco ujaskrawić, przeniósł się w legendy dziejowe, które są naśladowaniem Legendy wieków i nie stanowią charakterystycznych utworów Coppée'go. Do najpiękniejszych jego zbiorków zaliczają krytycy *Intimités* — zwierzenia serdeczne poety. Świéżo wydany zbiorek poezyi Coppée'go zestawia utwory wszystkich kategoryi i w ten sposób usiłuje stworzyć całkowity obraz jego twórczości. Oczywiście może się to odbyć tylko w miniaturze, a dobór nie zawsze zdaje mi się trafny; zawiele zwłaszcza legend perskich, chińskich, indyjskich, a zamało tych właśnie mieszczańskich opowieści, w których celuje Coppée. Z *Intimités* podano tylko jeden — „Jesień". Tłómaczenia są pióra różnych pisarzy, a pierwsze miejsce w ich szeregu zajmują: Wł. Zagórski i St. Rzętkowski; najudatniejsze zaś są przekłady: „Błogosławieństwo" i „Romans Joanny". Bardzo piękne są również przekłady Szymanowskiego, któremu tylko można zarzucić, że pisze zbyt gładko. Daléj, jako tłómacze figurują: Aksel, Chamiec, Korwin, Wł. Nawrocki i p. T. Prażmowska. Wydanie pod względem zewnętrznym staranne i dla oka przyjemne. Korekta dosyć dokładna, choć są i usterki („czekaż" str. 61, na str. 63 *aż* nie potrzebne). Zbiorek poprzedza wstęp, treściwie przedstawiający działalność Coppée'go. *A. L.*

= *D-r Ph. Tissié.* **Les Rêves, physiol. et pathol.** Paris, F. Alcan.—Sprawa marzeń sennych należy zarówno do psychologii, jak i do fizyologii. Medycyna już oddawna zwraca uwagę na badanie snów, a w ostatnich czasach nowe odkrycia porobione w dziedzinie stanów sennych patologicznych, znacznie powiększyły i sam materyał badania i wagę teoryi, jakie z tych badań wypływały. Świéżo bardzo treściwe i przenikliwe dzieło w tym przedmiocie wydał d-r Ph. Tissié,

lekarz w Montpellier, który już przedtém odznaczył się, jako psychiatra i ogłosił ciekawą książkę p. t.: *Les aliénés voyageurs*. Obłąkaniec-wędrownik jestto lunatyk, który we dnie i w nocy porusza się pod wpływem jakiéjś urojonéj przyczyny; jest to człowiek shypnotyzowany tą przyczyną i który nie może wydobyć się z pod jéj wpływu. Studya swoje oparł d-r Tissié na wielu bardzo doświadczeniach, przeważnie jednak na obserwacyi jednego osobnika, niejakiego Alberta, który stanowił najdoskonalszy typ somnambulika dziennego. Ten Albert był również główną osią wszystkich badań d-ra Tissié nad zjawiskami rojeń sennych i połowa nowéj książki jego poświęcona jest Albertowi. Książka dzieli się na trzy części: w pierwszéj mówi autor o powstawaniu snów, w drugiéj o wpływie marzeń na ideacyą i na działanie nasze we śnie i na jawie, w trzeciéj podaje strzeszczenie i wnioski swoich badań. Jaźń ludzka, podług Tissié'go, jest dwojaka: zmysłowa *(sensoriel)* i jelitowa *(splanchnique)*, albo inaczéj mówiąc, istota zwierzęca człowieka i istota roślinna ma swoje własne ja, które na jawie się zaplatają, a we śnie rozchodzą. *Ja* zwierzęce odpoczywa, *ja* roślinne czuwa bezustannie; we śnie ono góruje nad nami, ono kieruje temi wrażeniami, które bardzo łagodnie dochodzą do naszych uśpionych zmysłów — i w roślinny niejako sposób tłómaczy te wrażenia. Z tego roślinnego wykładu wrażeń zewnętrznych i wewnętrznych — wynikają senne widzenia i wszystkie ich nielogiczności i osobliwości. Sen dzieli autor na trzy kategorye: sen fizyologiczny, patologiczny i hypnotyczny. Sen fizyologiczny może być pochodzenia czysto zmysłowego, t. j. powstawać pod wpływem wrażeń dotyku, słuchu, powonienia i t. d.: wrażenia te przyćmione i osłabione, dochodzą do naszéj świadomości również przyćmionéj. Sen fizyologiczny pochodzenia psychicznego, jest sprawą działania pamięci, wzruszenia, podniecenia, zapomnienia, przypomnienia, wreszcie pewnego opętania. Wówczas powstaje zmora — jakaś duszność, połączona z osłabieniem krążenia krwi. Kojarzenie pojęć, dźwięków i obrazów oczywiście gra we śnie jedną z ról najważniejszych. Sen patologiczny zdarza się najczęściéj w chorobie, albo przed chorobą, jako jéj zwiastun. Cierpienia płuc, żołądka, nerwów, wywołują odpowiednie widzenia senne. Z nich to wynikają przerażenia nocne u dzieci, którym téż dokuczają t. zw. robaki. Gorączka, histerya, zatrucie narkotyczne — budzą sny chorobliwe. Czasami działa natura gruntu: jestto t. zw. telluryzm, czyli pewien pierwiastek jadowity, w danym gruncie zawarty, a który masowo poddaje widzenie zmory (np. w niektórych zamkach zaklętych widzenie dyabłów, duchów lub czarnego psa wynika z tych przyczyn).

Medycyna ostatniemi czasy zaczęła bliższą uwagę zwracać na sny, które zwiastują chorobę (np. ktoś marzy, że ma nogę kamienną; w parę dni potém zostaje sparaliżowany) Daléj bada autor sen hypnotyczny i widzi w nim tylkoześrodkowaną przemianę snu fizyologicznego. Sen nie przechodzi bynajmniéj bez śladu w naszém życiu. U jednych mniéj, u drugich więcéj, wpływa na działanie zewnętrzne; przetwarza się czasem w halucynacye lub prowadzi do somnambulizmu. Somnambulizm dzienny — zjawisko nowobadane — studyował d-r Tissié na wzmiankowanym Albercie. Był to nader ciekawy osobnik, który pod wpływem sennego rozkazu (np. podróży do Belgii lub Niemiec) działał jakby z konieczności logicznéj i udawał się w podróż: w ten sposób całą niemal Europę zwiedził, zawsze bez grosza, bez dokumentów, bez środków, zawsze przytrzymywany, jako włóczęga i odstawiany etapem, a zawsze dla jakiéjś bardzo ważnéj przyczyny (odszukanie kogoś, znalezienie roboty i t. d.). O Albercie powiedzieć można, że wiecznie żył we śnie — i że nigdy nie był przebudzony. Najciekawsze badania nad Albertem były te, w których d-r Tissié wypytywał go o podróże naprzód w stanie jawy, a potém we śnie hypnotycznym. Okazuje się, że na jawie pamięta Albert jedne rzeczy, we śnie hypnotycznym inne; okazuje się przytém, że przechodzi on kolejno od snu fizyologicznego do halucynacyi, od halucynacyi do snu hypnotycznego, wreszcie wpada w somnambulizm. Czasami się budzi i kiedy mu opowiadają o tych wypadkach, przypomina je sobie i mówi: Musiało mi się śnić to wszystko... Samosuggestya téż nie małe ma znaczenie w oddziaływaniu snu na rzeczywistość. Z badań d-ra Tissié wynika analogia i jedność różnych rodzajów snu, oraz skala stopniowania potęgi sennéj—idąc do snu zwykłego, do hypnotyzmu i somnambulizmu. Stosunek nie jest bynajmniéj prosty i autor bada go w najrozmaitszych zestawieniach: w stosunku do snów psychicznych, do halucynacyi psychozmysłowych i psychojelitowych, w rozdwojeniu osobowości, w suggestyi i autosuggestyi, w przypomnieniu; innemi słowy d-r Tissié wprowadza zasadę monistyczą do dziedziny nauki o sennych widzeniach. — Przedmowę do dzieła d-ra Tissié napisał p. Azam, mówiąc w końcu: *C'est travail solide et intéressant.* *A. L.*

= **La vie nationale**. Bibliothèque des sciences sociales et politiques, dirigée par M. M. Ch. Benoist et Andre Liesse. Paris. I, Ch. Benoist. La politique. 1894.—Pod powyższym tytułem ogólnym rozpo-

częte zostało wydawnictwo, mające objąć w przystępnym i zwięzłym wykładzie wszystkie główne gałęzie życia narodowego politycznego i społecznego Francyi. Wydane lub zapowiedziane są następujące dzieła z téj seryi: Benoist, *La politique* (wyszło); G. François, *Le commerce* (miało opuścić prasę 25 maja r. b.); A. Liesse, *La question sociale*; Léon Say, *Les finances*; Edouard Aynard, *La Banque*; F. Picavet, *L'éducation*; P. Chailley-Bert, *Les colonies*; Yves-Guyot, *Les Traveaux publics*. Prócz tego w programie umieszczone są zagadnienia, mające stanowić treść następujących tomów; są to: prawo i prawodawstwo, państwo i kościół, obrona kraju, sprawy zewnętrzne, instytucye miejscowe, rolnictwo, hygiena publiczna. O ile sądzić można z pierwszego tomu, który mam pod ręką, wydawnictwo to traktuje wprawdzie zagadnienia na gruncie czysto francuskim i zastosowaniem do chwili bieżącéj, innemi słowy, ma cel praktyczny — oznajmia czytelnika z różnorodnemi objawami życia narodowego, z któremi on ma bezpośrednią styczność, jednak wykład oparty jest na podstawie teoretycznéj, uwzględniającéj najnowsze wyniki wiedzy. Przez to wydawnictwo staje się interesującém nietylko dla Francuzów. „Przyznać każdemu, co mu się należy, zabezpieczyć każdemu działalność w słusznych granicach, ustanowić sprawiedliwy stosunek między potrzebami życia osobistego, a wymaganiami życia społecznego,—oto prawdziwy cel polityki". Tak określa autor zadanie swojéj umiejętności we wstępie. Z trzech części, stanowiących książkę, dwie pierwsze odpowiadają mniéj więcéj ogólnéj części prawa państwowego, mają jednak podkład więcéj historyczny i socyologiczny, niż teoretycznie prawny. Część pierwsza traktuje o społeczeństwie, narodzie, państwie i rządzie. Społeczeństwo jest faktem naturalnym" — powiada autor, często powołujący się tu na studya Maine'a o pierwotném społeczeństwie, na przyrodniczo-polityczną pracę Bagehota [1]), oraz na czysto prawnicze „Zasady polityki" Holtzendorffa; odrzuca on w ten sposób wszelkie teorye prawne, oparte na pojęciu umowy społecznéj. Ta niechęć do teoryi umowy, wspólna większości spółczesnych polityków realistów, polega na dogmatyzacyi faktu i na pomieszaniu teoretycznéj hypotezy, jako podstawy do wywodów, z faktem historycznym. Już Kant bowiem zauważył, że umowa społeczna nie potrzebuje być faktem historycznym, aby zostać podstawą wywodu praw obywatela i stosunku władz. Pomijam nieco długie i nie zbyt (a raczéj zanadto) ścisłe określenie społeczeństwa. Naród określa autor jako „społeczeństwo, które, 1) usta-

---

[1]) Naukowe prawo rozwoju narodów, po polsku pod niedokładnym tytułem „O początku narodów". 1875.

nawia się i trwa w téj saméj formie, na tém samém terytoryum; 2) które jest autonomiczne, politycznie niezależne w stosunku do społeczeństw ościennych; 3) posiada zbiorowość wspólnych tradycyi, historyę, która go czyni narodem, wyróżniając od innych; 4) ma organizacyę polityczną (str. 21). Państwo zaś określono, jako osobę moralną narodu, wcielającą się w instytucyę i trwającą w nich, obdarzoną prawem i siłą przymusu". Ideę najwyższowładztwa po bezowocnéj próbie rozwiązania pytania, gdzie ono spoczywa, potępia autor, jako fałszywą i bezużyteczną. Czy naród posiada najwyższowładztwo? Nie należy to do nas; naród żyje. Wszyscy żyją fizycznie w narodzie. Więc każdy ma prawo żyć w nim politycznie, byleby miał po temu środki i w granicach tych środków ulegając prawu" (str. 42—43). Dłużéj natomiast zatrzymuje się autor nad pojęciem prawa i stosunkiem jego do siły, państwa, zwyczaju i t. d. Ostatni rozdział téj księgi poświęcony jest formom rządu, oraz ich rozwojowi we Francyi. Księga 2-ga pod tytułem „Władza polityczna" poświęcona jest rozwojowi współczesnego parlamentaryzmu—podziału władz na prawodawczą, wykonawczą i sądowniczą, oraz wytworzeniu się reprezentacyi, z przeważném uwzględnieniem Francyi, która zresztą była główném polem walki o zasady i ich urzeczywistnienie. Księga 3-cia pod tytułem „Organa i czynności państwowe" obejmuje przeważnie wykład współczesnego prawa politycznego i administracyjnego Francyi; wchodzą tu organa wykonawcze: prezydent, rada ministeryalna i ministerya; prawodawcze — senat i izba posłów; organa pośrednie, jak rada stanu, izba rachunkowa i t. p., organa miejscowe — departamentu, okręgu, kantonu i gminy; władza sądowa w jéj rozmaitych rozgałęzieniach; organa pomocnicze—dyplomacya, wojsko, policya, uniwersytety i kościół. Przedostatni rozpatruje krytycznie stosunek pomiędzy organami a ich czynnością, ostatni zawiéra wyniki ogólne, dotyczące stosunku pomiędzy instytucyami, a życiem, porządkiem społecznym i politycznym. „Prawidłem zawsze i wszędzie jest: iść wślad za życiem i naśladować je. Jest to zasada, na któréj trwale i niezachwianie spoczywa polityka, nauka życia społeczeństw, sztuka kierowania życiem społeczném: rozkładać czynność według życia. Jak z tego widzimy, książka wykracza po za granice traktatu prawa państwowego i administracyjnego tak w stanowisku swojém, raczéj praktyczném i poczęści niezależném od jakichkolwiek formuł zasadniczych, z których wysnuwa prawo swoje wnioski, jako téż i treścią, obejmującą prawie wszystkie ważniéjsze zagadnienia życia politycznego, zbliżając się istotnie do urzeczywistnionego dotąd ideału polityki naukowéj, t. j. sztuki rządzenia, opartéj na wiedzy.

W. M. K.

— *Gaston Danville.* **La psychologie de l'amour.** Paris, 1894, str. 169. Niewielki tomik, poświęcony tak rozległemu i skomplikowanemu zagadnieniu, nie może go wyczerpać; przyczynia się jednak do jego wyszczególnienia i poprawniejszego oświetlenia. Autor poddaje najprzód krytyce, niektóre z nowszych poglądów na miłość (Mantegazzy, Hartmanna, Delbeufa, sprowadzając miłość do nieświadomych czynników w organizmie, daléj takie jak P. Janeta, de Fleury, którzy widzą w niéj zwyrodnienie nerwowe lub zakażenie. Następnie wyszczególnia miłość, odróżniając ją od mniéj lub więcéj usystematyzowanych objawów instynktu płciowego. Daléj określa charakter miłości, któréj cechą jest usystematyzowanie pragnień, wyłączność uczucia skierowanego ku jednéj tylko osobie. Autor przyznaje, że prawdziwa miłość jest stosunkowo rzadka. Daléj, badając bliżéj hipotezę patologiczną, uważającą miłość, jako rodzaj manii *(obsession)*, odrzuca je stanowczo. Przebiegając objawy analogiczne w królestwie zwierząt („geneza miłości" z punktu widzenia ewolucyonizmu) autor przychodzi do wniosku, że miłość u człowieka nie jest zjawiskiem patologicznem, ani objawem zwyrodnienia, ale przeciwnie formą ewolucyi bardzo zróżniczkowaną (str. 50). Cztery typy popędu płciowego rozróżnia autor: instynkt bez wyboru, z wyborem, instynkt względnie usystematyzowany i wreszcie miłość. Tę ostatnią, rozważywszy jéj psychologiczne teorye, określa Danville, jako „istotę osobliwą, istność uczuciową, polegającą na mniéj lub więcéj trwałéj zmianie stanu uczuciowego i umysłowego, spowodowanego przez wyłączną i świadomą systematyzacyę instynktu płciowego ku osobie innéj płci, zależną od specyalnéj sprawy umysłowéj". Zjawisku temu najczęściéj towarzyszy rozbudzenie pragnień. *W, Ark.*

— *F. Pillon.* **L'Année philosophique. Quatrième année 1893** Paris, 1894. Szczuplejszy od poprzednich rocznik ten zawiéra, jak i tamte, trzy studya oryginalne i bibliografię krytyczną literatury filozoficznéj francuskiéj (97 książek i broszur, ocenionych przez redaktora). Na wstępie znajdujemy studyum filozoficzne o chrystyanizmie *(Etude philosophique sur la doctrine de Jésus Christ)* Renouviera, ustęp z niewydanego jeszcze dzieła o filozofii religii. Daléj idzie *Dieu selon le néo-criticisme)* przez Dauriaca — odpowiedź Secrétanowi, nareszcie dalszy ciąg studyum Pillona o rozwoju idealizmu: *L'évolution de l'idéalisme au XVIII siécle* (Malebranche i jego krytycy). *W. M. K.*

— *Chevrillon.* **Sydney Smith et la renaissance des idées libérales en Angleterre au XIX siècle.** Paris, 1891, str. 418. Jest to bardzo wyczerpujące studyum biograficzne i krytyczne o życiu, dziełach i działalności jednego z wybitnych działaczy na polu zdobycia wolości obywatelskich i równouprawnienia w Anglii w pierwszéj połowie naszego stulecia, skréślony na tle stosunków i poglądów współczesnych.

W. M. K.

SPROSTOWANIA.

W zeszycie sierpniowym r. b. na str. 236 w wierszu 7 od góry, zamiast wyrazów: „gdzieindziéj, np. u Spinozy, autora", winno być: „niż u Niemców np., pomimo, że ci ostatni mieli znakomitszych nierównie metafizyków i dyalektyków, a nawet psychologów téj miary, jak Spinoza, autor".

W wierszach 8-ym i 9-ym zamiast: „albo u Kanta i Schopenhauera", winno być: „albo Kant i Schopenhauer".

Na str.: 340, 341 i 342 w wierszu 3 od góry zamiast wyrazu „pusta", winno być „puda".

Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowej.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatniają.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki iestetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

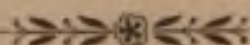
Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs. 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Warecka 10.



NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. **Rys dziejów psychiatryi** w Polsce. Napisał D-r Med. *Adolf Rothe.* Warszawa, skład główny w księg. Paprockiego i S-ki, 1893, 8-vo, str. 136.
2. *Maryan Gawalewicz.* **Perła**. Obraz dramatyczny wierszem. Warszawa, 1893, str. 35.
3. **Poradnik lekarski** w chorobach wenerycznych. Skreślił D-r *Władysław Wierzbowski.* Warszawa, nakład autora, 1893 8-vo, str. 115.
4. **Biblia domowa** czyli Wypisy z tekstów Pisma Świętego odnośnie do etyki, przetłomaczył *C. S.* Radom, nakład Jana Kantego Trzebińskiego, 1894, str. 376.
5. *Felicyana.* **Pieśni spóźnione.** Kraków, nakład autora, 1893, 8-vo, str. 86.
6. *Józef Jankowski.* **Żyje!...** Obrazek dramatyczny w jednej odsłonie, wierszem. Warsz. 1894, str. 32.
7. **Sprawa o płot.** Z opowiadania napisał *Walenty Dudzik (Witold Kirkor).* Warszawa, skład główny w księgarni Wacława Obuchowskiego, 1894, str. 53 (cena kop. 15).
8. **Miłość i pieniądze.** Napisał *Władkowski.* Warszawa, skład główny w księgarni Wacława Obuchowskiego, 1894, str. 37 (cena kop. 10).
9. *Klemens Junosza.* **Z Warszawy.** Nowelle. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1894, 8-vo, str. 237.
10. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego, pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego.* Tom XIII. Warszawa, 1894, zeszyt 149 (str. 321—400).
11. **„Wisła"**. Tom VIII: kwiecień, maj, czerwiec. Warszawa, skład główny w księgarni M. Arcta (str. 211—417).
12. **Przyczynki** do fizyologii zrazów czołowych. Przez D-ra *A. Grosglika.* Warszawa, 1894, 4-to, str. 20.
12. **Słownik apologetyczny** Wiary katolickiej, podług D-ra *Jana Jaugey'a* opracowany staraniem X. *Wł. Szcześniaka* mag. teol. i grona współpracowników. Warszawa, 1894, 8-vo, zeszyt 4 (str. 577—752 i II).
13. **Akta kapituł i sądów biskupich.** Tom I. Wydał *B. Ulanowski.* Kraków 1894, 4-to, str. VI i 663.
14. **Codex epistolaris** saeculi decimi quinti. Tomus III, collectus opera D-r *Anatolii Lewicki.* Krak. 1894, 4-to, str. LXXX i 665.
15. *Andrzeja z Kobylina.* **Gadki** o składności członków człowieczych z Arystotelesa... wybrane 1535. Wydał *Józef Rostafiński.* Kraków, 1893, 8-vo, str. 180.
16. *Maryan Gawalewicz* i *Piotr Stachiewicz.* **Królowa Niebios.** Legendy o Matce Boskiéj. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1894, folio, zeszyt I-szy i II-gi, str. 72 z rysunkami.
17. **Encyklopedya Rolnicza,** wydawana staraniem i nakładem Muzeum rolnictwa i przemysłu. Warszawa, 1894, zeszyt XXXVI, str. 209—288 (cena zeszytu kop. 60).
18. D-r *E. Sonnenberg.* **O cholerze.** Warszawa, skład w księgarni Paprockiego i S-ki, 1894, str. 16.
19. *Fr. Coppée.* **Poezye.** Warszawa, nakład T. H. Nasierowskiego, skład w księgarni Centnerszwera, 1894, str. 64.
20. *Kucharzewski Feliks.* **Szkoła techniczna średnia.** Warszawa 1894, skład w księgarni E. Wendego, 8-vo, str. 34.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.